

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 02 (183) Luty 2020 , ROK XVI



MIŁOŚĆ DO...

męża (Anna Dymna)

znaczków (Magda Oberc)

muzyki (Anna Woźniakowska)

przyjaciół (Ewa Lipska)

jedzenia (Katarzyna T. Nowak)



9 771733 045002 02

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

MIESIĘCZNIK **KRAKÓW** ZAPRASZA

WIELKI FINAŁ! KTO WYGRA?

KONKURS „PORTRETY 2019”

- czyli wybieramy najlepsze
polskie dzieło biograficzne
AD 2019

dr hab. Rafał Syska wraz z zespołem i wystawa
Wajda w Muzeum Narodowym
Monika Sznajderman i książka *Pusty las*
Maciej Pieprzyca i film fabularny *Ikar*.
Legenda Mietka Kosza


ostatnia sobota karnawału - 22 lutego,
godzina 18.00
METAFORMA CAFE, Powiśle 11
gra - Girlz Jazz Trio

Zaproszenia do odbioru w redakcji
miesięcznika „Kraków”

zaczynamy się
w Krakowie

KRAKÓW
MIESIĘCZNIK

miesiecznik.krakow.pl

Aż do dnia finału wybieramy także Nagrodę Czytelników!
Głosuj na  i na www.miesiecznik.krakow.pl

Z OSTATNIEJ CHWILI



PRODUCENCI

SPONSOR NAGRODY GŁÓWNEJ

PATRON MEDIALNY



Biblioteka
Kraków



CONSULTRONIX®

RADIO
KRAKÓW

PARTNERZY

KLEZMER-HOIS
KRAKÓW, ULICA SZEROKA 17B

METAFORMA



Współpraca:

Stanisław Wyspiański, *Widok na Barbakan i Bramę Floriańską z ulicy Zacisze*, 1894, olej na płótnie,
Muzeum Narodowe w Krakowie

mnk
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

Kraków przełożony na przyjaciół

Tekst: Ewa Lipska

Urodziłam się w Krakowie. W czepku. W 1945 roku. Mój ojciec spotkał na Plantach wróżkę, która powiedziała mu, że dziecko, które wiezie w wózku, będzie pisało wiersze. Nic na to nie wskazywało. Był jesienny, szary dzień. Padał deszcz. Przez aleję przebiegały rude wiewiórki. Nic nie zapowiadało poezji. Może tylko mgła zacierająca ślady rzeczywistości.

Metafora tej sytuacji odnalazła mnie pięćdziesiąt lat później, kiedy stałam przy ulicy Basztowej na Plantach, na mostku, pod którym w zaimprovizowanym jeziorze pływał łabędź. Spoglądaliśmy na siebie jak na współników z przeszłości. Białe skrzydła pamięci rozpościerały się przede mną jak kartki z kalendarza. Skrzydła zapisane były datami: godziny, miesiące, lata, trzepoczące chwile przeszłości. Wracam do tego miejsca często, mając poczucie, że fragment mojego życia zatrzymał się tu na zawsze. Wiewiórki są już w Unii Europejskiej. Ich tablice reje-

w książce telefonicznej i zapytaliśmy: czy pani D'arc? Joanna? I usłyszeliśmy w telefonie znajomy już głos: „O Boże, to panowie przeżyli?”

Ulica Lea (Juliusz Leo, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego latach 1904-1918 prezydent Krakowa), dawna Dzierżyńskiego – tak mówimy teraz. Ironicznie... Dawniej, za czasów komunizmu mówiliśmy: ulica Dzierżyńskiego. Dawniej Lea... Na ulicy tej, pod numerem 23 mieszkał Kornel Filipowicz, wybitny prozaik. Stale się spotykamy, chociaż on już nie żyje od kilku lat. Widzę go w zielonej kurtce, w kapeluszu z przypiętą złotą rybką. Z wędkami w ręce. Gotowego do wyjazdu na ryby. Ze mną, z Wisławą Szymborską, z moim mężem. Mam przed sobą pocztówki z rysunkami, wierszykami, anegdotyczne rachunki, pod którymi widnieje pieczęć „firmy sanitarno-kanalizacyjnej”, gdzie Kornel składał swój podpis... Pamiętam: na ścianie pokoju belgijski sztucer, który został mu odebrany w stanie wojennym. Pożółkłe zdjęcia jak w fotoplastykonie. Przesuwające się opornie obrazy. Rdza czasu. To oni, chłopcy z zabawkami. Jerzy, Kornel, Adam Włodek, poeta, tłumacz, wychowawca wielu pokoleń pisarzy, Jerzy Turowicz, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, Tadeusz Nowak, poeta, prozaik... I wielu, wielu innych nieżyjących kolegów, z którymi prowadziliśmy nieustanne życie towarzyskie. Wtedy, w czasach żelaznej kurtyny, byliśmy wszyscy bliżej siebie...

A my jeszcze po żywej stronie życia. Z bijącym sercem tego miasta, które ma „bram dziesięć, nie bardzo odległych, domy wewnątrz wszystkie z kamienia (...). Ulice w mieście brukowane dużymi kamieniami, tak źle spojonymi, że ciężko po nich chodzić, gorzej jeździć konno, najgorzej w karetce (...)” – jak pisał Giovanni Paolo Mucante. W tym mieście kabaretów, dziwaków, mistyków. O którym Witold Gombrowicz pisał przekornie, że jest „miastem pretensjonalnej tandety intelektualnej...”

Wisława Szymborska mieszkała kiedyś tam, gdzie wszyscy, czyli na ulicy Krupni-

czej 22, w Domu Literatów. Tam zaczynały się słynne „loteryjki u Wisławy”, które wraz z poetką przenosiły się do kolejnych mieszkań. Na ostatnią nie zdążyłam dojechać, Jerzy Illg, naczelny redaktor Wydawnictwa Znak, donosił: „Wielka szkoda, że nie zobaczyliśmy się u Wisławy (...) oprócz loteryjki wypełnialiśmy zabawny kwestionariusz w pamiętniku, który wylosowała Teresa Walas (pracownik naukowy UJ – dop. aut.). Miłośz przebił wszystkich. Wymarzony zawód: strażak. Co lubi? Tłuste. Czego nie lubi? Chude. Hobby? Króliki...”

Wyjechać z Krakowa

Z Krakowa nie jest się w stanie wyjechać. Nawet, jeżeli się mieszka w innym kraju, wiadomo, że kiedyś się tu wróci... Jakaś magnetyczna siła ściągnie nas znowu do tego miasta. Wisława zorganizuje bankiet. Sałatki jarzynowe. Zupy w proszku Oetkera. Sos pieprzowy. Żona profesora Henryka Markiewicza z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Mila Markiewiczowa, przygotowuje karpia po żydowsku. U Joanny Salamon, lekarza, poetki tłumaczki, eseistki, transcendentalny sok z marchwi, medycyna alternatywna, dyskusja o Janie Kochanowskim, Zbigniewie Herbertcie... U Romy Próchnickiej i Henryka Voglera obowiązkowo sernik z widokiem na synagogę. Kazimierz. Smutne resztki historii. Stary żydowski cmentarz. Dwie knajpy o nazwie Ariel. Festiwal żydowski. Księgarenka czynna w niedzielę. I Żydzi, których nie ma, ale są, bo przecież ktoś musi być winny, jak mówi mój przyjaciel...

Miasta należy oglądać o 6 nad ranem, kiedy z rozwieszoną wokół mgłą łączy nas szczególny rodzaj solidarności. Zdarzyło mi się to kiedyś na Rynku Głównym. Z mgły wyłoniła się grupa młodych ludzi powracających zapewne z balu. Żółty balonik szarpał się na wietrze. Rozpływający się testament makijażu na twarzach kobiet. Już bez wiary w siebie krawaty chłopców... Cała ta scena podobna była do próby generalnej w teatrze Tadeusza Kantora Cricot 2. *Umarła klasa* powracająca Stamtąd...

Ale miasta bez bliskich i przyjaciół zamknąć można jedynie w książkach krajoznawczych, przewodnikach, bedekerach... Patrzymy wtedy na nie jak na pomniki historii, kultury, minionych cywilizacji. Możemy je podziwiać, fotografować, filmować, zapisywać. Inaczej czyta się miasto, w którym mieszkamy i które mieszka w nas. Każda przeprowadzka to nowy teatralny spektakl. Pamiętam kilka takich przeprowadzek. Kornel Filipowicz, instalując lampę w moim pierwszym mieszkaniu, przy ulicy Krupniczej 22, powtarzał: „To nie literatura, tu trzeba myśleć...”. Przypominają mi się słowa Marcela Prousta: „Zobacz, Celesto, czy wszystkie okna są zamknięte, bo pan Porel jeszcze nam uleci...”

Wspomnienia do wynajęcia. Pamiętam Wisławę Szymborską wyprowadzającą się z „szuflady”, bo tak nazywaliśmy jej garsonierę przy ul. Nowowiejskiej. Mieszkałam tam czasami podczas mojej „bezdomyjności”, kiedy właścicielka wyjeżdżała do Zakopanego na urlop. Niania Poetki, nieżyjąca już Ma-

Kraków to miasto utalentowane. W kawiarni Noworol nie podają wprawdzie najlepszej kawy i każą płaszc odnieść do szatni, ale pozostaje atmosfera... Wolna, niezależna, krążąca po zaułkach i uliczkach, potykająca się na nieregularnych trotuarach.

rysia, przychodziła robić porządki. Pewnego dnia ze zgrozą stwierdziłam, że cała biblioteka Wisławy ułożona została „według wzrostu”. „Tak przecież ładniej, prawda?” „Bo wie pani – mówiła Marysia – ta nasza Nusia (chodzi o W.S.) to nic nie robi. Nic nie robi, tylko pisze...”

Kraków Lem

„Bardzo groźne psy” to napis na bramie domu Stanisława Lema. Wybiega stado wesołych i życzliwie rozszczękanych jamników. Jeden pies, przybłąda. Niewiadomego pochodzenia i nieokreślonej pozycji społecznej. Ale inteligentny. Wierny przyjaciel domu.

Lemowie to instytucja. Stanisław, wybitny pisarz, futurolog, filozof wygłaszający pełne humoru monologi. Basia, żona pisarza, Jadzia, siostra Basi, Tomek, Ewa, Michał... Wszystkich razem fotografuję w moim sercu. Uprzywilejowane godziny na ulicy Narwik 21 w najlepszym stylu florenckiego renesansu... „Czy chciałbyś być sklonowany?” pytam Staszka. „Ja już jestem... To jest mój syn, Tomek...”

Kraków to miasto utalentowane. W kawiarni Noworol nie podają wprawdzie najlepszej kawy i każą płaszc odnieść do szatni, ale pozostaje atmosfera... Wolna, niezależna, krążąca po zaułkach i uliczkach, potykająca się na nieregularnych trotuarach.

Homo ludens spieszy na bankiet. Trzyma w ręce bukiet rumianków i okolicznościowy limeryk. Nowela tego miasta, nienosząca śladów korekty, pisze się wciąż od nowa...



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

TEMAT MIESIĄCA: MIŁOŚĆ**Miłość czule sfotografowana**

Magdalena Huzarska-Szumiec

s. 20

„Aniczka, jak skończysz spektakl, to nie zmywaj makijażu, tylko wróć w nim do domu. Zrobimy sobie sesję” – tych kilka słów sprawiło, że Anna Dymna biegła wieczorem przez Rynek jak na skrzydłach. Wdrapywała się po schodach na strych starej kamienicy, a tam wszystko było przygotowane. W pokoju paliły się reflektory, które jej mąż sam zrobił, a wokół leżały rekwizyty: kosze, szkła, kilimy, futerka, ubrania. Wiesław brał do ręki jeden z dwóch aparatów, na które wydali, jak na ówczesne czasy, majątek. Odgłos przeskakującej migawki będzie do nas docierał przez całą tę opowieść. Choć nie liczymy, że zawsze usłyszymy miły dla ucha dźwięk. Niekiedy, jak to w życiu, zazgrzyta on nieprzyjemnie, aż w końcu zmieni się w przejmującą ciszę.

**KRAKÓW MÓWI****O Galicji, pamięci i pokoleniowej więzi**

– z Rafałem Skąpskim/Krzysztof Jakubowski

s. 70

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA**Historia ukryta w miniaturze**

Magdalena Oberc

s. 12

Jubileusz Jana Pieszczachowicza

Magdalena Huzarska-Szumiec

s. 19

Polaków „Portrety” własne w XXI wieku

Witold Bereś

s. 26

Seifert – skrzypek z Krakowa

Małgorzata Jantos

s. 29

Zaproszenie do stołu Katarzyna T. Nowak

s. 34

Perła w koronie Krakowa Anna Woźniakowska

s. 41

Zapraszamy do MOCAK-u:Edward Dwurnik, *Obława na groźnego bandytę*

s. 55

Z fototeki Dany Węgiel/Dwadzieścia lat później:

Marcin Świetlicki

s. 56

Nic nie jest oczywiste (Andrzej Andzik Kowalczyk)

Ewa Kozakiewiczowa

s. 51

W sieci kultury

s. 65

Kronika kulturalna

s. 87

Krakowski łącznik

s. 90

Kraków (Główny)

s. 91

Linia A-B

s. 92

REKOMENDACJE**Księżna Izabela byłaby zadowolona**

s. 33

Księgarnia roku: MOCAK Bookstore

s. 39

Bursztynowa łąza i smak sezamków

s. 58

OBYWATELE KRAKOWA**Jerzy Michał Wąsik, poeta (1939-2019)**

Krzysztof Burnetko

s. 8

HISTORIA**FOTO-RETRO** Krzysztof Jakubowski

s. 10

KALENDARIUM KRAKOWSKIE**Luty 2020** Krzysztof Jakubowski

s. 59

Julian Fałat – malarz urodzony

Ewa Danowska

s. 62

TEATR**Powoli malejący żołnierzyk** Paweł Głowacki

s. 66

FILM**Losy na ekranie** Maria Malatyńska

s. 74

KSIĄŻKI**Nasza biblioteka**

s. 84

GALERIA „KRAKOWA”**Jan Bosak** Magda Huzarska-Szumiec

s. 48

KRAKÓW W MOIM SERCU**Antoni Komasa-Łazarkiewicz** Jacek Balcewicz

s. 78

FELIETON**NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska

s. 5

OKIEM BERESIA Witold Bereś

s. 6

Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko

s. 7

SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma

s. 81

W WARSZAWIE Magdalena Miśka-Jackowska

s. 82

BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz

s. 83

NIE TYLKO O CRACOVII Jerzy Pilch

s. 96

OKŁADKA**Anna Dymna** Fot. Grzegorz Kozakiewicz

Delegaci w delegacji

Tekst: Ewa Lipska

Polska delegacja samorządowa, z miasta Strzegom, z burmistrzem na czele, zaproszona została do partnerskiego miasteczka Torgan w Saksonii na jesienne święto. Delegaci zakwaterowani zostali w hotelu Central. Wkład polskiej delegacji w niemieckie święto polegało na zdewastowaniu pokoju hotelowego i pozostawieniu tu i ówdzie swoich osobistych odchodów. Według pisma „Leipziger Volkszeitung” pokój był w tak złym stanie, że większa część wyposażenia musiała zostać wymieniona. Strona niemiecka zerwała współpracę z miastem Strzegom. Przedstawicielka partii CDU powiedziała, że w zaistniałej sytuacji nie mogłaby z czystym sumieniem wysłać dzieci i młodzież do takiego kraju... Sprawa ta odbiła się szerokim echem w niemieckiej prasie i na forach internetowych.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

O ile mi wiadomo, burmistrz dalej jest burmistrzem i zapewne przygotowuje odchody, przepraszam, obchody, jakiegoś lokalnego, patriotycznego święta.



Rys. Piotr Błachut

O miłości do...

Tekst: Witold Beres

Luty to ponoć miesiąc związany z miłością – bo Dzień św. Walentego i Dzień Kota. Może dlatego właśnie w lutym będziemy przyznawać ogólnopolską Nagrodę „Portrety” za najlepsze dzieło biograficzne minionego roku.

Ale też jakoś tak się składa, że ten numer miesięcznika pełen jest miłości.

Tej najprawdziwszej, najmocniejszej, zmysłowej – jak choćby Anny i Wiesława Dymnych, co przypomina Magda Huzarska-Szumiec przy okazji wspaniałej wystawy *Wiesław Dymny. Jestem ranny człowiek. Pisarz, aktor, malarz w MOCAK-u* (jest w dwudziestce dzieł nominowanych do Nagrody „Portrety”, spieszcie się ją zobaczyć, trwa tylko do połowy marca).

I tej miłości do miejsc, czasów i przyjaciół, których już nie ma, a co lirycznie opisuje Ewa Lipska w eseju otwierającym numer.

Ale i wielkiej – naprawdę! – miłości do sztuki, co najlepiej widać w miłości do muzyki. Bo krakowska Filharmonia obchodzi właśnie 75-lecie istnienia. Anna Woźniakowska przypomina, że greckie *phileo* znaczy „miłuję”, a *harmonia* to „współdziałanie, ład”. I mianem *filharmonia* początkowo określano zrzeszenia miłośników muzyki.

Bywa także miłość zupełnie – przyznajmy? – porąbana (piszę to tym chętniej, że przez lata i ja jej ulegałem). Mowa o miłości do kolekcjonowania... znaczą-

sklepami właściwie ze wszystkim, stanęła też wielka kolejka przed Muzeum Narodowym w Krakowie. Miałem wtedy dziewiętnaście lat, zacząłem studia na Alma Mater i też stanąłem w tej kolejce. Do dziś pamiętam wrażenie, jakie zrobiła na mnie rzeźba *Maksymilian Kolbe* Jerzego Beresia. I dziesiątki sarmackich portretów trumiennych. I generałowie, królowie, hetmani. Brakowało jednego – naszego papieża. I nagle stanąłem przed obrazem oszałamiającym, namalowanym specjalnie na tę wystawę przez Leszka Sobockiego: *Polak 1979*. Portret nieznanego mężczyzny (po latach dowiedziałem się, że to autoportret malarza), akt właściwie, ale z elementami, które nie pozostawiały wątpliwości, o kogo chodzi: z białą piuską, niemal niewidoczną na tle jasnej karnacji twarzy i nagich ramion. I z dobrze znanym gestem splecionych rąk wspierających brodę.

To połączenie zwykłości z duchowością i profetyzmem było przeżyciem niezwykłym. Bo choć nikt jeszcze nie mógł wiedzieć, że za niespełna rok zwykli ludzie w Gdańsku ruszą bryłę świata i zniszczą system, to właśnie wtedy artysta wizjonersko sportretował nas samych i jednocześnie oddał wspaniały hołd jednemu z nas – papieżowi Wojtyłce.

Nie wiem, czy dzisiaj portret jakiegokolwiek papieża mógłby jeszcze wzbudzić takie emocje, czy oddawałby jakąś prawdę o nas samych. Ale wierzę, że artyści – nie tylko polscy, lecz opisujący tylko Polskę – nadal mają siłę budzenia emocji. I, oby!, profetycznego opisu upadku systemu bezprawia i niesprawiedliwości.

Chcemy więc wyławiać te dzieła, które Polskę dzisiejszą opisują. A może i ją zmieniają.

Dlatego odpalamy wspólnie z Biblioteką Kraków, Fundacją Świat ma Sens oraz firmą Consultronix Nagrodę „Portrety” za najlepsze biograficzne dzieło artystyczne minionego roku (więcej szczegółów na stronie 26).

Mamy nadzieję, że nasze „Portrety” będą swego rodzaju powtórzeniem niegdysiejszej idei *Polaków portretu własnego*.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Kraków (w zasadzie) wolny od brunatnych

Tekst: Krzysztof Burnetko

Zasłużone w sygnalizowaniu przejawów faszyzmu w Polsce Stowarzyszenie „Nigdy Więcej” ogłosiło swoją doroczną „Brunatną Księgę”. Szczęśliwie w raporcie o „zdarzeniach rasistowskich, ksenofobicznych i homofobicznych” w 2019 roku Kraków pojawia się stosunkowo rzadko.

Oto kilka z odnotowanych przykładów, pokazujących krakowską specyfikę zjawiska:

5 stycznia: „Podczas Patriotycznej Pielgrzymki Kibiców (...) pseudokibice Wisły Kraków eksponowali na terenie klasztoru na Jasnej Górze szaliki z nacjonalistycznym sloganem »Lwów to Polska«”.

9 stycznia: „»Gazeta Krakowska« poinformowała o antysemitkich naklejkach, które członkowie grupy Sharks (kibicowskiej bojówki Wisły) umieścili na terenie stadionu użytkowanego przez klub Kalwariańska Kalwaria Zebrzydowska (liga okręgowa). Wlepki zawierały hasło „Kalwaria bezżydowska” oraz przekreślony, stereotypowy wizerunek Żyda.

17 marca: „Podczas meczu derbowego Wisła – Cracovia pseudokibice gospodarzy wykonywali przyspiewki pod adresem przeciwnego klubu: »Śpiewają miasta, śpiewają wioski: największą k...wą jest klub żydowski«, »Jeb...ć Żydów, skur...ów« i »Zawsze nad wami, pier...mi Żydami«. A gdy kibice Cracovii odpalili race, »fani« Wisły skandowali »Żydzi palą się«”.

31 marca: „W trakcie spotkania Ekstraklasy między Wisłą a Legią Warszawa »kibice« miejscowego klubu wywiesili na ogrodzeniu wokół murawy transparent z przekreślonym słowem „LGBT” oraz z hasłem »Wisła przeciwko pedałstwu«”.

1 sierpnia: „Podczas mszy w kościele Mariackim z okazji rocznicy wybuchu powstania warszawskiego metropolita krakowski abp prof. Marek Jędraszewski wygłosił kazanie, które miało charakter homofobiczny. Zawarł w nim następujące stwierdzenie: »Czerwona zaraza już po naszej ziemi na szczęście nie chodzi, co wcale nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opłonać nasze dusze, nasze serca i umysły. Nie marksistowska, bolszewicka, ale zrodzona z tego samego ducha, neomarksistowska. Nie czerwona, ale tęcza«.

Słowa Jędraszewskiego spotkały się z wieloma głosami krytyki i oburzenia. Pod kurią w Krakowie odbyły się pikety solidarności z osobami należącymi do mniejszości seksualnych”.

16 sierpnia: „Podczas meczu pomiędzy Wisłą a ŁKS Łódź miejscowi pseudokibice wywiesili na ogrodzeniu wokół boiska transparent upamiętniający lidera faszystowskich »kibiców« Lazio Rzym Fabrizio Piscitello ps. Diabolik, który 7 sierpnia został zastrzelony w parachunkach mafijnych. Polscy członkowie radykalnej bojówki Wisła Sharks w 2015 roku zawarli tzw. zgodę (przyjacielski układ) z pseudokibicami Lazio, znanymi z manifestowania nazistowskich przekonań”.

22 września: „W trakcie spotkania Wisła Płock – Wisła Kraków niektórzy pseudokibice przyjezdnej dru-

żyny mieli koszulki z krzyżem celtyckim, symbolem supremacji tzw. białej rasy”.

Z 28 na 29 września: „Na ulicy Gazowej przed klubem gejowskim Cocon dwóch napastników zaatakowało młodego mężczyznę. Powalili go na ziemię, kopali i spryskali gazem łzawiącym. Wykrzykiwali również groźby i obelżywe hasła pod adresem innych osób, które pojawiły się przed klubem: »Was, k...wa, skopię jeszcze«, »J...b się, pedale, w d...pę jeb...ny«, »Mamy was gazować wszystkich?«, »Jeb...ć pedałów«. Rzecznik Komendy Wojewódzkiej Policji poinformował, że w 2019 roku w związku z aktami agresji wobec klientów Cocon, funkcjonariusze byli wzywani już czterokrotnie”.

Z 30 września na 1 października: „»Nieznani sprawcy« zdewastowali historyczny fragment muru getta przy ulicy Limanowskiego. Namalowali na nim swastykę oraz napis: »K...wy Żydy, wypier...ać z Polski«. Oblali także smołą tablicę pamiątkową, która była umieszczona na murze”.

*

Autorami najdrastyczniejszych ekscesów faszystowskich, wynikających z uprzedzeń antysemitycznych, homofobicznych itp. są w Krakowie albo kibole, albo – przykre, ale prawdziwe – hierarcha Kościoła katolickiego. Okazuje się też, że reakcje na nie bywały różne – od pobłażania („to taki folklor” i „to jednak margines”) po zdecydowane protesty.

Co ważne: dość silne w mieście środowiska narodowej prawicy (patrz: dobry wynik wyborczy Konfederacji) potrafią z jednej strony maskować – w imię politycznej taktyki, a więc zapewne do czasu – swoje prawdziwe oblicze. Z drugiej – organizowane pod różnym szyldem i pretekstem demonstracje uliczne neofaszystów nie przybierają aż tak drastycznych form jak te w Warszawie czy Wrocławiu. Niewykluczone, że też do czasu.

Znamienne, że ostatnio prezydent Wrocławia Jacek Sutryk po prostu rozwiązał faszystowski marsz, kiedy tylko pojawiły się oznaki łamania prawa w postaci prezentowania treści rasistowskich i ksenofobicznych czy zakazanych symboli. Teraz reakcja każdego miasta, przez które próbować będą przejść faszyci, zostanie porównana właśnie z odważną postawą Wrocławia.

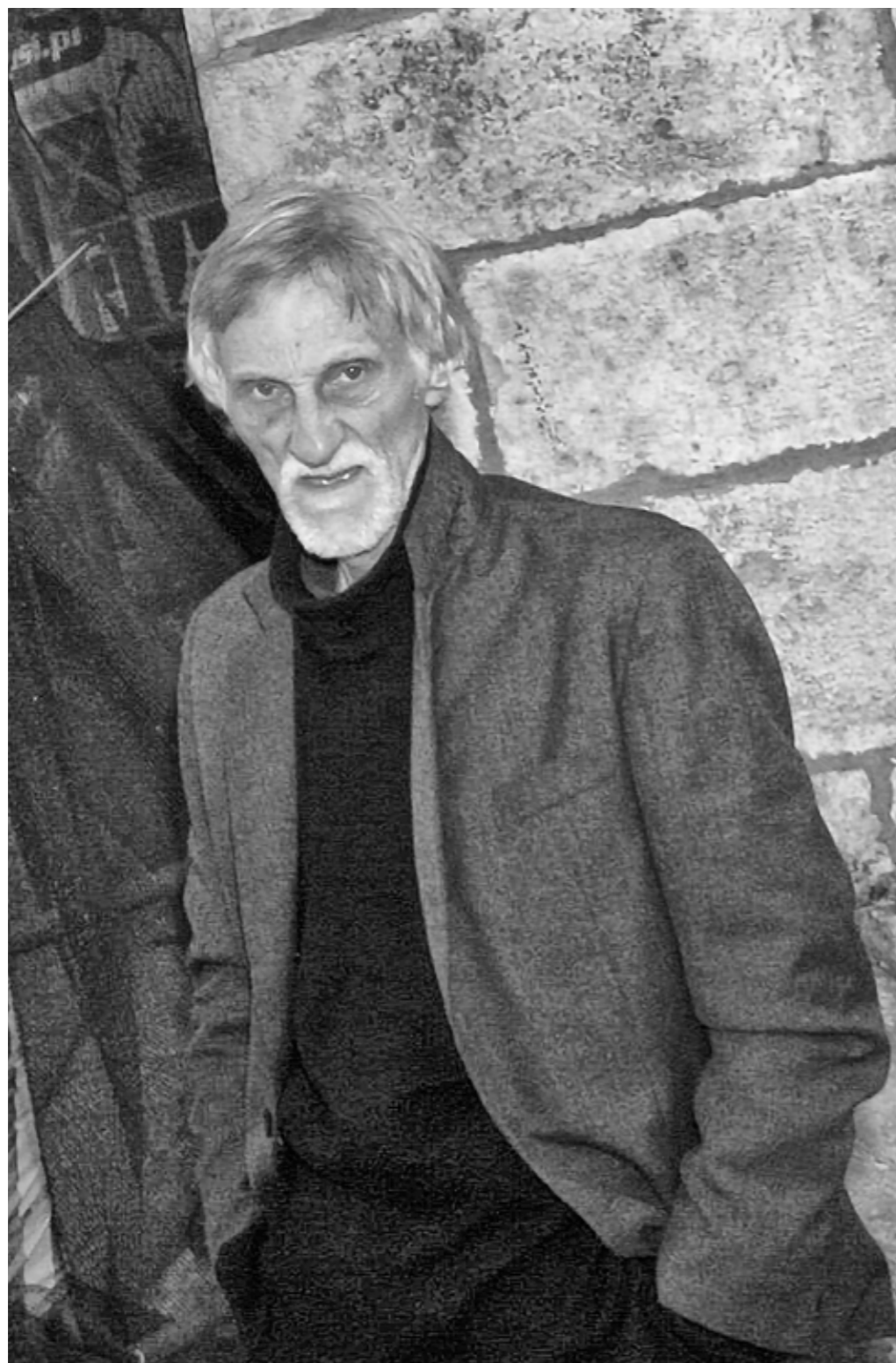


Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Jerzy Michał Wąsik, poeta (1939–2019)

Tekst: Krzysztof Burnetko Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Jan Józef Szczepański pisał o nim w swoich *Dziennikach* per „poeta”. A w jego wierszach dopatrywał się „śladów talentu”. Dodawał równocześnie z właściwym sobie samokrytycyzmem: „Nie potrafiłem okazać mu miłosierdzia”.



On sam na okładce swojego tomiku z 2002 roku podawał, że urodził się w 1939 roku w Łodzi, jest filologiem romanistą, a w latach 1965–1968 studiował na Sorbonie, realizując między innymi krótkometrażowe filmy dokumentalne.

W odautorskiej nocie wyznawał: „Zamiast poszukiwać formalnych i lirycznych treści, zamierzeniem moim było określenie rzeczywistości inaczej. Zamiast typowych dla poezji metafor i śpiewu jest to trudny realizm cierpiącego człowieka. (...) Starałem się porządkować swój świat, często urojony”. Sam przyznawał, że twórczość jest dla niego również „rodzajem psychoterapii”.

Wieść głosiła, że to podczas pobytu w Paryżu, zbiegającego się w czasie z burzliwymi protestami maja 1968, został pobity przez francuską policję. A ta znana była z brutalności wobec demonstrantów... Jako NN miał trafić wtedy do szpitala i tylko dzięki wytrwałości pochodzącej z Japonii żony został zidentyfikowany. To wtedy zaczęła się choroba, która – z różnym nasileniem – trapiła go do niedawnej śmierci.

*

Jerzy Michał Wąsik pisał choćby:

Nie jestem już tym, kim mogłem być
(*Podróżna śmierć*)

w ankiecie personalnej poety
jest zawsze paranoja
ale rzeczywistość rzeczy
tragedia jest dla dzieci
dla wszystkich dobrych ludzi
(*Niepotrzebne skreślić*)

przeszedłem swoje...
cierpiałem tak, że każdy ruch bólem był
bo istnieniem nie mógł być tylko wiatr
który nie czyta, opowiadając „a tale”
piosenkę synowską jakąś
przeszedłem tak daleko
że nasza miłość do ludzi
Polską była i czerwoną kołyską
czerwonym kwiatem zatknętym

na lufie karabinu
a władza stawia sobie pomniki
pomników papieża nie zliczysz –
i pchany ku zagładzie
ja – poeta, taki od święta
nazwałem pokolenie syna rekrutem

historii
nieznanym żołnierzem cywilizacji
a niebezpieczeństwo wisi na krzyżu
istnieniem jest jednak wiatr, synku...
resztę szukaj t a m
w klubie elitarnym made in Japan
gdzie śpiewasz swe pieśni o bólu szalonym
bo na pomnikach więcej jest
nazw i rocznic niż myśli człowieka
i naszych kroków w ciemności
(Święci nie mają pomników)

*

Podczas kolejnych przerw w terapii miał zwyczaj wpadać do rozmaitych redakcji w mieście ze swoimi wierszami i aforyzmami. Bywał i w „Tygodniku Powszechnym”, gdzie Szeff, czyli Jerzy Turowicz, traktował go zawsze – i mimo wszystko – z właściwą sobie klasą i w istocie z życzliwością.

*

udręczony nocą
z papierosem na oczach wszystkich
myśląc o tym „czasie morderców”
poczętym w paryskim obłędzie
szukałem dziś w gazetach
nekrologów własnych
i recenzji o synowskich pieśniach
(*Czekam na słowo ostatnie*)

*

Był przez minione lata jedną z charakterystycznych w mieście – i dla miasta – postaci. Zmarł 20 grudnia 2019 roku.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Ulica Syrokomli, fot., 1930, NAC

Syrokomli pod bokiem koszar

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Wykonana we wrześniu 1930 roku fotografia pokazuje, jak w miarę upływu czasu i ekspansji miasta zmieniały się dawne, sąsiadujące z Krakowem gminy.

Przedstawiony fragment Półwsia – mimo nowo wystawionych, trzypiętrowych kamienic – ma tu jeszcze dość podmiejski charakter, zachowany przez wiele kolejnych lat.

W przypadku tego ujęcia ul. Syrokomli o zachowanej „podmiejskości” decydują nieistniejące dziś parterowe budynki barakowych koszar artylerii im. gen. Józefa Dwernickiego. Ich zabudowania widać częściowo za sfatygowanym murem po prawej.

Koszary te wzniesiono w latach 80. XIX wieku, w sąsiedztwie I Bastionu, który ulokowano w prostokącie dzisiejszych ulic Morawskiego, Syrokom-

li, Dunin-Wąsowicza oraz al. Krasińskiego. Na zapleczu zabudowań rozciągał się duży naturalny staw, co w chwili budowy nie było zapewne bez znaczenia. Wojsko wyprowadzono stąd do koszar na Zakrzówku jeszcze przed wybuchem II wojny światowej. Niewidoczne tu mur i bramę od strony ul. Kościuszki usunięto na początku lat 50., a w pozostałych, pomalowanych na zielono, parterowych barakach umieszczono między innymi Wojskowe Biuro Projektów. W 1970 roku baraki te wyburzono, a na placu urządzono parking działający przez następne 30 lat.



W 2002 roku w miejscu parkingu stanęła nieciekawa, mocno dominująca nad okolicą bryła hotelu Novotel. To kliniczny przykład nieprzyjaznej, sztywnej architektury, jaka nie powinna szpecić centrów miast takich jak Kraków. Szczególnie źle wypada Novotel w konfrontacji z lekką i przejrzystą bryłą stojącego obok, a wybudowanego w latach 1960–1966 wedle na wskroś europejskiego w rozwiązaniach projektu Wojciecha Bulińskiego – biurowca Biprocemwapu.

Na fotografię spoglądamy z nie mniejszym zaciekawieniem, niż jeden z chłopców bawiących się przy ulicy spogląda na fotografa. Interesujące, że uwagi jego i dwóch pozostałych zdaje się nie zaprzętać zaparkowana obok policyjna karetka (prawdopodobnie wyrób czechosłowackiej firmy Praga). Karetka przystanęła, a jeden z policjantów wysiadł (rozmażana sylwetka), nie domykając drzwi.

Zwraca uwagę ledwie utwardzona jezdnia, z jednostronnym chodnikiem oraz gazowe latarnie. Je-

żeli chodzi o budynki, ten z charakterystyczną narożną szkarpą z kamiennych ciosów (widoczny tylko we fragmencie) jest jednym z najstarszych przy tej ulicy. Ukończono go w 1925 roku według projektu Romana Weindlinga, a inwestorem był prof. Jan Grzymek. Po drugiej stronie, za ul. Morawskiego widać pierzeję kilku nowych, modernistycznych kamienic, wzniesionych w latach 1926–1929. Większość z nich przetrwała bez znaczących zmian.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Historia ukryta w miniaturze

Tekst: Magdalena Oberc

Znaczki pocztowe, czyli w języku filatelistów walory lub marki – w dzisiejszym świecie wirtualnej komunikacji są nadal obiektem pożądania sporej grupy kolekcjonerów. Świat filatelistów jest jednak bardzo różnorodny i zgoła inny niż pamiętamy z X części *Dekalogu* Krzysztofa Kiesłowskiego, gdzie antypatyczni panowie skrywali swoje zbiory w ponurych, zaprzyziałych sklepikach. Dziś to elitarna grupa kolekcjonerów mających drobiazgową wiedzę i swój specyficzny język, a znaczki nabywa się w domach aukcyjnych bądź w licytacjach internetowych.

Wszystko zaczęło się w 1840 roku, kiedy w Anglii wydrukowano pierwszy znaczek jednopenny z podobizną królowej Wiktorii – tak zwany Black Penny. Kilkanaście lat później znaczki stosowano już na całym świecie jako dowód opłaty pocztowej. Pierwszy polski znaczek wydrukowano w 1860 roku na ziemiach Królestwa Polskiego – dziś nazywany „jedyńką”. Po upadku powstania styczniowego znaczek ten został wycofany z obiegu. – Listy przesyłano od wieków, jeszcze zanim wymyślono znaczki, a informację o pobranej opłacie zamieszczano w postaci stempla na kopercie – opowiada Janusz Adamczyk, krakowski prawnik, jeden z najbardziej utytułowanych polskich filatelistów, który interesuje się historią poczty. – Listy przewożono konno, a kiedy jeździec zbliżał się do stacji zaprzęgowej, dął w trąbkę, by już siodłano mu następnego konia. Właśnie dlatego trąbka jest symbolem poczty.

Janusz Adamczyk jest posiadaczem bogatej kolekcji stempli na listach i pocztówkach oraz znaczków krakowskich poczt różnych

okresów. Interesują go nie tylko znaczki, ale przede wszystkim treść pocztówki, stemple i adnotacje pocztowe. – Pocztówki, listy i koperty są bardzo cennym źródłem wiedzy historycznej i to najbardziej fascynuje mnie w filatelistyce – dodaje.

Filatelista, czyli kto?

– Ja nie jestem filatelistą tylko markolubem – wyjaśnia dr inż. Jerzy Duda, prezes Ogólnopolskiego Klubu Filatelistycznego „Cracoviana”. – Zbieram znaczki tematycznie: związane z historią i architekturą Krakowa, z elementami bibliofilskimi oraz z motywami dróg, co wiąże się z moim zawodem. Niektórych szukałem całe lata. Kwintesencją kolekcjonerstwa jest dla mnie poszukiwanie brakującego waloru.

Niektórzy zbierają znaczki ostemplowane, inni czyste, pojedynczo lub w arkuszach, które nigdy prawdopodobnie nie trafiły do obiegu pocztowego, a jeszcze inni szukają tylko tych na kopertach lub kartach pocztowych, z autentyczną korespondencją. Te ostatnie nazywane są całościami.

Spora grupa zbieraczy traktuje filatelistykę jako inwestycję i skupia się na znaczkach rzadkich, które mają jakieś błędy drukarskie lub drukowane były w niewielkich nakładach. Sprawdzają każdą literkę, barwę i stan gumy (tj. kleju), liczą ząbkowania i wciąż szukają informacji o fałszerstwach. Białe kruki mogą osiągać na aukcjach zawrotne ceny.

Na przeciwnym biegunie znajdują się „abonamentowcy” – osoby, które otrzymują co kwartał pakiet popularnych wydanych przez Poczta Polską znaczków. W latach 60. i 70. niemal każdy zbierał znaczki w ten sposób. Nie przedstawiają dziś one wielkiej wartości.

Kraków kolebką filatelistyki

To właśnie w Krakowie w 1890 roku kupiec i cukiernik Maksymilian Mikołaj Urbański na ulicy Wiślniej otworzył Krakowski Bazar Marek Poczтовых. Ponoć wystawa sklepu kusiła przechodniów kolorowymi znaczkami z całego świata. W swoim sklepie sprzedawał nie tylko znaczki i stemple pocztowe, ale również motyle, muszle, jaszczurki i rybki akwariowe. Ten różnorodny asortyment nie oznacza, że znaczki nie budziły zainteresowania. Wręcz przeciwnie, musiało istnieć już wówczas w Krakowie środowisko filatelistów, ponieważ 6 stycznia 1893 roku powstał pierwszy na ziemiach polskich Klub Filatelistyczny uznany oficjalnie przez austriackiego zaborcę. Było to ważne wydarzenie, a relacje z pierwszego zebrania zamieszczono w prasie codziennej. Do dzisiaj 6 stycznia obchodzony jest Dzień Filatelisty.

Koniec XIX wieku był okresem ożywienia kulturalnego w liczącym około 75 tysięcy mieszkańców Krakowie. Odrestaurowana Biblioteka Jagiellońska, Muzeum Czartoryskich (1874) i Muzeum Narodowe w Sukiennicach (1883) przyciągały rzesze Galicjan. W 1893 roku otwarto nowoczesny teatr miejski (dziś Teatr im. Juliusza Słowackiego). Rok później krakowska prasa informowała, że w Krakowie zamieszkał znany kolekcjoner monet,

medali, grafik i starodruków Emeryk Hutten-Czapski. Mieszkali tu i tworzyli Stanisław Wyspiański, Jan Matejko, Adam Asnyk czy Tadeusz Pawlikowski. W początkach XX wieku w Krakowie osiadł wielki podróżnik i kolekcjoner sztuki Feliks Jasieński. Kraków był miastem kolekcjonerów i pewnie dlatego stanowiąc świetny grunt dla rozkwitu filatelistyki, a krakowscy kolekcjonerzy mogli czerpać wiedzę z wydawanego w latach 1894–1900

To właśnie w Krakowie w 1890 roku kupiec i cukiernik Maksymilian Mikołaj Urbański na ulicy Wiślniej otworzył pierwszy na ziemiach polskich sklep ze znaczkami: Krakowski Bazar Marek Poczтовых. W swoim sklepie sprzedawał nie tylko znaczki i stemple pocztowe, ale również motyle, muszle, jaszczurki i rybki akwariowe.

miesięcznika „Polski Filatelista” pod redakcją Maksymiliana Urbańskiego.

Krakowskie walory

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości proces budowania na nowo filarów państwowości był skomplikowany i długotrwały. Nie było wspólnej jednostki monetarnej, nie było również polskich znaczków. W pierwszych miesiącach niepodległości posługiwano się zatem znaczkami zaborców, na których drukowano napis Poczta Polska. Znaczki te nazywamy prowizoriami. Jednak niewygodne państwo drukowało je w zbyt małych nakładach. W Warszawie, Lublinie i Krakowie ustawiły się kolejki w urzędach pocztowych, a sporą część kupujących stanowili spekulanci, którzy widzieli w tym intratny biznes. Podobno nawet połowa znaczków z tego okresu nie trafiała do obiegu, bowiem od razu kupowali



Wydanie ministerialne, 1919



Znaczek upamiętniający pierwszy polski lot do stratosfery, 1938

je kolekcjonerzy. Co więcej, słabe możliwości technologiczne były przyczyną powstawania licznych błędów: niezbyt dokładnie odbita litera lub cyfra, zmiana koloru znaczka. „Wydanie krakowskie” i jego liczne błędy drukarskie stanowią dziś marzenie niejednego filatelisty. W okresie tym dokonywano też wielu fałszerstw. Skalę filatelistycznej gorączki obrazuje historia urzędnika pocztowego Józefa Millera, który w 1919 roku wszedł w posiadanie znaczków austriackich z podobizną cesarza Karola. Oficjalny zadruk tych arkuszy napisem POCZTA POLSKA został już zakończony. Odkupił zatem oryginalny skład zecerski i udał się do Cieszyna, by tam w tajemnicy wykonać dodruk napisu na posiadanych arkuszach. Przez całe lata specjaliści spierali się, czy drukowane przez Millera znaczki są fałszerstwem czy jeszcze można zaliczyć je do wydania krakowskiego? W opinii Jerzego Walochy, profesora anatomii UJ i eksperta Polskiego Związku Filatelistycznego, znaczki te uważane są za „fałszywki”, ale często włączane są do zbiorów. Dzięki drobnozgowym badaniom i publikacjom Stanisława Miksteina, Zbigniewa Mikulskiego, Józefa Tisłowitza, Jana Ryblewskiego czy Lesława Schmutza krakowskie znaczki z tego okresu zyskały wielkie uznanie. Dziś to najdroższe znaczki polskie. – Rekord cenowy dla tego wydania należy do znaczka wydanego w formie przedruku w barwie czarnej na znaczku o nominale 10 koron w wersji dopłatnej – opowiada prof. Walocha. – Jego egzemplarz sprzedany został w 2007 roku na jednej z aukcji nowojorskiej firmy Cherrystone za ponad 30 tysięcy dolarów.

Pierwszy oryginalny polski znaczek

Z powodu permanentnego braku znaczków poczta w Krakowie w lutym 1919 roku za zgodą Polskiej Komisji Likwidacyjnej – najwyższej władzy państwowej w byłym zaborze

austriackim – wydała pierwszy oryginalny polski znaczek: z orłem piastowskim na tarczy i napisem u góry Poczta Polska. Emisja objęła 11 nieząbkowanych znaczków o nominatach od 2 halerzy do 1 korony. W sumie wydano ich 10 milionów, więc nie należą dziś do rarytasów.

Spora grupa zbieraczy traktuje filatelistykę jako inwestycję i skupia się na znaczkach rzadkich, które mają jakieś błędy drukarskie lub drukowane były w niewielkich nakładach. Sprawdzają każdą literkę, barwę i stan gumy (tj. kleju), liczą ząbkowania i wciąż szukają informacji o fałszerstwach. Białe kruki mogą osiągać na aukcjach zawrotne ceny.

Lata 20. to okres galopującej inflacji. Ministerstwo Poczty i Telegrafów stale wprowadzało kolejne znaczki o coraz większych nominatach. Był to trudny okres dla krakowskiego środowiska filatelistycznego. Zawieszono wydawanie „Filatelisty Polskiego”, który ukazywał się w Krakowie od 1919 roku, a wielu filatelistów, zniechęconych inflacją i fałszerstwami, zaprzestało dalszego budowania swoich kolekcji. Dopiero lata 30. przyniosły odrodzenie tego środowiska.

– Znaczki zawsze odzwierciedlają ważne dla kraju wydarzenia – zauważa dr Duda. I tak w 1933 roku z okazji 400-lecia śmierci Wita Stwosza wydano znaczek z ołtarzem z kościoła Mariackiego. Podczas sypania kopca Marszałka Piłsudskiego w 1935 roku sprzedawano znaczek z jego podobizną. W 1938 roku Poczta Polska upamiętniła pierwszy lot



Widoki zabytkowych budowli Krakowa z czasów okupacji niemieckiej, 1940



Seria wydana z okazji 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1964

do stratosfery. Miał się on odbyć balonem w Dolinie Chochołowskiej, jednak po napełnieniu go wodorem powłoka balonu zapaliła się. Korespondencją, którą miał unieść balon, opatrzone pieczęciami: „Lot do stratosfery z powody pożaru nie doszedł do skutku. Dolina Chochołowska 14.9.1938” i rozwieszono ją tradycyjną drogą.

W 1938 roku ukazała się również seria historyczna, wydana z okazji 20. rocznicy odzyskania niepodległości, zaprojektowana przez Wacława Boratyńskiego. Jeden z tych znaczków wywołał niemały skandal dyplomatyczny. Chodzi o znaczek przedstawiający parę królewską: Jadwigę i Jagiełłę, u stóp których złożono miecze grunwaldzkie. Władze Trzeciej Rzeszy uznały, że wspomnianie w ten sposób klęski zakonu krzyżackiego pod Grunwaldem jest obraźliwe dla narodu niemieckiego, i zażądano, by znaczek usunąć z obiegu. Ostatecznie Boratyński zamienił miecze na ornament. Niebawem Niemcy zaatakowały Polskę, a Wacław Boratyński został zmobilizowany do piechoty Wojska Polskiego i zginął w kampanii wrześniowej, broniąc Lwowa.

Czarna karta filatelistyki

Po utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa Niemcy dokonali nadruku godła niemieckiego ze swastyką na polskie znaczki z wizerunkiem gen. Rydza Śmigłego, prezydenta

Ignacego Mościckiego i na serii historycznej. Ukazała się też seria z zabytkami Krakowa.

Niemcy chętnie poszukiwali w Krakowie dzieł sztuki, a także zbiorów filatelistycznych. Jednak cenne zbiory ochroniono przed hitlerowcami za sprawą Stanisława Miksteina, który w swoim domu urządził nieformalny klub filatelistyczny. Jeśli ktoś zmuszony okolicznościami chciał sprzedać swoje znaczki, Mikstein szukał odbiorców wśród Polaków. Tymczasem do oficjalnych sklepów odwiedzanych chętnie przez okupanta trafiały kłasy pełne falsyfikatów... Czy tak było rzeczywiście? Trudno dziś dociec. Faktem jest, że niektórzy na wojnie bardzo się bogacili. Witold Horain w książce *Krakowski ruch filatelistyczny 1893–1968* wspominał, że do największych szczęściarzy należał w owych latach Stanisław Kadłuczka, właściciel sklepu filatelistycznego przy ul. Długiej 14, do którego zgłosili się znalazcy zbioru z pociągu rozbitego bombami na trasie Bielsko-Kalwaria. Zawierał on między innymi wszystkie niestemplowane znaczki europejskie w parach od 1923 roku do samej wojny. Nigdy nie odkryto, kto był właścicielem zbioru, ale z całą pewnością był to unikat w skali Europy.

– To była czarna karta naszej historii – ocenia dr Duda. – Stanisław Mikstein po wojnie spotykał się z krytyką i szykanami, ponieważ w 1944 roku opracował katalog filatelistyczny



Arrasy Wawelskie, 1970



Odnowa Zabytków Krakowa, 1982

ny, a nie było mile widziane, by publikować podczas wojny.

Kraków kochał filatelistów

Zaraz po wojnie Kraków znów stał się głównym ośrodkiem filatelistycznym. Już 25 marca 1945 roku w sali YMCA odbyło się zebranie Krakowskiego Towarzystwa Filatelistycznego. Szybko stało się ono ogólnopolskim, ponieważ inne miasta zniszczone w czasie wojny nie miały możliwości, by podjąć dawną działalność. Pod koniec 1945 roku Polski Związek Filatelistów liczył już ponad 250 członków. W „Przekroju” regularnie drukowano artykuły w „Kąciku filatelisty”, a nieco później tematykę tę chętnie podejmowało też radio i telewizja. PZF organizował w Krakowie wielkie wystawy z okazji 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego (1964), 20. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau (1965), Tysiąclecia Państwa Polskiego (1966), 50. rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej (1967) oraz ogólnopolskie obchody 75-lecia polskiego ruchu filatelistycznego (1968). Wystawy te odwiedzały tysiące osób. – Wówczas to była jedyna okazja, by kupić coś ciekawego, poza tym

były one wielkim wydarzeniem kulturalnym – wyjaśnia Janusz Adamczyk. To właśnie jego zainteresowanie tematyką związaną z podwawelskim grodem doprowadziło do utworzenia w 1969 roku Ogólnopolskiego Klubu Filatelistycznego „Cracoviana”.

Ciekawostką z tego okresu jest tak zwana poczta raketowa. W latach 1960–69 na Pustyni Będowskiej testowano rakiety badawcze w ramach programu Meteor. Z inicjatywy krakowskich filatelistów ukazały się znaczki i stemple nawiązujące do tego projektu. – Znaczki te nie są obiektami filatelistycznymi, ponieważ nie zostały oficjalnie wprowadzone do obiegu pocztowego – zaznacza Janusz Adamczyk.

W latach 70. koła filatelistyczne działały w szkołach, sanatoriach i zakładach pracy. Zainteresowanie filatelistyką było tak duże, że w 1978 roku władze miasta zdecydowały, że przy ulicy Floriańskiej powstanie Dom Filatelisty. XVI-wieczna kamienica z aniołkiem przez 14 lat była miejscem spotkań, prelekcji i wystaw filatelistycznych. W 1990 roku, po transformacji, trafiła do rąk prywatnych, a krakowscy filателиści skazani zostali na tułaczkę.



Kraków Europejskie Miasto Kultury 2000 (fot. dzięki uprzejmości Janusza Adamczyka)

Kraków w miniaturze

Pierwsze polskie znaczki wydane po wojnie przedstawiały zabytki Krakowa. Później temat ten wielokrotnie powracał, na przykład w projektach kierownika Wydziału Grafiki na ASP prof. Witolda Chomicza. To właśnie on jest autorem znaczków z lajkonikiem wydanych w 1955 roku z okazji Dni Krakowa, a także serii „Historyczne miasta polskie” – według Jerzego Dudy jednej z najpiękniej wydanych w PRL-u. Prof. Chomicz zaprojektował również znaczki z okazji 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jest mnóstwo znaczków o tematyce krakowskiej, ale niebagatelne znaczenie dla promocji miasta miała inicjatywa Lucjana Piekarza, dziennikarza „Gazety Krakowskiej” i redaktora naczelnego „Filatelisty Małopolskiego”, dzięki któremu Poczta Polska zdecydowała się na wydawanie znaczków i kartek pocztowych poświęconych rewaloryzacji zabytków architektury krakowskiej. Projektował je wybitny artysta Andrzej Heindrich. W 1989 roku Poczta Polska zakończyła tę serię.

Znaczki o tej tematyce projektował również Czesław Słania, absolwent krakowskiej ASP, Nadworny Grawer Króla Szwecji, współpracujący również między innymi z pocztami Danii, Księstwa Monako, Kanady, Dominikany, Argentyny. Znaczki projektowane przez Czesława Słanię uznawane są za najpiękniejsze na świecie. Z okazji przyznania Krakowowi tytułu Europejskiego Miasta Kultury zaprojektował on bloczek „Kraków 2000”. – Miałem to wielkie szczęście, że przyjaźniłem się z Czesławem – opowiada Janusz Adamczyk. – Były wielkie trudności, by wprowa-

dzić do emisji ten bloczek, ponieważ plany wydawnicze na rok 2000 były już zakończone. Wpadłem więc na pomysł, by zaangażować Czesława Słanię do tego projektu i jego autorytet spowodował, że Poczta Polska zdecydowała się na druk tego znaczka.

Quo vadis, filatelistyko?

Dziś filatelistyka jest bardzo elitarną dziedziną kolekcjonerstwa. Krakowskie środowisko skupia wielu wybitnych ekspertów, takich jak Janusz Adamczyk, Lesław Schmutz czy Jerzy Walocho. – Dawniej filatelistyka była działalnością kulturalną i mieliśmy dużo pieniędzy na promocję. Były takie okresy, kiedy Polski Związek Filatelistów liczył 280 tysięcy członków; dziś jest nas w całej Polsce może 5 tysięcy – mówi dr Jerzy Duda. – Jak dziś powinniśmy mówić o filatelistyce? Jak zwrócić uwagę młodych ludzi? Patrząc na wszystkie przemiany, które zachodzą w ostatnich latach, wciąż zadaję sobie pytanie: *quo vadis*, filatelistyko?



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiec, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

Osiemdziesiąte urodziny Jana Pieszczachowicza

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Jak świętować okrągły jubileusz, to tylko w Krakowie. A gdy się go świętuje z miesięcznikiem „Kraków”, to życzenia spełniają się w dwójnasób. Przekonał się o tym bez wątpienia pierwszy redaktor naczelny pisma Jan Pieszczachowicz, który w murach urzędu miasta obchodził 80. urodziny. Uroczystość była tym bardziej podniosła, że splotła się z 15-leciem istnienia „Krakowa”.



Jan Pieszczachowicz jest tak wybitnym świadkiem życia literackiego naszego miasta, że wszystkie nagrody, które mógł otrzymać, już otrzymał. Dlatego postanowiłem wręczyć mu tym razem wybitny specjalnie na jego cześć medal – powiedział prezydent Krakowa Jacek Majchrowski, przekazując jubilatowi cenną pamiątkę.

Miłe były także słowa Stanisława Dziedzica, dyrektora Biblioteki Kraków, wydawcy miesięcznika „Kraków” oraz najnowszej publikacji bohatera spotkania, zatytułowanej *Było, nie minęło*: – To książka o pięknej i mądrej pojętej pamięci. Napisał ją człowiek, który umiał mądrze układać się z życiem.

Stanisław Dziedzic wspominał o pełnionych przez Jana Pieszczachowicza ważnych funkcjach w Związku Literatów Polskich oraz o współtworzonych przez niego periodykach: „Studencie”, „Piśmie” czy „Krakowie”.

Jubilat, poproszony przez obecnego redaktora naczelnego miesięcznika Witolda Beresia o kilka rad na następne lata ludziom teraz tworzącym pismo, powiedział: – Główną moją zasadą zawsze była głęboka wdzięczność dla osób żyjących i nieżyjących. A także życie w przyjaźni z ludźmi. I niekoniecznie marzenie o karierze, bo ta albo przyjdzie albo nie.

Słowa te zostały nagrodzone gromkimi bra- wami, podobnie jak wyznanie Witolda Beresia, który wskazał drogę na przyszłość miesięcznika. – Jesteśmy otwarci, kochamy ludzi i nie boimy się wyzwania. Nie robimy pisma partyjnego, tylko otwarte. Stąd nasze najnowsze pomysły, jak ogłoszony właśnie konkurs *Portrety* na najlepsze polskie dzieło biograficzne i projekt *Zaczytaj się w Krakowie*, dzięki któremu miesięcznik będzie niósł ducha krakowskości przez całą Polskę.

By to było możliwe, potrzebni są Przyjaciele Kultury. Pierwszym z nich, który otrzymał dyplom w postaci grafiki Daniela Mroza, został Jacek Majchrowski. Z kolei prezydent obdarował obchodzący 15. urodziny miesięcznik obrazem przedstawiającym Kraków. A potem był już koncert Aloszy Awdiejewa i toasty, których na tak okrągłych urodzinach nie mogło zabraknąć.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrołożka, jurorka Marki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Miłość czule sfotografowana

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Reprodukcje zdjęć za: *Dymny* (wystawa czasowa), MOCAK Muzeum Sztuki Współczesnej, Kraków

Na wystawie w MOCAK-u poświęconej Wiesławowi Dymnemu znajdują się zdjęcia, które artysta zrobił swojej żonie Annie.

nio ustawione, wydobywając z mroku twarz i sylwetkę Anny, Wiesław domalowywał jej kreski, cienie i inne elementy makijażu, których jego zdaniem brakowało.

Kiedy uznał, że modelka jest gotowa, brał do ręki jeden z dwóch aparatów, na które wydali, jak na ówczesne czasy, majątek. Wyostrzał obiektywem kadr i naciskał spust. Wówczas słychać było charakterystyczne pstryknięcie. Odgłos przeskakującej migawki będzie do nas docierał przez całą tę opowieść o niezwykłej miłości Anny Dym-

Kadr, w którym kwiaty rozkwitają

Ale na razie aparat został w Krakowie i nie słychać żadnych pstryknięć. Na planie filmu *Pięć i pół twarzy Błedego Józka*, kręconego w Łącku, panuje cisza. Tylko scenarzysta niespokojnie kręci się wśród rozstawionych dekoracji, raz po raz podrzucając reżyserowi coraz to nowe fragmenty tekstu. Henryk Kluba toleruje to, bo wie, że Wiesław Dymny dostarcza mu znakomity materiał do pracy. Grająca główną rolę młodzieńca aktorka Anna Dziadyk ma inny problem. Trochę boi



Wiesław Dymny, fot. dzięki uprzejmości Anny Dymnej



Anna Dymna, fot. Wiesław Dymny, fot. dzięki uprzejmości Anny Dymnej

aniczka, wiesz co, jak skończysz spektakl, to nie zmywaj makijażu, tylko wróć w nim do domu. Zrobimy sobie sesję” – tych kilka słów zawsze sprawiało, że Anna Dymna biegła wieczorem przez Rynek jak na skrzydłach. Wdrapywała się po schodach prowadzących

na strych starej kamienicy, a tam wszystko było przygotowane. W pokoju paliły się reflektory, które jej mąż sam zrobił, choć niespecjalnie umiał radzić sobie z prądem, a wokół leżały rekwizyty: kosze, szkła, kilimy, futerka, ubrania. Gdy światło było już odpowied-

nej i Wiesława Dymnego. Choć nie liczymy na to, że zawsze usłyszymy miły dla ucha dźwięk. Niekiedy, jak to w życiu bywa, zazgrzyta on nieprzyjemnie, aż w końcu zmieni się w przejmującą ciszę. Bo pewnych rzeczy nie trzeba utrzymywać na kliszy.

się tego dziwnego scenarzysty, który mało mówi, często jest jakiś zmęczony i tylko czasem miło się uśmiecha.

– Wcześniej takich ludzi jak Wiesiu nie znałam. On był taki spuchnięty, wyglądał jak chiński bożek. Tak było chyba wtedy, kiedy



Anna Dymna, fot. Wiesław Dymny, fot. dzięki uprzejmości Anny Dymnej

miął kaca. Czasem czuć było od niego alkohol. Bywało, że rzucał komuś jakieś ostre słowa, których wtedy nie znałam i bardzo się wstydziałam. A na mnie tylko patrzył i spod tej swojej dzikiej maski łagodnie się uśmiechał. Zupełnie inny wstyd poczułam, gdy grałam z Andrzejem Malcem scenę miłości. Leżałam nago, tylko w małych majteczkach na łóżku i moje ciało powoli zakwitało kwiatami. Żeby to sfilmować, Dymny przez cały dzień spo-

kojnie i precyzyjnie, w milczeniu malował mnie takimi małymi pędzelkami. Coraz więcej kwiatów miałam na twarzy, rękach, piersiach... Czułam się tak, jak pewnie czuje się płótno, gdy malarz dotyka je różnymi kolorami. Metafizyczne uczucie.

Wcześniej na twarzy Anny i Wiesława zamiast kwiatów zakwitły ślady po wymierzonych w afekcie uderzeniach. A stało się to w majowe święto, kiedy ekipa rozjecha-

ła się do domu. Anna Dziadyk nie wróciła do Krakowa. Była mocno przeziębiona i wolała się wykurować w pałacyku Rydza-Śmigłego w Łącku, gdzie filmowcom wynajmowano pokoje. Usiłowała czytać w łóżku *Mistrza i Małgorzatę*, ale nie mogła się skupić na lekturze, bo cały czas przeszkadzały jej odgłosy dochodzące z korytarza. Tam Wiesław Dymny, razem z równie jak on pijanym kolegą Jerzym Cnotą, grali w ping ponga, klnąc przy tym siarczyście. Młoda aktorka w pewnym momencie nie wytrzymała, otworzyła drzwi i grzecznie poprosiła, żeby przestali.

Wtedy Dymny wtargnął do jej pokoju z butelką w ręce i coś usiłował powiedzieć, używając powtarzanego z uporem słowa „kurwa”, stosowanego jako zamiennik przecinka. Ona nie była przyzwyczajona do takich wyrazów i pomyślała, że ten pijany mężczyzna tak właśnie ją nazwał. Wymierzyła mu policzek, a on jej oddał. Była w szoku, nigdy nie zdarzyło się jej coś podobnego. Natychmiast wyjechała do Krakowa.

Ale po kilku dniach musiała wrócić na plan. Gdy wysiadła zmarznięta z pociągu, Dymny stał na peronie w szarym, kusym kożusku. Nic nie powiedział, tylko wyciągnął zza pleców trzy zamrażnięte goździki. Wtedy odruchowo pocałowała go w policzek. I coś się od tej chwili zmieniło. – Wiesiu, jak dziecko, zaczął podrzucać mi pod drzwi prezenciki, to jakiś obrazek, to wyrzeźbioną z drewna broszkę. Po zdjęciach chodziliśmy na długie spacerki i gadali, gadali, gadali... Dymny przestał pić. Był delikatny, dowcipny, ciepły... Gdy plan filmowy przeniósł się do Łodzi, po zdjęciach łaziliśmy całymi godzinami po ulicach i nawet nie trzymaliśmy się za ręce. Wówczas to wszystko się w nas dopiero rodziło – wspomina aktorka.

Z tego czasu pochodzi zdjęcie Anny Dziadyk jadącej na rowerze w otoczeniu gangu motocyklistów. To kadr z filmu *Pięć i pół Bładego Józka*. Widać na nim delikatną, piękną dziewczynę, która ma w oczach iskry świadczące o jej zdecydowanym charakterze. Tego zdjęcia nie zrobił Wiesław Dymny. On aparat wziął do ręki dopiero, gdy uporządkował swoje rodzinne sprawy i po wielu miesiącach wreszcie zamieszkali razem.

Kadr, w którym policzek przytula się do miękkiego futra

Teraz już są małżeństwa. Ta sesja będzie przepiękna i czuła, jak skórki z lisów, którymi otula się Aniczka. Stoi naga, patrzy prosto w obiektyw, a Wiesław drapuje na niej miękkie futerko. Układa jej ręce tak, by mogła przytulić je do policzka. Słysząc pstryknięcie, jego odgłos jest ciepły i bezpieczny. Tak jak dom, który razem urządzają. Dymny aranżuje strych, na którym będą razem mieszkać. Projektuje meble i razem je robią. Przedpokój zamienia w zakład stolarski, w którym, wśród leżących na podłodze wiór,

Trudno snuć opowieść o Dymnych jak przecukrowane love story. Słodko było wtedy, gdy on nie pił. Wówczas powstawały nie tylko piękne zdjęcia, ale też fantastyczne rysunki i teksty, które bawiły widzów Piwnicy pod Baranami.

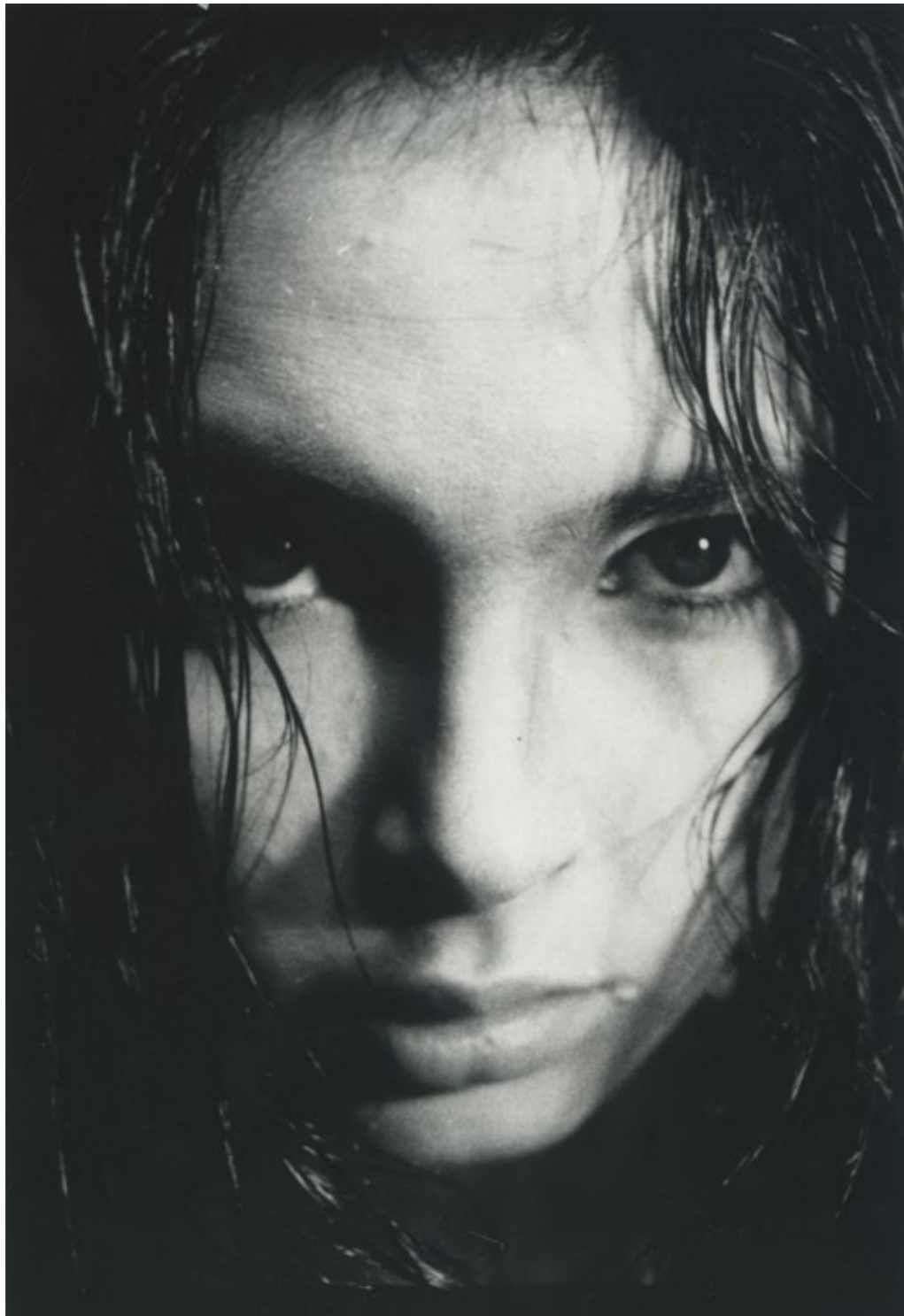
tnie i hebluje drewno. – On był od grubszej roboty, ja od wykańczania, bejcowania, szlifowania. Okropnie się starałam, bo on mnie chwalił. „Aniczka, pięknieś to wyszlifowała” – mówił, a ja byłam taka dumna z siebie. Podobnie zresztą jak wtedy, kiedy szyłam ze skóry buty czy malowałam z nim zegary. Bo on mnie wszystkiego uczył, chciał, żebym była tą, która własnymi rękoma tworzy swój świat. Tak jak on.

Do ślubu idzie w butach zaprojektowanych przez Wiesia, takich wysokich, skórzanym, z kieszonkami. Ktoś robi im oficjalną fotografię, jak podpisują akt małżeństwa. Potem już nikt nad zdjęciami się nie zastanawia, bo na strychu trwa zabawa na całego. Piwnica pod Baranami świętuje z nowożeńcami, a Piotr Skrzynecki z ojcem panny młodej śpiewa partyzanckie piosenki. Miała być podana świeża polędwica, ale w zamieszaniu zapominają o leżącym w schowku mięsie. Będą je rozdawać rano sąsiadom, bo nie mają lodówki, a właśnie muszą wyjechać na kolejny plan filmowy.

Aniczka niebawem zaczyna zdjęcia do spektaklu realizowanego w teatrze telewizyjnym *Wysoka stawka*. To obyczajówka, w której bohaterka nie prowadzi się najlepiej. Do spektaklu potrzebne są jej zdjęcia z kochankiem. Reżyserka Krystyna Meissner prosi telewizyjnego fotografa Jerzego Zaczyńskiego, by zrobił je aktorce. Zastanawiają się, kto może jej w nich partnerować. Ona proponuje, by był to jej mąż. – To są jedyne zdjęcia, na których jesteśmy razem. Siedzę Wiesiuwi na kolanach, na ramionach... Zdjęć z Wiesiem mieliśmy mało, bo to on mnie zawsze fotografował.

Tak jak wtedy, kiedy Anna miała zagrać w filmie Żuławskiego *Na srebrnym globie*. Przykro jej było, że musi zrezygnować z tak ciekawej propozycji, bo termin zdjęć nakładał się jej na inne zobowiązania. – „Aniczka, nic się nie martw, zrobimy sesję dzikiego człowieka na srebrnym globie”, powiedział Wiesiu i przyniósł do domu wielkie kości. Pozostałam mu półnaga, trzymając je w rękach.

Te zdjęcia były dzikie, niebezpieczne tak jak temat, do którego nawiązywały. I tak jak życie, które wiódł Wiesław Dymny. Bo przecież trudno snuć opowieść o nim i Annie jak przecukrowane love story. Słodko było wtedy, gdy nie pił. Wówczas powstawały nie tylko piękne zdjęcia, ale też fantastyczne rysunki



Anna Dymna, fot. Wiesław Dymny, fot. dzięki uprzejmości Anny Dymnej

i teksty, które bawiły widzów Piwnicy pod Baranami. Bo Dymny był uzależniony od tego miejsca. Choć wiedział, że jak tam wejdzie, to będzie pił. – A jak pił, to marnował czas. On tego nienawidził, ale to było silniejsze od niego – nie kryje żona.

A po alkoholu bywał agresywny, nieprzewidywalny. Piotr Skrzynecki prosił czasami Anię, żeby zabrała go z Piwnicy, bo się go po prostu boi. – Tylko że pod skorupą agresywnego, dzikiego człowieka chował się zrozpaczony, wrażliwy, przestraszony chłopiec. I ja to dosko-

nale wiedziałam – mówi Anna Dymna. By nie mieć co do tego wątpliwości, wystarczy przeczytać jeden z listów pisanych przez męża do niej: „Najmilsza, Kocham Cię bardzo. Kocham Cię, kiedy jesteś i kiedy Cię nie ma, bo zawsze jesteś. Kocham, kiedy Cię spotykam, kiedy patrzę, kiedy słyszę i kiedy tylko spodziewam się. Kocham Cię nocą, dniem, kocham wieczorem, kocham latem, wiosną, zimą. Kiedy masz nos zmarznięty i ręce zimne, które szukają ciepłego kamienia. Kocham Cię, kiedy śmiejesz się tak pięknie jak lecące stada ptaków. Kocham

Cię, kiedy jesteś poważna, a w Twoich oczach pojawia się czerni. Kocham Cię, kiedy płaczesz zupełnie bezbronna. Kocham Cię, kiedy Twój nos (którego kocham osobno, bo go dla Mnie Pan stworzył, błogosławiąc Matkę) jest zakatarzony, a oczka chowają się do środka zapuchniętych powiek. Kocham Cię zawsze”.

– Taki list powinna dostać każda kobieta, przynajmniej raz w życiu – dodaje aktorka.

Kadr, w którym włosy skręcają się w węzowe sploty

Tego wieczoru wyobraźnia Wiesława Dymnego wiodła go w ciemniejsze rejony. Gdy skierował obiektyw na twarz żony, przyszedł mu do głowy szalony pomysł. Chwytał ze stołu butelkę rycyny i wylał na jej głowę. Długie, ciemne włosy zaczęły skręcać się w śliskie, węzowe sploty. Niebawem na ich strychu będą pełzać zupełnie inne gady, już nie ciemne jak włosy Aniczki, tylko jasne, oślepiające siłą ognia, który strawi ich dom.

To stało się 29 października 1977 roku. Anna Dymna miała jeszcze w uszach oklaski publiczności, gdy wracała do domu po spektaklu w Starym Teatrze. Już przechodząc przez Planty zaczęła przeczuwać, że coś się dzieje, choć jeszcze nie miała pojęcia co. Będąc na schodach kamienicy, zrozumiała, że pali się jej strych. Przyczyną ognia był wybuch kineskopu radzieckiego telewizora. Na szczęście, gdy to się stało, jej mąż był w łazience. Kiedy z niej wyszedł i zobaczył, co się dzieje, wpadł w przerażenie. Odłamek kineskopu skaleczył go wówczas w szyję, a szlafrok, w który był ubrany, zapalił się. Zdarł go z siebie i zaczął szukać kluczy, by uciec z mieszkania. Był w szoku i nie mógł ich znaleźć. Dopiero Anna otworzyła drzwi od zewnątrz, otuliła go swoim płaszczem i wyprowadziła na korytarz. Straż pożarna, zawiadomiona od razu przez sąsiadów, już ciągnęła węża po schodach. Oni zostali bez niczego, tak jak stali. Wszystko spłonęło – własnoręcznie wykonane przez nich meble, obrazy, które z taką pieczołowitością wieszali na ścianach, listy, zdjęcia, książki... Słowem całe ich życie.

Przeprowadzili się do Elżbiety Karkoszki, przyjaciółki Anny z teatru. Wiesław Dymny otrząsnął się zaskakująco szybko i zaczął snuć plany odbudowy strychu. – „Aniczka, nie szkodzi, że to wszystko się spaliło. Zrobimy sobie lepsze. Tu wybijemy ścianę, tu przeniesiemy łazienkę i powiększymy mieszkanie”, mówił, jakby chciał działaniem zabić w sobie rozpacz. Zaczęliśmy odgruzowywać mieszkanie. To cud, że jednak udało się uratować tak dużo tekstów, rysunków i tych kilkanaście listów Wiesia do mnie. Moje do niego spłonęły prawie wszystkie. Podobnie stało się z obrazami, zegarami, scenariuszami i wieloma zdjęciami. Gdy je zbierałam, rozpadały mi się w rękach, zmieniały w popiół, tak jak klisze, które się roztopiły. Na szczęście części fotografii ogień nie strawił. Były w szafie, która

Anna Dymna o fotografiach pokazywanych w MOCAK-u: „Byliśmy w sobie szaleńczo zakochani i to przeniosło się na te zdjęcia”.

nie spłonęła. Zresztą nie płakaliśmy nad tym, cieszyliśmy się, że żyjemy i jesteśmy razem i że wszystko, co najlepsze, przed nami. Upychaliśmy, co zostało, do koszy, pudeł i wynosiliśmy na górną część strychu, by kiedyś to przeglądnąć.

Do tych pudeł Anna Dymna wróciła już sama w lutym następnego roku, gdy Wiesław Dymny umarł. Wtedy w popłochu zaczęła sprawdzać, co się uratowało. Ale w tym momencie, na jej prośbę, wyciszamy migawkę aparatu. Żaden kadr nie zostanie już zrobiony.

*

Przeniesiemy się teraz do MOCAK-u, gdzie do 15 marca możemy oglądać wystawę *Wiesław Dymny. Jestem ranny człowiek. Pisarz, aktor, malarz*. Znajdują się na niej obrazy, rysunki, kolaże, projekty okładek książek i plansze scenograficzne świadczące o niebywałej wszechstronności artysty. Wśród prezentowanych prac wiszą zdjęcia, które Wiesław Dymny robił swojej żonie. Trudno się przy nich dłużej nie zatrzymać. I to nie tylko ze względu na bezdyskusyjną urodę modelki. Jest w nich rodzaj światła, który przyciąga i sprawia, że ma się ochotę wejść w jego krąg. – To światło to miłość. Byliśmy w sobie szaleńczo zakochani i to przeniosło się na te zdjęcia. One nie mają w sobie tej pięknej udreki, którą, przynajmniej ja, widzę na mojej twarzy, gdy oglądam efekty sesji robionych do kolorowych magazynów. Fotograf mówi podczas nich: „Tu pani się wyciągnie, tu się wyprostuje, a tu obróci w bok”. A ja stoję przed nim cała połamana i robię głupie miny – śmieje się aktorka.

Ale za chwilę zmienia ton. – Poeci piszą, że miłość jest silniejsza niż śmierć. I mają rację. Prawdziwa miłość ma taką siłę, że czujemy ją ciągle, niezależnie od tego, gdzie człowiek, którego kochamy, jest. Ja przynajmniej czuję, że Wiesiu jest gdzieś koło mnie cały czas i wciąż się mną opiekuje.

Korzystałam z książki Moniki Wąs Dymny. *Życie z diabłami i aniołami*.

Wiesław Dymny. Jestem ranny człowiek. Pisarz, aktor, malarz (wystawa czasowa), MOCAK Muzeum Sztuki Współczesnej, ul. Lipowa 4, czynna do 15 marca 2020 roku



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marcki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Polaków „Portrety” własne w XXI wieku

Tekst: Witold Bereś Ilustracja: Janusz Stefaniak

Pusta złociona rama, oparta o ścianę, gdzie na zapleczu najmodniejszej galerii. Albo rama najnowsza, postmodernistyczna, zapodrziana na zakurzonego strychu. Rama jak to rama – jest na przestrzał pusta. Jej sens nadaje twórca, który w nią wpisuje dzieło. Nas interesuje portret – biografia człowieka, społeczności, miejsca... Dlatego tworzymy ramę – konkurs „Portrety” na najlepsze polskie dzieło biograficzne minionego roku.

Zapraszamy do udziału w nim i współtworzenia go.

Swego czasu, w czasie jednej z dalekich, dalekich podróży, zauważyliśmy w gronie przyjaciół, że to, co dziś najbardziej ludzi ciekawi, to artystyczna opowieść o ludzkich losach. Dodaje odbiorcom do przeżyć estetycznych i emocjonalnych (mówimy wszak o dziełach sztuki, a nie o akademickich podręcznikach) coś jeszcze – poczucie prawdy. Poznania faktów, a nie fake newsów. W tym się odnajdują. Z tego wyciągają wnioski i czerpią naukę. To daje im inspirację do dalszych poszukiwań wzorów.

To, co dziś najbardziej ludzi ciekawi, to artystyczna opowieść o ludzkich losach. Dodaje odbiorcom do przeżyć estetycznych i emocjonalnych coś jeszcze – poczucie prawdy. Z tego wyciągają wnioski i czerpią naukę. Stąd tak ogromna w świecie dzisiejszej kultury popularność biografii.

Stąd tak ogromna w dzisiejszej kulturze popularność biografii. Wywiadów rzek. Sag opisujących losy rodzin. Stąd portrety i autoportrety. Ale kogo to dzieło ma dotyczyć? Tak, wielkiego, znanego Bohatera. Lecz przecież nie tylko.

Bo zawsze chętnie poznajemy losy każdego człowieka uwikłanego w historię. Także losy całych grup i środowisk potraktowanych tak czy siak przez Los. Mogą to więc być też losy miasta czy miejsca – jako pewnej zamkniętej społeczności.

Ważne w tych poszukiwaniach jest to, aby można było w nich zawsze rozpoznać fakty, ale i – ludzi. To trochę tak, jak ze starym zdjęciem, powiedzmy z czasów dwudziestowiecznej Wielkiej Wojny lub tej większej, która przyszła po niej. Gdy to zdjęcie oglądamy, to nawet gdy widzimy tłum idący na śmierć, najbardziej porusza nas los pojedynczych, utrwalonych na tej kliszy twarzy. Co stało

się z tym chłopakiem trzymającym karabin? Czy ta dziewczyna go pocałuje? A czy ta mała dziewczynka przeżyła?

No i ważne są pytania ogólne. Gdzie i kiedy to zdjęcie zostało zrobione? Co pokazuje? I wreszcie: co się stało z fotografem?

Przykład fotografii jest wygodny również z innego powodu.

Bo jaka powinna być forma tej opowieści? Czy w grę wchodzi tylko książka? Czemu nie film? Lub spektakl? Wystawa? Zdjęcie lub kolekcja zdjęć? Może najprawdziwszy obraz w najprawdziwszych ramach?

Dlatego, żeby docenić dobrze skrojone ludzkie biografie, te wielkie, ale także te mniej znane, żeby budzić emocje, nie zapominając przy tym o prawdzie i o historii, ogłaszamy konkurs „Portrety” na najlepsze dzieło biograficzne minionego roku powiązane z losami Polski.

Organizatorami są Fundacja Świat ma Sens oraz miesięcznik „Kraków”, ale bez wsparcia Biblioteki Kraków (wydawcy miesięcznika) i firmy Consultronix, mecenasa Nagrody Głównej, byłoby to niemożliwe.

Tu głębokie ukłony i wielkie podziękowania.

*

Chcemy, aby hasło „portret” traktować możliwie najszerzej, elastycznie, nie dogmatycznie i bez napuszenia. Zawsze, poza prawdą opowieści, liczyć się będzie dla nas jej wymiar artystyczny i zdolność budzenia emocji u odbiorcy.

Choć będziemy nagradzać konkretne osoby, będące twórcami konkretnych dzieł, to zawsze będziemy rozpatrywać różne gatunki sztuki, dbając o jak najszerszą paletę tematów, miejsc i twórców.

I jeszcze coś jest dla nas ważne, poza chęcią dostrzeżenia ciekawych współczesnych dzieł, poza poznaniem gustów podpowiadających nam czytelników i wolą uhonorowania artystów, którzy najciekawiej portretują ludzkie losy. To marzenie wielkie, dziś może nawet brzmiać lekko na wyrost: aby w najbliższych latach wspólnie udało się nam w Polsce trzeciego dziesiątka XXI wieku stworzyć wielki, zbiorowy „Polaków portret własny”.



Wystawa pod takim właśnie tytułem w jakimś stopniu zmieniła wrażliwość Polaków jesienią 1979 roku i była prefiguracją wielkiego wybuchu godności i dumy, jakim w rok później stała się „Solidarność” sierpnia ’80.

*

A jakie dzieła rozważamy za rok 2019?

Są filmy. Jeden dokumentalny, *Kult*, film Olgi Bieńk (coś więcej niż kulisy z życia legendarnego zespołu) oraz dwa fabularne: Marcina Krzyształowicza *Pan T.* i Macieja Pieprzycy *Ikar. Legenda Mietka Kosza*.

Są trzy spektakle teatralne – te krakowskie, ale i z innych miast. Krzysztofa Jasińskiego *Cabaret* w STU (bo to portret rodzącego się Zła), Agnieszki Glińskiej *Panny z Wilka* w Starym Teatrze (bo to kobiet portret zbiorowy) i Mai Kleczewskiej *Pod presją* w Teatrze Śląskim (współczesny portret kobiety, która jest czarnuchem świata).

Są wystawy. *Wiesław Dymny. Jestem ranny człowiek. Pisarz, aktor, malarz* w Muzeum Sztuki

Aby docenić dobrze skrojone ludzkie biografie, te wielkie, ale także te mniej znane, żeby budzić emocje, nie zapominając przy tym o prawdzie i o historii, ogłaszamy konkurs „Portrety” na najlepsze dzieło biograficzne minionego roku powiązane z losami Polski.

Współczesnej MOCĄK w Krakowie i *Wajda* – również w krakowskim Muzeum Narodowym.

Jest muzyka i są koncerty. Zbigniewa Preisnera *Krakowski koncert jubileuszowy* (październikowe widowisko z okazji 40-lecia jego pracy artystycznej) i *Wodecki Twist Festiwal* (krakowska letnia rzecz, gdy Wodecki brzmi i brzmi...).

I oczywiście jest cała masa książek (tu grupa selekcyjna jury miała największe kłopoty z wytypowaniem tytułów, bo znakomitych portretów powstawała w roku 2019 cała masa!).

Agnieszka Dauksza opisała fascynującą artystkę XX wieku (*Jaremianka. Biografia*). Jacek Fedorowicz wspomina, jak robił filmy w PRL (*Mistrz offu*). Grzegorz Gauden przedstawia ciemną twarz Polaków (*Lwów. Kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918*). Książka Piotra Głuchowskiego i zmarłej niedawno Bożeny Aksamit to dopełnienie debaty o Kościele w Polsce (*Uzurpator. Podwójne życie prałata Jankowskiego*). Amerykanin Eric Karpeles napisał o wielkim Polaku (*Prawie nic. Józef Czapski. Biografia malarza*). Kazimierz Kutz odszedł w grudniu 2018 roku, a pośmiertnie ukazała się jego autobiografia (*Autoportret. Będzie skandal*). Jerzy Pilch systematycznie i szczerze opisuje relacje między literaturą, sprawami bieżącymi i ostatecznymi (*Trzeci Dziennik*). Paula Sawicka zapisała w niebanalnej serii „książek do pisania” bohatera i wielkiego obywatela (*Marek Edelman. Książka do pisania*). Monika Sznajderman przez lata wydawa-

ła świetne książki, a teraz sama pisze równie dobre (*Pusty las, osobista biografia Bieszczad, których już nie ma*). Wreszcie rockman Muniek Staszczak spowiada się Rafałowi Księżykowi (*King! Autobiografia*).

*

W chwili, gdy piszę te słowa, nie wiem jeszcze, które z wymienionych dzieł trafią do wielkiego finału.

Ale już widać – udało się nam zaprezentować DWADZIEŚCIA dzieł rozmaitych. I mają bezsprzecznie jedną cechę wspólną: są znakomite.

Do 15 stycznia 2020 roku użytkownicy sieci bibliotek miejskich w Krakowie, czytelnicy miesięcznika „Kraków” oraz nasi przyjaciele zgromadzeni w Kolegium Elektorów Konkursu podpowiadali nam, które TRZY z wymienionych dzieł winny się znaleźć w ścisłym finale. Dzięki tym podpowiadam jury konkursu wybierz w głosowaniu ostatecznego zwycięzcę.

Jury tworzą zaś: Magdalena Huzarska-Szumiec (dziennikarka pasjonująca się kulturą), Edyta Wiśniowska (szefowa promocji miesięcznika „Kraków”), Witold Bereś (redaktor naczelny miesięcznika), Krzysztof Burnetko (publicysta, autor książek), Janusz Paluch (krytyk literacki), Artur Więcek „Baron” (reżyser filmowy i teatralny, prezes Fundacji Świat ma Sens, przewodniczący jury).

Wyniki ogłoszone zostaną na nieuroczystej, ale sympatycznej krakowskiej gali w drugiej połowie lutego 2020 roku.

Zwycięzca konkursu otrzyma nagrodę w wysokości 10 tys. złotych ufundowaną przez firmę Consultronix.

Wszyscy podpowiadający nam wezmą udział w losowaniu cennych nagród książkowych – warunkiem wpisanie adresu, na który można przesłać nagrodę. Piszcie do nas na adres:

redakcja@biblioteka.krakow.pl

*

Nasze „Portrety” zaczynają skromnie. Ale z pewnością będą się zmieniać.

Stąd apel do Czytelników, Przyjaciół i instytucji związanych z kulturą:

– pamiętajcie o nas przez cały rok. Podesyłajcie nam bieżąco swoje propozycje. Będziemy o nich pisać, będziemy je promować, a za rok może i nagrodzimy.

Wszystko po to, aby powstał kolejny, niekończący się Polaków portret własny.



Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Skrzypek z Krakowa

Tekst: Małgorzata Jantos Zdjęcie: Raymond Clement/właściciel: Fundacja Zbigniewa Seiferta

To postać wciąż mało znana w Krakowie. Sytuacja nie taka znów odosobniona: świat zna twórcę i jego dzieła, a rodacy nie mają o nim pojęcia.

14 lutego 1979 roku w szpitalu w Buffalo umierał młody, zaledwie 33-letni polski skrzypek. Usunięto z jego organizmu tkanki nowotworowe, ale po dwóch operacjach nie wytrzymało serce. Po wielu latach leczenia choroby nowotworowej Zbigniew Seifert umarł na atak serca.

Gdziekolwiek bylibyśmy na świecie, w jakiegokolwiek instytucji czy klubie jazzowym ludzie związani z tą muzyką wiedzą, kim był Zbigniew Seifert. A jest to postać wybitna, muzyk, którego życie zostało przerwane u szczytu możliwości twórczych

Seifert zasługuje na uwagę, bo muzycy jazzowi, wciąż, po czterdziestu latach, grają jego utwory i pamiętają o tym, czego dokonał. W Krakowie działa założona w 2010 roku Fundacja Zbigniewa Seiferta, a od 2014 roku odbywają się Międzynarodowe Jazzowe Konkursy Skrzypcowe im. Zbigniewa Seiferta, które cieszą się dużym zainteresowaniem.

Początki

Kim był Seifert, gdzie działał, dlaczego zainteresowanie nim się odradza? Czego dokonał w swoim zaledwie 33-letnim życiu? Walczył przez długi czas z nowotworem, dlatego niekiedy nie mógł grać, ponieważ przestała działać jego ręka, co dla skrzypka mogło być dramatem, ale nie dla Seiferta. Przeczeknął i grał dalej.

Urodził się w Krakowie 7 czerwca 1946 roku. Rodzina mieszkała przy ulicy Zwirzyńnickiej 11. Jego ojciec współpracował z Armią Krajową i dlatego, tuż po narodzinach syna, spędził kilkanaście miesięcy w więzieniu.

Zbigniew w 1953 roku rozpoczął naukę w Państwowej Szkole Muzycznej w klasie skrzypiec Marii Maksysiowej. Szkołę ukończył w 1960 roku z oceną bardzo dobrą. Od najmłodszych lat gra na skrzypcach była

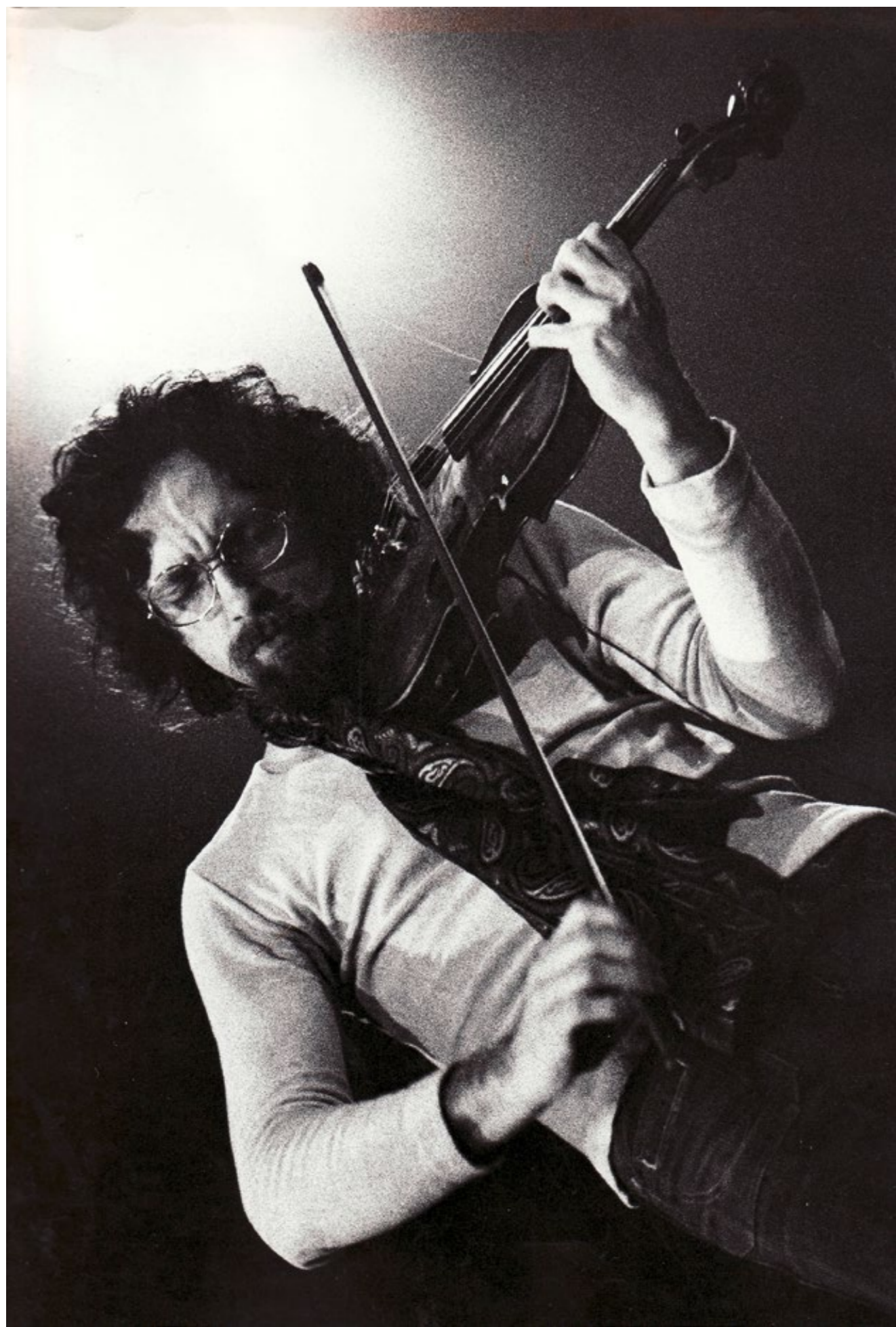
jego pasją. Ćwiczył wszędzie i o każdej porze. Poza skrzypcami zajmował się modelarstwem, chodził w góry. Przez krótki czas był w harcerstwie. Chciał być pilotem, ale okazało się, że ma wadę wzroku, co wykluczyło perspektywę takiego zajęcia.

Od czasów nauki w szkole podstawowej Seifert interesował się muzyką jazzową, mimo (a może dzięki temu?) że była to muzyka, na którą nauczyciele źle wtedy patrzyli. A właśnie Kraków powoli stawał się stolicą jazzu w Polsce. Zaczął wtedy działać Jazz Klub Helikon (znak firmowy stworzył dla klubu Wiesław Dymny). Był to ostateczny dowód, że jazz przebił się zza żelaznej kurtyny. Można go było wreszcie grać i słuchać. Seifert nie przechodził jednak kolejnych etapów nauki w Helikonie, jako że młodziem w jego wieku nie miała tam wstępu. Z czasem jednak o młodziutkim, zdolnym skrzypku dowiedzieli się inni muzycy. Wojciech Karolak opowiadał, że Seifert był „mistrzem świata” i edukacja w Helikonie nie była mu potrzebna.

W latach 1960–1965 Seifert uczył się w Państwowym Liceum Muzycznym im. Fryderyka Chopina przy ulicy Basztowej w klasie profesora Stanisława Tawroszewicza. W późniejszych wywiadach wspominał, jak dużo zawdzięcza pracy z Profesorem, który z kolei doceniał jego niespotykaną pracowitość.

W liceum Seifert spotkał ludzi, którzy zaważyli na jego późniejszych zainteresowaniach. Na początku grał z pianistą Janem Jarczykiem. Potem dołączył do nich perkusista Janusz Stefański. Seifert był w zespole kontrabasista. Sytuacja się zmieniła, kiedy do zespołu dołączył Jan Gonciarczyk, który przejął kontrabas od Seiferta.

Swoje zrobiła też lektura czasopisma „Jazz”, z którego można się było dowiedzieć, kto i jak gra tę muzykę na świecie.



Fascynacje

Wielką fascynacją muzyczną stał się dla Seiferta John Coltrane. Opowiadał, że zaczął się od wysłuchania pierwszej płyty jazzowej w życiu. Była nią Blue Train. Analizował utwory, spisywał z płyty całe frazy, starał się poznać sposób grania wybitnego saksofonisty. I, co zdaje się oczywiste, sam zaczął grać na tym instrumencie.

Na przełomie 1962 i 1963 roku powstał Kwartet Zbigniewa Seiferta. Pod koniec 1964 roku zespół, za zgodą dyrekcji liceum i pod opieką nauczyciela teorii muzyki Janusza Mroczyka, pojechał posłuchać największych sław jazzu na Jazz Jamboree. Dla członków zespołu wyprawa do Warszawy była niebywale istotna. Posłuchali jazzu granego przez najlepszych: Kwintet Krzysztofa Komedy, Zbigniewa Namysłowskiego, Jana Ptaszyna Wróblewskiego, Orkiestrę Jazzową Gustawa Broma i innych.

Seifert równoległe z grą na saksofonie nieustająco doskonalił grę skrzypcach. Zaczął studia w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie. Był zawieszony między muzyką klasyczną i jazzem. Grał Czajkowskiego, Karłowicza, Wieniawskiego na skrzypcach i jazz na saksofonie.

Koncerty i jamboree

Kwartet Zbigniewa Seiferta oficjalnie zadebiutował w listopadzie 1965 roku podczas XIV Zadaszek Jazzowych. Debiut był tak udany, że artystów zaczęto zapraszać do innych miast.

Dwa lata później muzycy z Kwartetu zaczęli występować z Tomaszem Stańko: najpierw Janusz Stefański, potem Jan Gonciarczyk, a w końcu dołączył do nich Seifert, wciąż jako saksofonista.

Kwintet Stańki to gwiazda Jazz Jamboree 1968. Równoległe występowały więc dwie ze zbliżonymi składami formacje: Kwintet Stańki i Kwartet Seiferta.

W 1970 roku Seifert ukończył studia z wynikiem bardzo dobrym. Z zespołem Stańki wyjechał na koncerty do Berlina. Kontakt z muzyką graną na Zachodzie miał olbrzymi wpływ na muzyczny rozwój artystów. W lutym 1971 roku Seifert postanowił spróbować grać jazz na skrzypcach. Zaczął myśleć o tym dopiero po dyplomie. Wtedy urodził się skrzypek jazzowy.

Wyjazdy w świat

Okazało się to początkiem kolejnego etapu intensywnych wyjazdów zagranicznych na wszelkie możliwe festiwale w Europie. Nagrywał też płyty, tyle że nie z własnymi zespołami, ale wspomagając innych muzyków. Brał między innymi udział w rejestracji dwóch krążków opery *Naga Niebiesko-Czarnych*, sesjach zespołu Laboratorium, Tomasza Stańki. Nie tylko zresztą w Polsce, ale i w Niemczech. W końcu postanowił, że ze względu na coraz dłuższe pobyty poza Polską zamieszka z żoną w Republice Federalnej Niemiec. Nigdy jednak, jak sam pisał, nie czuł się emigrantem: na Zachodzie po prostu koncertował.

Jego kariera nabrała niesamowitego tempa. Był nie tylko wykonawcą jazzu, ale także kompozytorem i nauczycielem prowadzącym warsztaty muzyczne.

Seifert zasługuje na uwagę, bo muzycy jazzowi, wciąż, po czterdziestu latach, grają jego utwory.

Po rozwiązaniu Kwintetu Tomasza Stańki i po Jazz Jamboree w 1973 roku dostał ofertę stałej współpracy od austriackiego saksofonisty Hansa Kollera. Był to wyraz wielkiego uznania dla dwudziestosiedmioletniego ledwie skrzypka.

W Niemczech z kolei otrzymał propozycję zdawania na koncertmistrza w orkiestrze radiowej NRD – wybrał jednak drogę wolnego muzyka.

Po zakończeniu współpracy z Kollerem postanowił stworzyć własny zespół. Chciał grać swój jazz.

W 1976 roku wystąpił na prestiżowym festiwalu w Montreux. Rozpoczął też pracę nad płytami sygnowanymi własnym nazwiskiem. Pierwszą była dedykowana żonie Agnieszce *Solo Violin* – rejestracja koncertu podczas Forum Junge Music w Bremie w 1976. Wszystkie kompozycje są autorstwa Seiferta – to ponad 40 minut wirtuozowskich i autentycznie jazzowych popisów skrzypcowych. W jednym z wywiadów Seifert podkreślał, że „nie interesują go łatwe chwytliwy skrzypcowe, a całą inspirację czerpie z mu-

zyki i techniki Johna Coltrane’a”. A było to wyczynem karkołomnym ze względu na odmienną specyfikę instrumentów.

Choroba

W kwietniu 1976 roku Seifert zaczął chorować. Miał 29 lat i początki szybko rozwijającej się choroby nowotworowej. Poddawał się wielu terapiom. Bez rezultatów. Niemieccy muzycy organizowali koncerty, na których zbierali środki na lekarstwa dla polskiego kolegi. I nagrywał płyty. Między innymi z amerykańskim saksofonistą Charlie Mariano.

We wrześniu 1976 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Nagrał tam dla Capitolu płytę zatytułowaną po prostu *Zbigniew Seifert* i wziął udział w kilku uznanych festiwalach.

Podkreślał, że nie interesują go łatwe chwytyskrzypcowe, a całą inspirację czerpie z muzyki i techniki Johna Coltrane’a. A było to wyczynem karkołomnym ze względu na odmienną specyfikę instrumentów.

Po powrocie do Europy nagrał *Man of the Light*. „Jazz Forum” napisało, że Seifert jest „cudownym technikiem” i „tętni ona życiem”. A obok rozwijała się choroba, o czym muzyk nie chciał informować rodziny w Polsce. Kiedy pisał do niej listy, bagatelizował swój stan zdrowia. Przede wszystkim wspominał o koncertach, płytach, wyjazdach. I wciąż grał. Pisał: „Mamuśku, nie denerwuj się proszę, bo wszystko jest na najlepszej drodze”.

W 1977 roku był w szpitalach, z przerwami, osiem razy. Choroba zaatakowała mu prawą rękę (nowotwór tkanki kostnej), tak że nie mógł koncertować. Wtedy mówił, że wróci do gry na saksofonie. Bo grać musi.

W listopadzie 1978 roku przyjechał do Krakowa. Wtedy też odbyły się jego ostatnie występy. Chemioterapia tak zmieniła jego twarz, że klinika musiała mu wystawić specjalny dokument zapewniający o jego tożsamości.

Pod koniec roku wyjechał znów do Stanów, aby tam nagrać drugą płytę dla Capitolu (taki miał kontrakt). Zatyłował ją *Passion*. Został bardzo dobrze przyjęty przez środowisko muzyczne Nowego Jorku. Lecz kilka dni po nagraniu Seifertowie pojechali do szpitala w Buffalo. W grudniu miał tam pierwszą operację, a potem kolejną. Wreszcie serce nie wytrzymało.

Zbigniew Seifert miał 33 lata. Jego grób znajduje się w Krakowie, na cmentarzu Rakowickim.

Nagrał wiele płyt, muzykę do filmów, był i wciąż jest legendą polskiej wiolinistyki jazzowej. Dla mnie był wielkim muzycznym odkryciem. Chciałabym ochronić pamięć o nim. Niestety, żyje coraz mniej ludzi, którzy z nim kiedyś grali. Lecz wciąż są ci, którzy słuchają jego kompozycji i płyt. Wśród nich młodzi muzycy, dla których jest inspiracją. Dlatego kiedy zachęcamy do udziału w konkursie skrzypcowym Jego imienia, zainteresowanie jest wciąż duże. Przyjeżdżają młodzi skrzypkowie ze Stanów Zjednoczonych, z Japonii, z Korei, z Meksyku i z całej Europy. Chcą grać Seiferta.

Korzystałam między innymi z biograficznej książki Anety Norek-Skryckiej, współorganizatorki wielu wydarzeń związanych z muzyką Seiferta i współzałożycielki Fundacji im. Zbigniewa Seiferta.

Małgorzata Jantos jest przewodniczącą Rady Fundacji Zbigniewa Seiferta i pomysłodawczynią konkursu skrzypcowego im. Zbigniewa Seiferta.



Małgorzata Jantos jest przewodniczącą Rady Fundacji Zbigniewa Seiferta i pomysłodawczynią konkursu skrzypcowego im. Zbigniewa Seiferta.

Księżna Izabela byłaby zadowolona

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Po trwającym dziesięć lat remoncie otwarto Muzeum Książąt Czartoryskich. *Dama z gronostajem* mogła wreszcie wrócić do domu, tak jak inne dzieła ze słynnej kolekcji.



Gdyby księżna Izabela Czartoryska dożyła naszych czasów, pewnie byłaby zachwycona tym, jak obecnie eksponowana jest jej puławska kolekcja. Przynajmniej od grudnia ubiegłego roku, kiedy to po dziesięciu latach remontu otwarto w końcu Muzeum Książąt Czartoryskich. Możemy sobie tylko wyobrazić, że z zadowoleniem, tak jak my, spoglądałaby na zwieńczony szklanym dachem jasny, neorenesansowy dziedziniec, gdzie pewnie od razu kazałaby zorganizować wyrafinowany koncert. Delikatnie unosząc suknię, udałaby się z niego na klatkę schodową, z zainteresowaniem spoglądając na jej nowoczesne kształty. Tam zwróciłby jej uwagę podest i znajdujące się na nim dwa monumentalne płótna Jana Piotra Norblina.

Łezka w oku zakręciłaby się jej, gdyby weszła do pierwszych sal wystawowych, które, nowoczesnie oświetlone (rozświetlają się, gdy zwiedzający się do nich zbliżają), prezentują na początku dedykowaną jej rodzinie ekspozycję. Zapatrzyłaby się na portret, na którym malarz uwiecznił jej nieodpartą wdzięk, a także na sąsiadujące z nim płótno, z którego z dumą spogląda na potomnych jej mąż Adam Kazimierz Czartoryski. Zachwyciłby ją bibeloty – tak lubiane przez nią puzderka, grzebień, pierścionki, kolczyki... Całe szczęście, że schowano te drobiazdzki za szybami stylowych gablot,

bo – zdaje się – nie tylko ona miałaby ochotę wziąć je do ręki.

Idąc dalej, pewnie gospodarskim okiem spojrzęłaby na dalszą część kolekcji, która odwzorowuje dzieje Polski, prezentując przedmioty użytkowe i dzieła nawiązujące do kultury szlacheckiej. Bez wątplenia nie pominęłaby tak cenionej przez siebie sztuki Orientu, by przejść na drugie piętro poświęcone sztuce i kulturze zachodniej. Zmierzając w stronę *Damy z gronostajem*, musiałaby się zatrzymać przy jednym z najcenniejszych dzieł, czyli *Krajobrazie z miłosiernym Samarytaninem* Rembrandta. Stąd już tylko kilka kroków dzieliłoby ją od obrazu Leonarda da Vinci, który umieszczony został w osobnym, ciemnym pomieszczeniu. Tu przysiadłaby, by dłuższy czas kontemplanować portret pięknej Cecylii. Nam, niestety, nie będzie to dane, bo w muzeum kłębią się obecnie tłumy, więc na *tête-à-tête* z *Damą z gronostajem* nie mamy co liczyć. Mimo to powitalne odwiedziny dzieła Leonarda da Vinci powinny być obowiązkiem nie tylko turystów, ale i wszystkich krakowian.

Muzeum Książąt Czartoryskich przy ul. Pijarskiej 15 czynne jest od wtorku do piątku w godz. 9–19, w soboty 10–20 i w niedziele 10–18. Bilety na konkretny dzień i godzinę można kupić na stronie: <https://bilety.mnk.pl/w/zakladce> Muzeum Książąt Czartoryskich.



Zaproszenie do stołu

Tekst: Katarzyna T. Nowak Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Ktoś nazwał Eataway Tinderem dla jedzenia. Tinder to aplikacja umożliwiająca randkowanie, a dzięki platformie www.eataway.com nie tylko dobrze zjemy w prywatnym domu kucharza, ale też poznamy interesujących ludzi z całego świata. Trzy lata temu wymyśliła to Marta Bradshaw, rzeźbiarka z krakowskiego Salwatora.

W Eataway nie chodzi o samo jedzenie, ale o drugiego człowieka. Najważniejsze jest spotkanie, a wspólne jedzenie wywołuje intymność. Jedzenie zawsze łączy ludzi. Ciężko się kłócić przy wspólnym posiłku. Nie mówię tu o rodzinnych spotkaniach, lecz takich, na które ludzie przyjeżdżają z różnych kontynentów jak w Eataway. Mają różne poglądy, ale potrafią ze sobą rozmawiać – mówi Marta. I dodaje: – Po wojnach dawniej urządzano wielkie ucztę, na których spotykały się zwaśnione rody i napięcia rozchodziły się po kościach. Wino też zapewne pomagało.

Eataway powstało z potrzeby.

– Pewnego lata pojechaliśmy z Markiem i moją córką Tallulah na kamping w Kazimierzu Dolnym. To było święto Matki Boskiej Zielnej. Zatrzymaliśmy się w Sandomierzu, gdzie były tłumy ludzi, dopchaliśmy do stolika w restauracji i jedzenie było paskudne. Pojechaliśmy dalej. W Kazimierzu nie było lepiej. Klasyczne turystyczne pułapki. Dwa dni później Tallulah złowiła rybę. Zbliżała się pora obiadu. Zaczęłam szukać w telefonie jakiejś bazy danych, spisu rolników, gospodarzy, którzy zapraszają na domowy obiad. Zdziwiłam się, że nic takiego nie ma. Jest tylko agroturystyka. W drodze powrotnej do Krakowa długo się zastanawiałam, dlaczego nie ma projektu z tak zwanej ekonomii współdzielenia. Od lat korzystaliśmy z Blablacar, dzięki któremu ludzie zabierają innych z, na przykład, Krakowa do Katowic. W Eataway idea jest podobna – tylko że dotyczy jedzenia. Kiedy przyjechałam do Krakowa, postanowiłam sprawdzić, czy obcy ludzie przyszliby do mojego domu. Wrzuciłam na Local-Life, stronę o Krakowie, post: „Dzień dobry. Jestem Marta. W każdą środę będę gotować polską kolację. Kto chce spróbować, proszę do mnie napisać”.

– Ale za pieniądze?

– Tak. Napisałam, że kolacja będzie kosztować 80 zł. Trzy dania i deser. Dwa dni później ludzie, głównie obcokrajowcy, zaczęli rezerwować miejsce przy moim stole. Przygotowałam małe wesele, bo nie wiedziałam, czym ich ugościć i zrobiłam dziesięć potraw. Stół się uginał! Przyszło dziesięć osób. To była fantastyczna kolacja. Była bardzo serdeczna atmosfera. Od tej pory ludzie wciąż rezerwowali miejsca i dlatego stworzyłam stronę Eataway, gdzie jedni mogą się rejestrować

jako kucharze, a inni jako goście. Wiele osób mi to odradzało, ale jestem uparta.

Dziś Eataway jest w 70 krajach. W samym Krakowie gotuje 218 kucharzy. Zjemy głównie polskie potrawy, ale do Eataway zapisali się jako kucharze również mieszkający w mieście obcokrajowcy. A chodzą do nich Polacy. Najbardziej popularna jest Mira z Korei. Jest dosłownie rozchwytywana. Mira to taki koreański ambasador w Polsce. Dominuje u niej kimchi, suszone rybki z miodem i orzeszkami, miso... U Sheuli z Indii skosztujemy głównie curry.

Można też zamówić jedzenie na wynos.

Marta gotuje i przyjmuje gości w każdą środę u siebie na Salwatorze.

– Od czasu pierwszej kolacji odwiedziło mnie ponad 600 osób z całego świata. Ważniejsze od jedzenia jest dzielenie się naszymi kulturami, językami, problemami, opiniami, nadziejami. Pewna cudzoziemka skosztowała mojego rosółu i zaczęła płakać. Bo przypomniawszy jej rosół z dzieciństwa. U mnie są cztery dania. Często podaję śledzia na rozmaite sposoby na przystawkę. Polska zupa stoi, więc robię żurek lub krupnik na gęsinie albo barszcz czerwony. Mam na wsi wędzarnię.

Tam zresztą też przyjmuje gości – w każdą sobotę. Obok jest staw, z którego kupuje świeże ryby. Podaje gęś, kaczkę, jagnięcinę. Polską, domową kuchnię. Przyjeżdżają całe rodziny. A nawet wycieczki na naukę pieczenia pierogów.

– Na wsi zawsze lepimy pierogi. Piękne tradycyjne ciasta: sernik krakowski, szarlotkę, czasem pokuszę się o chleb w moim wiejskim piecu. W mojej kuchni nie może zabraknąć lasu, jałowca, grzybów, pędów z sosny, mchów, kory do okopczenia, owoców leśnych. To, co sama zbieram: kurki, podgrzybki... Często robię kaszotto: z trzech rodzajów kasz, pęczaku, gryczanej niepalonej, drobnej, dorzucam soczewicę, gotuję, osobno robię sos grzybowy z białym winem, zabielałam i dodaję gałąz rozmarynu i parmezan. No i pietruszkę oraz skórkę cytrynową.

Najstarszymi krakowskimi kucharzami jest para architektów Małgorzata i Piotr. Opowiadają: – Do Eataway zapisaliśmy się w maju 2016 roku. Zwykle podajemy dania z kuchni polskiej: na przystawki zawsze jest oscypek z żurawiną, sałatki z buraków lub



Eataway działa już w 70 krajach. W samym Krakowie gotuje 218 kucharzy. Zjemy głównie polskie potrawy, ale do Eataway zapisali się jako kucharze również mieszkający w mieście obcokrajowcy. A chodzą do nich Polacy.



Marta Bradshaw jest absolwentką Wydziału Rzeźby na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Mieszkała w Grecji, Zimbabwie i Wielkiej Brytanii. Jest założycielką angielskiego portalu o Krakowie Local-Life.com i anglojęzycznej gazety „Krakow Post” oraz Eataway, który opisać można jako Airbnb dla miłoś-

ników jedzenia. To platforma, dzięki której możemy zaprosić do siebie gości na wspólne jedzenie, organizować akcje i warsztaty kulinarne.

W domu Marty na Salwatorze w każdą środę można spróbować dań tradycyjnej polskiej kuchni w międzynarodowym towarzystwie.

zielone, domowy chleb gryczany z dodatkami z domowej spiżarni. Zupy to żurek, krem dyniowy bądź kalarepkowy, chłodnik, rosół. Na drugie danie pieczeń drobiowa, młode ziemniaczki lub kluski śląskie, gołąbki, pierogi, zwijane zrazy, jarzyny gotowane i surowe. Deser to domowe ciasta, kompoty, nalewki. Prowadzimy też warsztaty z lepienia pierogów. I warsztaty zielnikowe: obrazy z suchych roślin. Uczymy też, jak zrobić pająki wielkanocne. Przychodzą turyści z całego świata, wielu z USA. Gościmy ich najczęściej w niedzielę, raz, dwa razy w miesiącu.

Obiad Eataway kosztuje od 50 do 120 złotych. Ale tu nie chodzi tylko o dobre jedzenie.

– Przede wszystkim posiłek musi być w domu. Przyjmujesz ludzi u siebie, bo to jest ważniejsze niż samo jedzenie. Jedzenie jest pretekstem. To nie jest pomysł dla foodies, którzy podróżują po świecie, żeby dobrze zjeść. Chodzi o spotkania ludzi. Ten projekt zbliża kultury i osoby. Nie ma chyba łatwiejszej drogi do poznania kultury innych krajów, nie wyjeżdżając. Ja to traktuję jako zbliżanie

ludzi do siebie pod pretekstem jedzenia. Fajnie poznać się w domu wokół stołu. Są ludzie, którzy bardziej cenią smak potrawy, ale to też dobrze. To chyba najfajniejszy moment dla gospodarza, jak goście chwalą, ciumkają i się uśmiechają. Widać, jak są szczęśliwi, że tu trafili – mówi Marta Bradshaw.

Najwyraźniej ludzie wciąż mają potrzebę spotykania się przy wspólnym stole.



Katarzyna T. Nowak – dziennikarka i pisarka. Autorka pięciu książek, m.in. *Moja mama czarownica. Opowieści o Dorocie Terakowskiej*. W pierwszym kwartale 2020 wyjdzie jej najnowsza książka *Nienasycona*. Współpracowała z „Przekrojem” i „Twoim Stylem”. Mieszka w Krakowie.

Czas supermarketów z książkami się kończy

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Rafał Sosin / MOCAK

Kameralne MOCAK Bookstore, działające przy Muzeum Sztuki Współczesnej, wygrało plebiscyt na najlepszą krakowską księgarnię roku



Kupowanie książki to intymna czynność. W końcu zamierzamy spędzić z nią kilka, a nierzadko kilkanaście godzin, więc wybór odpowiedniego tytułu nie jest bez znaczenia. Poza tym to wielka przyjemność dotknąć okładki, przekartkować pierwszych kilka stron zapowiadających, co nas czeka. Dlatego wielu czytelników woli robić to w kameralnych warunkach, w przyjaznym otoczeniu, przy okazji rozmawiając z zaprzyjaźnionymi księgarzami, a nie w supermarketach czy im podobnych sklepach, gdzie handluje się literaturą niczym ziemniakami.

O takich preferencjach krakowian świadczy zwycięzca tegorocznego plebiscytu na najlepszą krakowską księgarnię. Konkurs, organizowany przez Krakowskie Biuro Festiwalowe w ramach programu *Kraków Miasto Literatury UNESCO*, wygrała w tym roku księgarnia MOCAK Bookstore, działająca przy Muzeum Sztuki Współczesnej.

– Za co klienci, których tak naprawdę nazywamy naszymi gośćmi, nas lubią? – zastanawia się kierująca księgarnią Kamila Kowerska. – Pewnie za fajną atmosferę, jaka u nas panuje. Do nas trafiają najczęściej ludzie wychodzący z wystawy sztuki współczesnej, która emocjonalnie angażuje. Z nami mogą o niej porozmawiać, podobnie jak o książkach, które oferujemy.

A oferta MOCAK Bookstore jest starannie dobierana. Oprócz książek, które powinny znaleźć się na półkach każdej szanującej się księgarni, można tu znaleźć perełki z zakresu szeroko pojętej humanistyki oraz publikacje dotyczące krytyki sztuki, filozofii czy estetyki. Ponieważ jest to księgarnia artystyczna, są tu wydawnictwa z zakresu fotografii, designu, mody, filmu, muzyki, architektury oraz nowych mediów.

Wszystko znajduje się we wnętrzu zaprojektowanym przez Claudio Nardiego – włoskiego architekta, autora projektu całego muzeum. Na środku stoi ogromny stół, na którym ułożone są w piramidki tomy. Po bokach znajdują się regały, w których umieszczono nie tylko publikacje książkowe, ale też przedmioty o charakterze dekoracyjno-użytkowym, w limitowanych edycjach, wyprodukowane przez artystów związanych z muzeum, oraz reprodukcje dzieł z kolekcji MOCAK-u. – Wiszą one też na ścianach, co niewątpliwie różni naszą księgarnię od innych – dodaje Kamila Kowerska.

Obok MOCAK Bookstore kolejne miejsca w plebiscycie zajęły: księgarnio-antykwarjat Szafa Pełna Książek i Główna Księgarnia Naukowa. Wyróżnienie dla antykwarjatu roku otrzymała Szafa Pełna Książek.

Jan Bosak, *Poruszenia*, druk wypukły, 2018

Perła w koronie Krakowa

Tekst: Anna Woźniakowska Fotografie dzięki uprzejmości Filharmonii Krakowskiej

Greckie *phileo* znaczy „miłuję”; *harmonia* to współdziałanie, ład, współbrzmienie... Mianem „filharmonia” początkowo określano zrzeszenia miłośników muzyki, potem stowarzyszenia lub instytucje organizujące stałe koncerty symfoniczne, jeszcze później także gmachy, w których te koncerty się odbywały. W lutym 2020 roku Filharmonia Krakowska święci 75 lat istnienia.



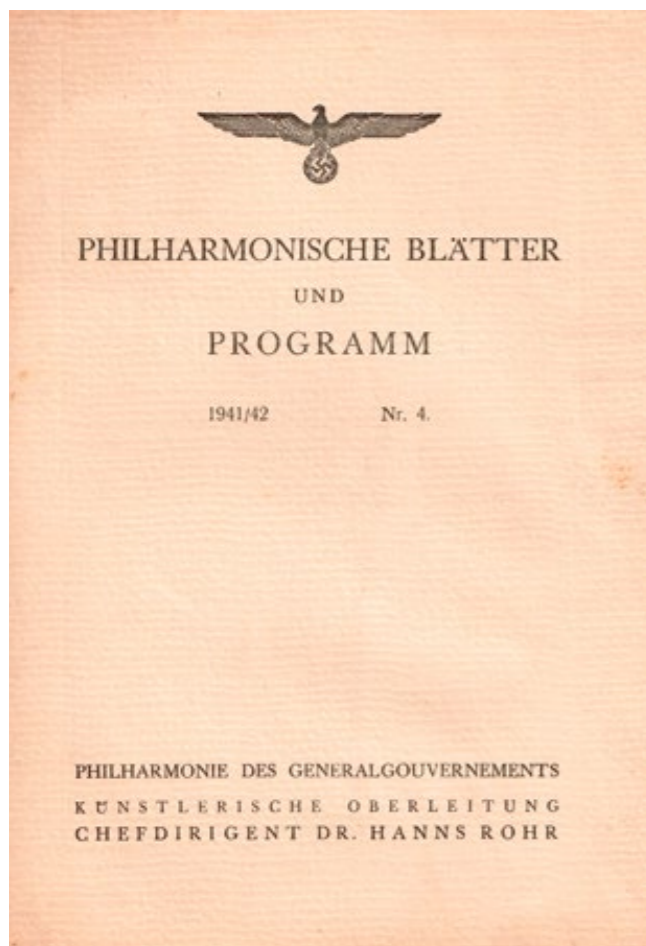
Filharmonia, fot. Klaudyna Schubert

Podświetlony napis na frontonie okazałego gmachu przy zbiegu ulic Zwirzyńskiej i Straszewskiego głosi, że mieści się tam Filharmonia Krakowska. W ostatnim półroczu próżno jednak szukać tam dźwięków muzyki. Zastąpiły je odgłosy maszyn budowlanych, bo od blisko dwóch lat budynek poddawany jest generalnemu remontowi i rozbudowie. Dzięki temu melomani zyskają nareszcie klimatyzowane wnętrza, windy dla niepełnosprawnych, powiększone przestrzenie recepcyjne. Poprawią się także warunki pracy muzyków – sale prób, szatnie. Co ważne, na estradzie stanie nowy Steinway, umożliwiając

zapraszanie do Krakowa wybitnych pianistów bez rumieńca wstydu, że trzeba dla nich instrument wypożyczać, bo filharmoniczny fortepian przez piętnaście lat użytkowania utracił już swe walory. To wszystko miało być gotowe na jubileusz 75-lecia najważniejszej krakowskiej instytucji muzycznej, ale jak to w Krakowie, w trakcie prac remontowych a to odkryto jakiś mur i trzeba było sprawdzać, czy to aby nie zabytek, a to okazało się, że statyka potężnego gmachu Domu Katolickiego, bo takie było pierwotne przeznaczenie budynku, przez lata drgań spowodowanych ruchem tramwajowym i... muzyką jest poważnie zagrożona.



Jedna z niemieckich uroczystości w gmachu Filharmonii Generalnego Gubernatorstwa, fot. ok. 1941, NAC



Program Filharmonii, na sezon 1941/42, archiwum K. Jakubowskiego

Mimo że opóźnione, prace jednak powoli dobiegają końca, a melomani, czekając na powrót w stare pielesze, wędrują za swoją orkiestrą do Nowohuckiego Centrum Kultury i do Muzeum Lotnictwa, do któregoś z krakowskich kościołów i Muzeum Galicja...

Co ich do tego skłania? Zmarły w 1984 roku Stanisław Lachowicz, śpiewak i muzykolog, w książce *Muzyka w okupowanym Krakowie* słusznie zauważył: „Konsumpcja muzyki bywa dla ludzi jej oddanych nie mniej ważna od konsumpcji artykułów spożywczych, wody, powietrza. Wiele osób wspomina, jak to tylko muzyka na sali koncertowej dawała chwilę zapomnienia, dostarczała wzruszeń i nadziei, pozwalała przetrwać”.

Autor pisał to w kontekście wojennych przeżyć, ale potrzeba oderwania się od trudnej rzeczywistości oraz pragnienie wspólnotowego przeżywania emocji nie tylko ze współsłuchaczami, ale i wykonawcami na estradzie, chęć uczestniczenia w swoistym obrzędzie, jakim jest kontakt z żywą wielką sztuką, są w każdym z nas niezmiennie żywe. Dlatego Filharmonia dla melomana jest czymś więcej niż tylko salą koncertową. Bez przesady można powiedzieć, że jest drugim domem, miejscem schronienia dającym poczucie ciepła i bezpieczeństwa.

Orkiestra od Hansa Franka

3 lutego 1945 roku dla publiczności wypełniającej szczelnie salę koncertową krakowskie-

go Domu Katolickiego, czyli kinoteatr Świt (nazwany przez Niemców w czasie okupacji Urania), rozbrzmiewająca w nim muzyka miała jeszcze inny walor. „Chcieliśmy, aby był to koncert – manifestacja, koncert muzyki, której przez całą okupację nie wolno było wykonywać. Orkiestra wystąpiła we frakach, estrada została pięknie udekorowana. Nad nią biały orzeł i flagi narodowe. Sala trzeszczała w szwach” – tak po latach dyrygent Zygmunt Latoszewski wspominał koncert, który rozpoczął hymnem polskim. A potem poprowadził *Odwieczne pieśni* Mieczysława Karłowicza, *Koncert fortepianowy f-moll* Chopina ze Zbigniewem Drzewieckim w partii solowej i *VI Symfonię „Patetyczną”* Piotra Czajkowskiego. Był to pierwszy koncert symfoniczny w uwolnionym zaledwie kilkanaście dni wcześniej od okupacji niemieckiej mieście, a zarazem koncert inaugurujący regularną powojenną działalność Filharmonii Krakowskiej.

Historia bywa zaskakująca. Wprawdzie pierwsze publiczne koncerty – na wzór francuskich *Concerts spirituels* – organizował w Krakowie kanonik wawelski ksiądz Wacław hrabia Sierakowski na przełomie XVIII i XIX wieku, wprawdzie przez przeszło stulecie zawiązywały się pod Wawelem kolejne towarzystwa muzyczne dbające o rozwój kultury muzycznej w mieście, powstawały orkiestry symfoniczne, a w 1934 roku Towarzystwo Muzyczne w Krakowie powołało nawet do życia Filharmonię Krakowską, ale wszystkie te inicjatywy po pewnym czasie umierały z powodu braku funduszy. Stałą orkiestrę, a potem i chór, Kraków zawdzięcza... Hansowi Frankowi. To on wiosną 1940 roku sprowadził pod Wawel monachijskiego dyrygenta dr. Hansa Rohra, który różną drogą, również nacisków, skompletował wkrótce kilkudziesięcioosobową orkiestrę złożoną – obok krakowian – z wybitnych instrumentalistów z Katowic, Warszawy i Poznania. Pierwszy występ orkiestry odbył się 7 czerwca 1940 roku. Koncertmistrzem orkiestry był Fritz Sonnleitner, jedyny Niemiec w dziewięćdziesięcioosobowym zespole. W latach 1940–1945 orkiestra dawała w sezonie od sześciu do ośmiu koncertów symfonicznych w sali Uranii, prezentując najwyższy poziom wykonawstwa. Po śmierci Rohra jej nowym szefem został Rudolf Hindemith, a na wiosnę 1944 roku zastąpił go Hans Swarowsky, po wojnie jeden z czołowych dyrygentów europejskich. Zarówno w orkiestrze, jak i w chórze ocalenie znaleźli wybitni artyści, którzy po okupacji byli głównymi organizatorami polskiego życia muzycznego. Co ważne, żadna z podziemnych organizacji niepodległościowych nie wydała zakazu działalności polskich muzyków w Filharmonii GG.

Ostatni koncert Filharmonii GG odbył się 14 stycznia 1945. Nadchodzący front, po śpiech, z jakim Niemcy opuszczali Kraków,

Stałą orkiestrę, a potem i chór, Kraków zawdzięcza... Hansowi Frankowi. Co ważne, żadna z podziemnych organizacji niepodległościowych nie wydała zakazu działalności polskich muzyków w Filharmonii GG.

a przede wszystkim ofiarność muzyków sprawiły, że udało się ocalić instrumenty i pokazać bibliotekę nutową. Dlatego 3 lutego można było zaprosić krakowian na wspomniany koncert, a potem co tydzień występować w nieogrzewanej, ale zawsze wypełnionej słuchaczami sali.

Ludzie krakowskiej filharmonii

Filharmonia to przede wszystkim ludzie. Spoglądając więc na siedemdziesiąt pięć lat jej służby muzyce, wspomnę o tych, którzy najtrwalej zapisali się w historii instytucji, realizując jej główne zadania, czyli muzyczną edukację krakowskiej społeczności odciętej przez lata od głównego nurtu rozwoju muzyki światowej i światowego wykonawstwa oraz propagowanie dorobku polskich twórców, działających w pierwszych powojennych latach z ogromnym zaangażowaniem i chcących nadrobić stracony czas.

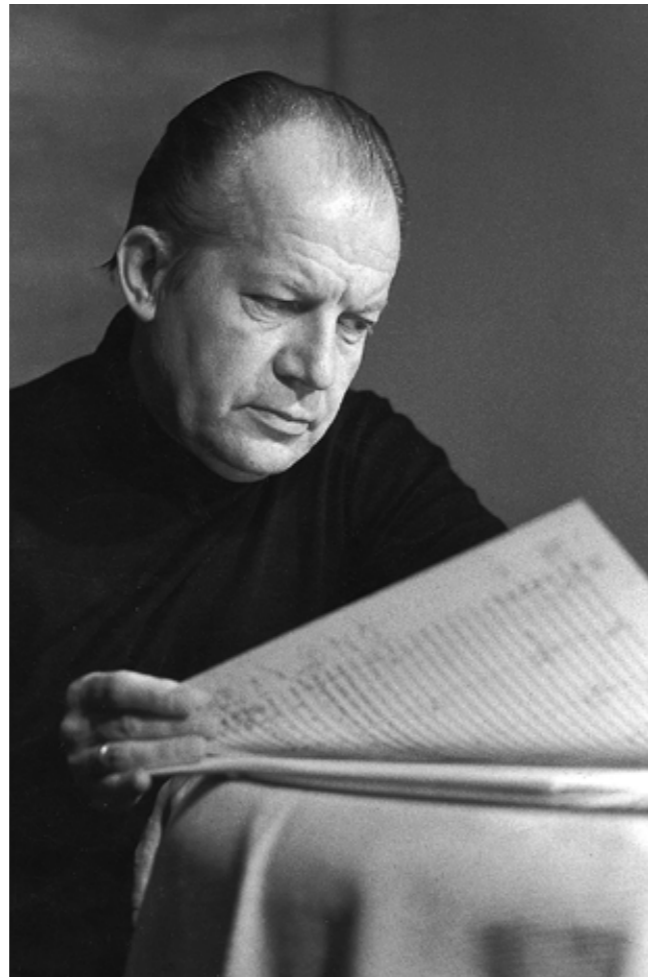


Bogdan Wodiczko, arch. Filharmonii

A więc najpierw Zygmunt Latoszewski, który doprowadził do utworzenia 1 kwietnia 1945 roku przedsiębiorstwa o nazwie Państwowa Filharmonia w Krakowie. Rządy kolejnego dyrektora, kompozytora Jana Maklakiewicza to między innymi pierwsza powojenna prezentacja *Stabat Mater* Szymanowskiego i pierwsze gościnne występy zagranicznych artystów na krakowskiej estradzie. Piotr Perkowski, kompozytor i spo-



Henryk Czyż, arch. Filharmonii



Jerzy Katlewicz, arch. Filharmonii



Joanna Wnuk-Nazarowa, arch. Filharmonii

nały, to między innymi wykonania wielkich dzieł wokally-instrumentalnych Krzysztofa Pendereckiego na całym niemal świecie, także w Stanach Zjednoczonych. To niezapomniane koncerty wśród antycznych ruin Balbeku i Shiraz-Persepolis. Filharmonia Krakowska była wówczas wspaniałym ambasadorem polskiej kultury muzycznej. To również czas założenia Capelli Cracoviensis oraz początki dwóch festiwali powstałych pod auspicjami Filharmonii: Muzyki w Starym Krakowie i Starosądeckiego Festiwalu Muzyki Dawnej. To pojawienie się w roku 1974 w dziale programowym Filharmonii Jacka Berwaldta, który przez 35 lat był podporą wszystkich szefów instytucji, a w czasach przydarzającego się bezkrólewia stawał na jej czele. To wreszcie w grudniu 1982 roku nowe organy firmy Schuke Orgelbau z Poczdamu, które w założeniu miały służyć muzyce sto lat, ale los zrzucił inaczej. Szefem artystycznym Filharmonii był wówczas Tadeusz Strugała, który zasłynął świetnymi interpretacjami Brahmsa. Za jego czasów narodził się cykl koncertów dla młodzieży *Musica - ars amanda* i powstały *Koncerty Uniwersyteckie*.

Joanna Wnuk-Nazarowa, pierwsza kobieta na dyrektorskim stanowisku w Filharmonii Krakowskiej, musiała się zmierzyć z najcięższymi zadaniami. Pierwszym było przeprowadzenie instytucji przez panującą w latach 90. ubiegłego wieku inflację sięgającą - o czym dziś się nie pamięta - przeszło

Filharmonia dla melomana jest czymś więcej niż tylko salą koncertową. Jest drugim domem, miejscem schronienia dającym poczucie ciepła i bezpieczeństwa.

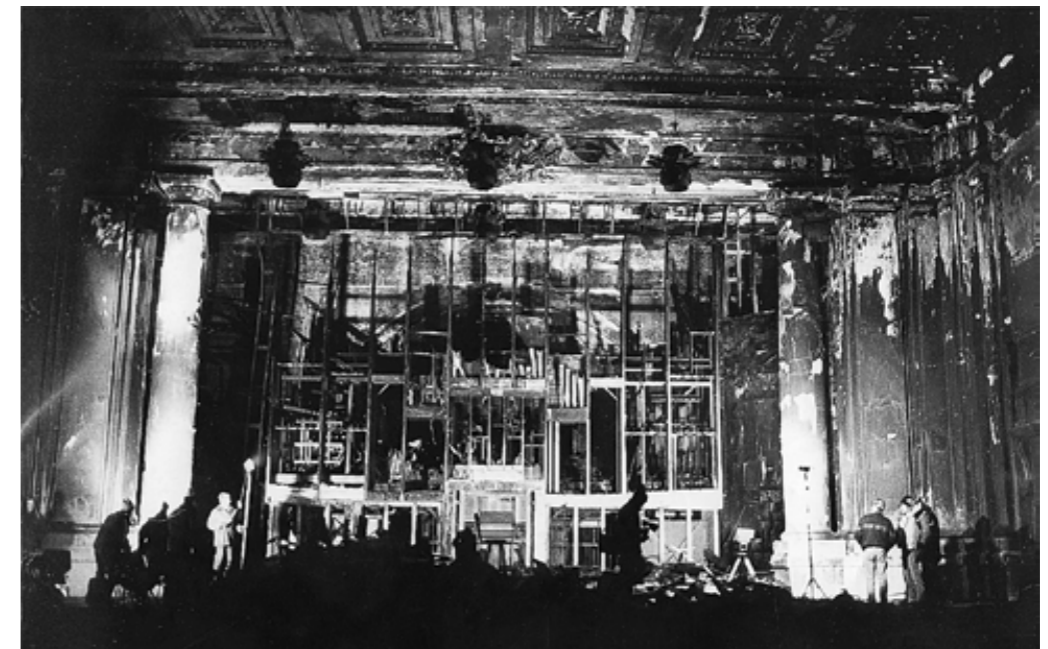
łecznik, doprowadził w 1950 roku do przekształcenia filharmonicznego chóru w zespół zawodowy, a co najważniejsze - do zlikwidowania seansów kinowych w sali przy ul. Zwierzynieckiej. Odtąd była ona w samodzielnym władaniu Filharmonii, choć wkrótce trzeba ją było dzielić z Orkiestrą Polskiego Radia.

Po Perkowskim dyrekturę Filharmonii objął Tadeusz Krzemiński, który w 1951 roku ściągnął do Krakowa jako kierownika artystycznego i dyrygenta Bogdana Wodiczkę, i to był pierwszy okres świetności Filharmonii. Od początku występowała na jej estradzie najlepsi polscy dyrygenci różnych pokoleń, między innymi Walerian Bierdiajew, Grzegorz Fitelberg, Andrzej Panufnik, Stanisław Wisłocki i Stanisław Skrowaczewski, którzy przyswajali krakowskiej publiczności arcydzieła literatury muzycznej, ale to Wodiczko zrewolucjonizował repertuar Filharmonii, z jednej strony prezentując dzieła wokally-

-instrumentalne dawnych epok z *Mszą h-moll* Bacha na czele, z drugiej - muzykę współczesną. Za jego czasów na koncerty do Krakowa zjeżdżali melomani i krytycy z całej Polski. On sam po latach wspominał: „W Krakowie zaprezentowałem prawie 80 proc. całej tzw. klasyki XX wieku, która nie była u nas prawie w ogóle znana. Każdy koncert musiałem powtarzać po trzy razy. Ludzie ustawiali się o piątej rano w kolejce po bilety”. To za jego czasów zespoły Filharmonii powiększyły się o chór chłopięcy.

Andrzej Markowski w latach 1959-1964 przybliżył krakowianom świat muzyki Claudia Monteverdiego i bulwersował utworami Pendereckiego, Schaeffera, Bouleza... Za jego czasów zespoły Filharmonii Krakowskiej co roku gościły na Warszawskich Jesieniach, uczestniczyły w poważnych festiwalach w Jugosławii i we Włoszech. W 1962 roku patronem Filharmonii został Karol Szymanowski, obecny w jej repertuarze już wcześniej, ale odtąd szczególnie przez nią propagowany.

Kierownictwo artystyczne Henryka Czyża (1965-1968) to polskie prawykonanie *Pasji według św. Łukasza* Pendereckiego, to Dni Muzyki Organowej i Wieczory Wawelskie, które w zgrzebnym ówczesnym czasie bulwersowały elitarnością (wymagano strojów



Sala koncertowa po pożarze, arch. Filharmonii

co najmniej wizytowych oraz częstowano kawą, herbatą i ciasteczkami).

Dyrekcje Jerzego Katlewicza i Wiesława Kolankowskiego, tworzących tandemem dosko-

40 proc. Drugim - pożar Filharmonii 11 grudnia 1991 roku. Prawdopodobnie niedopałek papierosa pozostawiony w nieodpowiednim miejscu spowodował niewyobrażalne straty.

W ciągu 75 lat na estradzie Filharmonii Krakowskiej gościli najwięksi: Rubinstein i Benedetti, Ojstrachowie i Szeryng, Szell i Mehta.

Pamiętam, że gdy tego dnia wieczorem chodziłam po wypalanej, ciemnej i jeszcze pełnej dymu sali koncertowej, wśród kapiącej ze spalonego dachu wody, kikutów stopionych piszczałek organowych, wśród ludzi tak samo jak ja przerażonych, niemogących wykrztusić słowa, wydawało się, że to już koniec. A przecież zaledwie po kilku miesiącach, 28 maja 1992 roku, odbył się pod dy-



Bomsori Kim i Rafał Blechacz, fot. Krzysztof Kalinowski

rekcją Jerzego Maksymiuka i z udziałem pianisty Janusza Olejniczaka pierwszy koncert w odnowionym gmachu. To było prawdziwe zwycięstwo ducha nad materią! Co ważne, z powodu pożaru nie odwołano żadnego koncertu, znajdując gościnę w różnych krakowskich wnętrzach. Joanna Wnuk-Nazarowa doprowadziła też do wybudowania w sali koncertowej nowych organów firmy Klais z Bonn.

Czas jej następczyni Anny Oberc to mozolne utrzymywanie wysokiego standardu w czasach kryzysu. Dyrekcja Pawła Przytocińskiego to wizja wspaniałej instytucji promieniującej nie tylko na Polskę, ale na całą naszą część Europy. To wielki Gustav Mahler Festival, koncerty między innymi w wiedeńskiej Musikverein i paryskim Théâtre du Châtelet,

to światowa czołówka artystów na krakowskiej estradzie i *Smykowe granie* „dla najmłodszych, a nawet nienarodzonych melomanów”, ale też przeszło milionowy dług pozostawiony jego następcy, Bogdanowi Toszy.

A ten od siedmiu lat z powodzeniem buduje wysoką pozycję Filharmonii Krakowskiej. Ustabilizował jej finanse, stworzył świetny festiwal Szymanowski/Polska/Świat, wraz z dyrektorem artystycznym Charlesem Olivieri-Munroe znacznie rozszerzył repertuar koncertowy o muzykę nowych czasów, przyjmowaną – co ważne – z ciekawością i życzliwością przez melomanów. Wciągnął w filharmoniczną orbitę plastyków, poetów i ludzi sceny. Zadbał, by na filharmonicznej estradzie występowali jedynie najlepsi soliści i dyrygenci. I wreszcie doprowadził do wspomnianej na wstępie rewaloryzacji gmachu Filharmonii, która pozwoli melomanom w dobrych warunkach doczekać do wybudowania na Grzegórkach tak potrzebnego w naszym mieście Centrum Muzyki. Prace przygotowawcze trwają od 2009 roku. Powoli, ale systematycznie przybliżamy się do rozpoczęcia budowy.

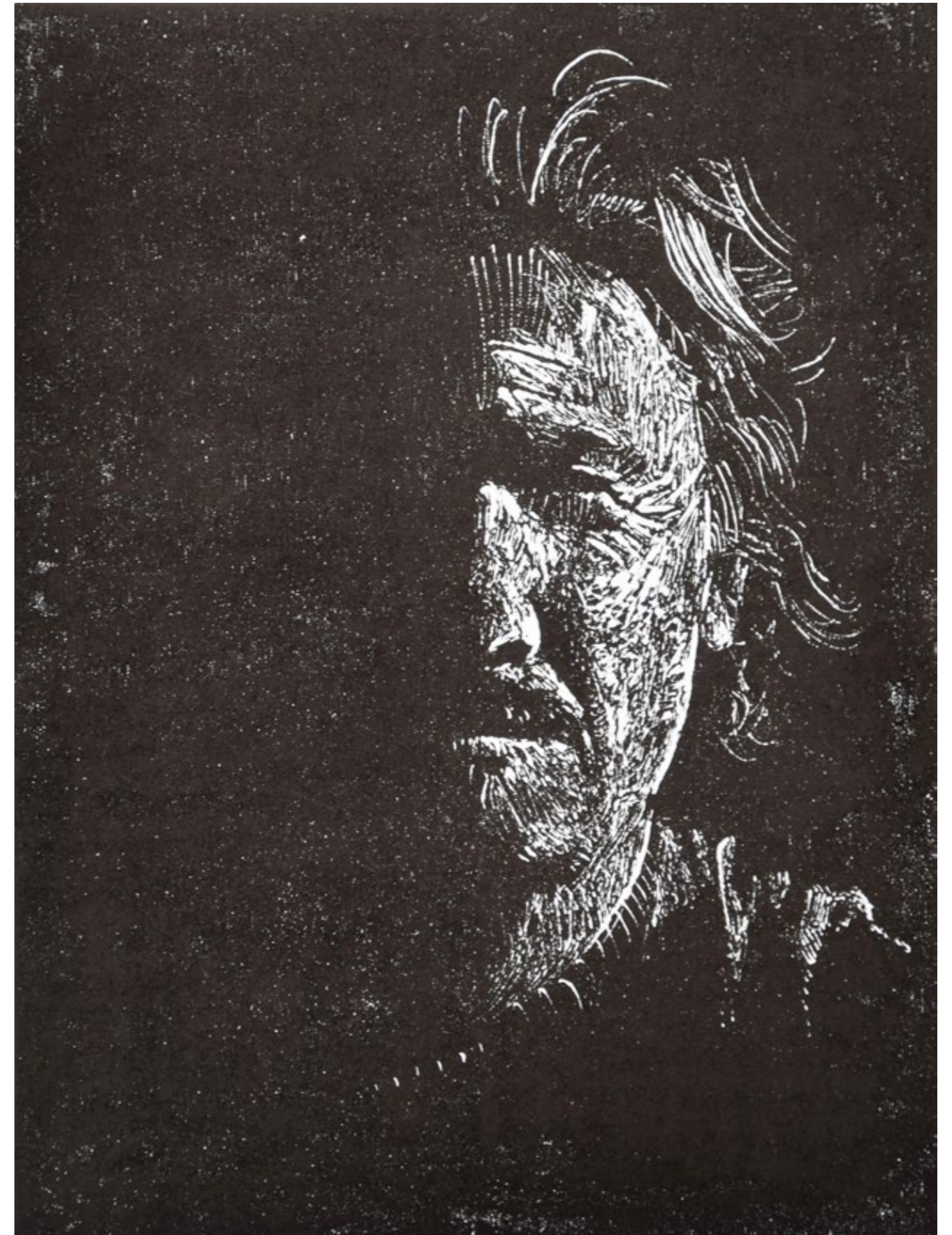
Najwięksi prowadzą wzwyż

W siedemdziesięciopięcioletnim życiu Filharmonii Krakowskiej, na estradzie której gościli najwięksi, między innymi Rubinstein i Benedetti, Ojstrachowie i Szeryng, Szell i Mehta, były wzloty i upadki, spory, a nawet bunty artystów przeciw dyrygentom czy dyrektorom. Ale były one wynikiem emocjonalnego zaangażowania muzyków w sprawę ich Filharmonii. Nigdy bowiem nie zapomniano o dewizie, która widnieje na kartuszu zawieszonym nad filharmoniczną estradą: *Duc in altum*. Cytat z Ewangelii św. Łukasza, przeznaczony dla Domu Katolickiego, oznacza „Wypłyn na głębie”. Ale można to rozumieć także jako „prowadź wzwyż”. I tu na myśl przychodzi patron Filharmonii Karol Szymanowski, który pisał: „Muzyka to potężna broń w walce z ciemnotą i barbarzyństwem mas, to istotny pokarm duchowy zawierający największą bodaj ilość odżywczych witamin”.

Oby za sprawą Filharmonii Krakowskiej tych witamin nigdy nam nie zbrakło!



Anna Woźniakowska – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.



Jan Bosak, *Głowa II*, drzeworyt, 2016



Jan Bosak jest absolwentem Wydziału Grafiki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Obecnie pracuje na Wydziale Inżynierii Wzornictwa Przemysłowego Politechniki Krakowskiej oraz prowadzi pracownię grafiki warsztatowej w Nowohuckim Centrum

Kultury. Jego prace można oglądać na ścianach Szpitala im. S. Żeromskiego w ramach galerii Sztuka. Na zdrowie. Niebawem planowana jest w NCK wystawa *Stanisław Batruch i jego uczniowie*, na której znajdą się też obrazy Bosaka.

Poszukując siebie

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Jan Bosak celebrował chwilę oczekiwania na to, co pojawi się na papierze; na obraz, który najpierw w jego głowie był tylko przecuciem, jakimś mglistym majakiem, a teraz stanie się rzeczywistością.

To jest chwila magiczna. Jak w kinie akcji, napięcie rośnie z chwili na chwilę. Gdzieś na stole leżą porzucone ryłce, dłuta, igły... Ale artysta już o nich nie pamięta, podobnie jak o trudzie wycinania kształtów w linoleum czy drewnie. Teraz liczy się tylko matryca. To ona powoduje szybsze bicie serca. – Uwielbiam ten moment. Staram się go zawsze przeżywać w samotności. W tworzeniu grafiki fascynuje mnie niepewność, oczekiwanie na efekt zmuszonej pracy. Kiedy jednak już nałożę farbę i zobaczę na papierze pierwszą odbitkę, jestem naprawdę szczęśliwy – mówi, pokazując ważny dla niego cykl *Prześwietlanie*.

I to nie tylko dlatego, że dzięki niemu zdobył doktorat z grafiki warsztatowej na krakowskiej ASP. Ale przede wszystkim dlatego, że zawarł w nim wszystko to, co go najbardziej w sztuce pociąga. Zafascynowany twórczością Rembrandta i Piranesiego, a przede wszystkim tym, jak ci wielcy artyści operowali światłocieniem, stworzył swoją opowieść o świetle, o jego zanikaniu. W pierwszych pracach z serii widzimy wydobywane z ciemności figury, które możemy jeszcze skojarzyć z realnymi kształtami. Uważne oko dostrzeże w nich jakieś fantasmagoryczne pejzaże, wyobrażenie drzewa, splątanych gałęzi, tajemniczego pałacu, w którego centralnym punkcie znajduje się przejście do innego świata. W kolejnej grafice *Szczelina światła* pojawia się już mocny kontrast między czernią i bielą, i coraz bardziej abstrakcyjne kształty, które powoli tracą wyrazistość, znikają. Ostatnia praca cyklu, *Wir*, jest już serią drobnych pyłków rozpuszczonych w świetle, które stają się niemal nieobecne na płaszczyźnie. Przechodzą w niebyt.

– *Prześwietlanie* to była moja rozgrywka z językiem, jakim chcę siebie wyrażać. Odciąłem od siebie bagaż zbędnej narracji, zostawiłem jedynie esencję, kościec – wyznaje Jan, którego kolejne grafiki są dowodem na to, że wciąż trzyma się tej zasady. Świadczą o tym choćby mandale wymagające godnej mnichów tybetańskich precyzji i koncentracji. Powtarzalność gestów, odpowiednie obracanie matrycą, kontrolowanie symetrii – wszystkie te czynności uspokajały go i wyciszały. Wziął na tyle głęboki oddech, że pozwolił sobie na wprowadzenie koloru.

Podobnie jak zrobił to w niedawno powstałym cyklu *Plaża*, który narodził się po powrocie z wakacji w okolicach Bari. Tam wrażenie zrobiła na nim rozkruczana włoska plaża. Na wąskim skrawku piasku, między skałami kłębiło się mnóstwo rozłożonych na kocach i ręcznikach ludzi. Ktoś się przewracał na bok, ktoś przerzucał kartki książki, ktoś ziewał... To wszystko wydało mu się na tyle groteskowe, że ułożyło się w dwie barwne serie, z którymi postanowił poeksperymentować. Jedna powstała w technice drzeworytu, z odbicia i nakładania się na siebie

12 kwadratów. Do stworzenia drugiej użył piasku z klejem, dzięki czemu postacie ludzkie zaczynają się przenikać, pozostawiając na płaszczyźnie ślady ciał. W ten sposób zatracają swoją figuratywność, stając się abstrakcyjnymi bytami.

Bo właśnie tak jest ze stylem Bosaka, który ciągle szuka pretekstów, żeby nie zamykać się w wygodnej dla siebie przestrzeni, biorąc na warsztat nowe tematy i nowe techniki. I to nie tylko w obrębie grafiki. Ciągle ma z tyłu głowy malarstwo, które raz porzuca, to znowu do niego wraca, jakby nie mógł się uwolnić od tego, co go fascynowało jeszcze jako ucznia Liceum Plastycznego w Rzeszowie. – To był bajkowy czas – wspomina. – Mieszkałem tam w internacie z ludźmi, którzy jak ja byli unurzani w sztuce. Wielu z nas po maturze dostało się na ASP w Krakowie, tworzyliśmy świetną paczkę. Wtedy nikt nie zastanawiał się, z czego w przyszłości będzie żył. Brutalne zderzenie z rzeczywistością, twardą jak beton, nastąpiło po studiach. Nie zapomnę, jak z moimi pracami poszedłem pierwszy raz do galerii. Jej właściciel popatrzył na nie, pokiwał głową i zapytał, dlaczego one są takie smutne, takie gęste...? Powiedział mi, że bym wrócił, jak zrobię coś dla ludzi. A ja nie mogłem przecież w ciągu sekundy odrzucić świata mojego obrazowania, mojej poetyki.

Znaleźli się jednak ludzie, którzy mu pomogli. Wśród nich był malarz Stanisław Batruch. To on namawiał Janka, żeby od czasu do czasu odłożył na bok ryłce i wziął do ręki pędzel. Zrobił to nawet z grubości. – Kiedy profesor zmarł, zadzwonił do mnie jego syn i powiedział, że ma dla mnie jego płótna i farby. Gdy to usłyszałem, byłem naprawdę wzruszony i przeszczęśliwy. Przywiozłem do mojej pracowni dwadzieścia blejtramów, postawiłem przed sobą zdjęcie uśmiechniętego profesora i powiedziałem do niego: „No to teraz nie mam wyjścia, biorę się do roboty”. Tak powstały abstrakcyjne obrazy, w których bawię się strukturą natury, tym, co mogę zaobserwować, choćby siedząc w lesie na pieńku. Te mikroświaty tworzące niesamowite wypustki, sieci, żyłki. Wszystko to przenika do mojego malarstwa. Pewnie nie wygra ono z grafiką, ale też jest dla mnie ważne – mówi. I niezależnie od techniki, jaką się posługuje, ciągle poszukuje siebie. – Bo właśnie na tym polega sztuka, niezależnie od tego, ile się już osiągnęło – dodaje.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Jan Bosak

Kwestionariusz Prousta po krakowsku to zestaw kilkunastu pytań, które ponoć szybko pokazują osobowość ankietowanego. Proust miał taki w tym udział, że dwukrotnie odpowiadał na pytania swojej znajomej. Czasami ta salonowa psychozabawa z przełomu wieku XIX i XX wraca.

Co jest dla ciebie ideałem piękna?
Natura, przyroda..., ziemia.

Co jest dla ciebie szczytem brzydoty?
Chciwość ludzi.

Czy czasami zdarza ci się być zbyt prawdziwym?
Bardzo często.

W jakich okolicznościach kłamiesz?
Kiedy nie chcę kogoś zranić, a czasami z głępoty własnej.

Jakich słów lub zwrotów najczęściej nadszyciłeś?
„Nigdy nie wiadomo, jak będzie” lub „trza mieć dystans do świata”.

Jakie cechy najbardziej cenisz u mężczyzny?
Otwartość, wyrozumiałość i wrażliwość.

Jakie cechy najbardziej cenisz u kobiety?
Mądrość życiową i delikatność.

Gdy nie masz nastroju, zabierasz się za...
Picie piwa.

Co sprawia cię w dobry humor?
Jaś Fasola.

Pejzaż, który przywołujesz, gdy przymyślasz oczy?
Widok z czubka lipy, którą uwielbiałem, gdy byłem dzieckiem i mieszkalem na wsi.

Zapach, który zawsze rozpoznasz?
Przeoranej ziemi.

Gdybyś mógł zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?
Niczego bym przy sobie nie majstrował... Jest OK.

Gdybyś po śmierci miał odrodzić się jako zwierzę, kim chciałbyś być?
Sokołem wędrownym.

Jeśli niebo istnieje, co chciałbyś usłyszeć, docierając do jego bram?
Szelest anielskich skrzydeł i cichy szmer przyjaznego wiatru.

Jeśli piekło istnieje, kogo byś tam chciał spotkać?
Ludzi, którzy gardzili pięknem natury.

Co uważasz za swoje największe osiągnięcie?
Mądrą żonę, piękną i zdolną córkę.

Nic nie jest oczywiste...

Tekst: Ewa Kozakiewiczowa Zdjęcie: Jacek Maria Stokłosa

Andrzej Andzik Kowalczyk kipi pomysłami. Wymyślił kubik, konstrukcję geometryczną, za pomocą której bada rzeczywistość. Latem wyniósł go na szczyt Kasprowego Wierchu, potem spławił w Zatoce Puckiej. Nie sam. Z grupą przyjaciół, którzy tworzą efemeryczny Teatr 52 Hz.

Artysta jest postrzegany jako aktor teatru Cricot 2 Tadeusza Kantora. Był z nim związany siedem lat. Brał udział w spektaklach: *Niech szczytną artystę*, *Wielopole, Wielopole* (Barcelona), *Nigdy tu już nie powrócę* i *Dziś są moje urodziny*. Ale Kowalczyk był nie tylko aktorem, ale i kierownikiem technicznym teatru, dzięki czemu sekundował Kantorowi przy tworzeniu obiektów do spektakli. Te obiekty inspirowały artystę do dzisiaj, bo mają podwójną naturę: plastyczną i teatralną.

Andrzej Kowalczyk jest artystą multimedialnym, a jego twórczość ma charakter interdyscyplinarny. Zajmuje się architekturą, malarstwem, rysunkiem, rzeźbą. Jego specjalnością jest jednak performance, co dostrzegła Anna Baranowa, krytyczka sztuki, kuratorka wystaw artysty, namawiająca go odsłonięcia własnej perspektywy widzenia. To się już dzieje.

Kantor uwodził

– Andrzej Wełmiński tak jak zaprosił swoją żonę, a moją siostrę Teresę do teatru Cricot 2 Tadeusza Kantora, tak wciągnął i mnie. Już będąc w liceum, wsiąkł w ten teatr, potem będąc aktorem Kantora, uważałem, że osoby mu najbliższe powinny poznać mistrza. Obawiałem się, jakże to: ja mam tam przyjść jako braciszek siostrzyczki? – opowiada Kowalczyk, który wcześniej oglądał spektakle Cricot 2, widział *Umarłą klasę* i był nią uwiedzony. – To był zachwyt, nie sądziłem, że współczesny teatr może być tak głęboko przejmujący i tak minimalnymi środkami można wyrażać tak wiele treści...

Kiedy Kowalczyk przyszedł do teatru, powstawał spektakl *Niech szczytną artystę* i Kantor szukał ludzi do pomocy. – Trzeba było wstawać wczesnym rankiem i myśleć, jak stworzyć warsztat, który by Kantora satysfakcjonował w naszej biednej rzeczywistości. Pracowałem w biurze architektonicznym

i myślałem, że da się to wszystko pogodzić. Okazało się to niemożliwe. Zaczęły się intensywne przygotowania do wyjazdu ze spektaklem do Norymbergi. Wszystko robiłem z pasją i musiałem zrezygnować z pracy w biurze... – wspomina Kowalczyk, który odtąd w teatrze stał się niezbędny. Robił wszystko. – Zostałem do ostatniego spektaklu Tadeusza, także przez dwa lata po jego śmierci pracowaliśmy w Cricot 2. Graliśmy pod nieobecność twórcy... Kowalczyk brał udział w akcji teatralnej Andrzeja Wełmińskiego *Lekcja anatomii według Tadeusza Kantora* – debacie zrealizowanej z częścią zespołu Teatru Cricot 2 (1991) jako *hommage* dla mistrza.

Indywidualność

– Anna Baranowa wzywa mnie do indywidualnych wystaw, ale ja indywidualność swą postrzegam, kiedy jestem w grupie, wprowadzam do działania bliższych mi ludzi, pochodzących z różnych pokoleń. Nie uważam, że artysta musi być sam. Mam satysfakcję, kiedy coś się odbywa w grupie, ujawniają się różne wrażliwości i różne wątki, wtedy pojawia się napięcie artystycznej wypowiedzi – tłumaczy Kowalczyk idee swych performansów. Wielkie w nich materii pomieszanie, ale też duży obszar wolności; taki, że każdy z uczestników może się ujawnić i odnieść do tego, co się dzieje. Przykładem może być coroczne spotkanie intelektualistów w Goszycach, poświęcone Jerzemu Turowiczowi, i przygotowanie specjalnego performansu, w którym pojawiła się dwunastoletnia saksofonistka Alicja Górniewicz. Kowalczyk przyjaźni się i konsultuje idee z 96-letnią Moniką Sojową, uczennicą Schultza, zaprasza do występów Esterę Kawulę, wybitną skrzypaczkę, otacza się młodymi ludźmi i słucha o ich istotnych problemach. – Moje dzieci Jakub i Agata uczestniczą w tym, co robię.

Andrzej Andzik Kowalczyk urodził się w 1956 roku w Krakowie. W latach 1985–1992 jako aktor występował w spektaklach Tadeusza Kantora w kraju i za granicą. Następnie podjął stałą współpracę z Andrzejem i Teresą Wełmińskimi oraz zespołem Aktorzy Teatru Cricot 2. Współtworzył nowe spektakle, m.in. *Manjacy* (1993), *Ameryka, czyli nie oglądaj się za siebie* (1995), *Minęło, minęło i tak przemina wszystkie historie* (2007). Z międzynarodowym zespołem przygotował spektakl plenerowy *Vive la foresta* w Szwecji i Islandii. Od 2015 roku organizuje performance, warsztaty teatralne i wystawy. Tworzy nieformalną wielopokoleniową grupę Teatr 52 Hz.

daj się za siebie (1995), *Minęło, minęło i tak przemina wszystkie historie* (2007). Z międzynarodowym zespołem przygotował spektakl plenerowy *Vive la foresta* w Szwecji i Islandii. Od 2015 roku organizuje performance, warsztaty teatralne i wystawy. Tworzy nieformalną wielopokoleniową grupę Teatr 52 Hz.



Z takich spotkań i wzajemnych inspiracji powstaje oryginalna wypowiedź. Jak do tego dochodzi? – Zwykle zaczyna się od jakiegoś impulsu, który może być dramatyczny, intelektualny albo fizyczny – wyjaśnia artysta. Za przykład niech posłuży drzewo. Widziałem, jak runęło na Plantach. Z powodu porywistego wiatru.

Jesień wyniosły

Olbrzym powalony i zgruchotany robił wrażenie. Był starszy niż Planty, rósł nieopodal murów miejskich, zanim powstało założenie parkowo-ogrodowe. Z ziemi sterczał pień, widoczne były słoje drzewa, do pracy przystąpili pracownicy zakładu zieleni miejskiej, ucinając kikuty gałęzi.

– Przestraszyłem się, że w ogóle zniknie ślad po pniu – opowiada Kowalczyk, który nie tylko rejestrował degradację drzewa, ale sam interweniował. Kiedy do likwidacji pnia przygotowywano specjalny frez, udało się to wszystko zatrzymać. Pień jesionu wyniosłego, niemego świadka co najmniej dwustuletniej historii ludzi i miasta, uratowano. Swoimi refleksjami artysta dzielił się wówczas z innymi twórcami. Skoro Planty – to Wyspiański, to Chochoły, dotknięcie Schultza, spacer Matejki, postać Stańczyka i tak dalej – można rozczytywać poszczególne słoje drzewa. Poetyckie poszukiwania i historyczna koncepcja Kowalczyka doprowadziły do wielowątkowej akcji performatywnej wokół drzewa. Anna Baranowa przypomniała działalność Cecylii Malik, która wdrapywała się przez rok na drzewa. Siedziała kolorowo ubrana na jesionie wśród konarów drzewa niczym barwna papuga. Prof. Magdalena Smoczyńska, psycholingwistka, wniosła historię swoich rodziców Jerzego i Anny Turowiczów, którzy codziennie Plantami obchodzili rytualnym spacerem Kraków. To ona zidentyfikowała pień jesionu wyniosłego jako miejsca, obok którego przechadzali się wieczorową porą Turowiczowie. Kowalczyk dla Magdy Smoczyńskiej sporządził relikwiarz z okruchami jesionu upamiętniający *Tour de la Plantatione* Turowiczów. Od tego zaczęła się poetycka część performansu. Zofia Kalińska odczytała wiersz swojej córki Katarzyny Turaj-Kalińskiej *Szept nad szeptami*. Krzysztof Ścierański, gitarzysta basowy, dał tło muzyczne... Twórcy zachęcali do stworzenia projektu „pomnika pnia drzewa powalonego wiatrem”, którym miałyby być tylko przezroczysta płyta osłaniająca pień, tak aby było widać słoje drzewa z zaznaczeniem ważnych dat historycznych. Artyści chcą posadzić sadzonkę jesionu w hołdzie Jerzemu Turowiczowi.

W akcji plantacyjnej brał udział Teatr 52 Hz. Artyści wpadli na Planty ze swoją gorączkową akcją, wytrącając przypadkowych przechodniów z ich rytmu...

Śpiewający wieloryb

Najbardziej samotny wieloryb na świecie wysyła dźwięki o częstotliwości 52 Hz. Jego basowe wołanie niesie się po wodach północnego Pacyfiku na odległość setek kilometrów. Ale nikt mu nie odpowiada, bo nie jest słyszalny przez inne osobniki swojego gatunku. 52 Hz to jeden z najniższych tonów, które może rejestrować ludzkie ucho. Dlaczego ten jeden śpiewa inaczej?

Czyż nie ma to wiele wspólnego z sytuacją artysty próbującego przekazywać treści, których nikt nie chce przyjąć do wiadomości? O pieśni tego wieloryba, niezrozumiałej dla innych, donosi internet, podpierając się informacjami z badań naukowych. Forma przekazu artystycznego też może być niezrozumiała. Dlatego Kowalczyk przyjął umowną częstotliwość 52 Hz jako symbol efemerycznej grupy teatralnej, starającej się przekazać treści pomijane przez większość ludzi. Sytuacja wyobcowania wieloryba jest beznadziejna, a ludzie identyfikują się z nim, bo czują się samotni w nowym świecie. Jak zaradzić wyobcowaniu artysty? Kowalczyk jako architekt wierzy w geometrię i za pomocą dwunastoodcinkowego kuba stara się oddzielać rzeczywistość i pokazywać istotne treści. Zbudowany przez niego kubik określa przestrzeń, w której można odbyć podróż, czasem staje się on arką, ostatnim haustem czystego powietrza (na Kasprowym Wierchu) lub elementem tratwy zmierzającym ku morskemu horyzontowi (w nawiązaniu do *Panoramicznego happeningu morskigo* Tadeusza Kantora z 1967 roku). Za pomocą artefaktu kubika, z którym artysta wędruje od dawna (od 1995), teatr można zbudować w każdej przestrzeni. – Zapraszam do niej wszystkich chętnych – deklaruje Andrzej Kowalczyk.

Zaległy spacer psa...

... (dodajmy: nieistniejącego!) niełatwo odbyć. Trzymając sztywną smycz, byłam z nim (w myślach) na Plantach, banalnie szurając zeschniętymi liśćmi. Ciągnął, bo uprząż przytwierdzona była na sztywno do blejtramu. Każdy jest w to wciągany, bo Kowalczyk stara się wprowadzić znajomych w swój świat. Jak ten istniejący przy ulicy Studenckiej, w którym żyje, gdzie tworzy obrazy-instalacje. Ruszają się i brzęczą, cichutko szemrzają sypiącym się piaskiem, woda kapie do muszli, mruga magiczne zielone oko, wahadło napędza szczątki piór ptaka.

I na pewno przemawiają do wyobraźni, gdy artysta przechodzi z kuchni do salonu, gdzie odbywają się próby i spotkania. Tu patrzą na niego przodkowie rodziny jego żony, rzeczywistość odbija się w starych taflach zamglonych luster.

– Nie uważam, że artysta musi być sam. Mam ogromną satysfakcję, kiedy coś się odbywa w grupie, ujawniają się różne wrażliwości i różne wątki, wtedy pojawia się napięcie artystycznej wypowiedzi – powtarza idee swych performansów.



Ewa Kozakiewiczowa – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Przekrojem”, współpracowała między innymi z „Warsaw Voice”, „Newsweekiem”, „Czasem Krakowskim”, kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się

głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.



Edward Dwurnik, *Obława na groźnego bandytę*, 1982, olej na płótnie, 250 x 410 cm, kolekcja MOCAK-u (zakup pracy dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego)

Obraz był reakcją na stan wojenny w Polsce. Przedstawia wymyślone miasto, które – jak w większości obrazów Dwurnika – oglądamy z góry. Pozornie jest spokojne, stabilne i bezpieczne. Dopiero wnikliwe spojrzenie odkrywa dramat miasta, w którym władzę przejęło wojsko. Tytuł

jest wyraźnie ironiczny: „groźnym bandytą”, na którego polują wojskowi, jest intelektualna i pacyfistyczna opozycja. Obraz zawiera również szerszą dygresję; łatwo można uspokoić sumienie stwierdzeniem, że „nic się nie dzieje”, kiedy nie zadajemy sobie trudu spojrzenia głębiej.

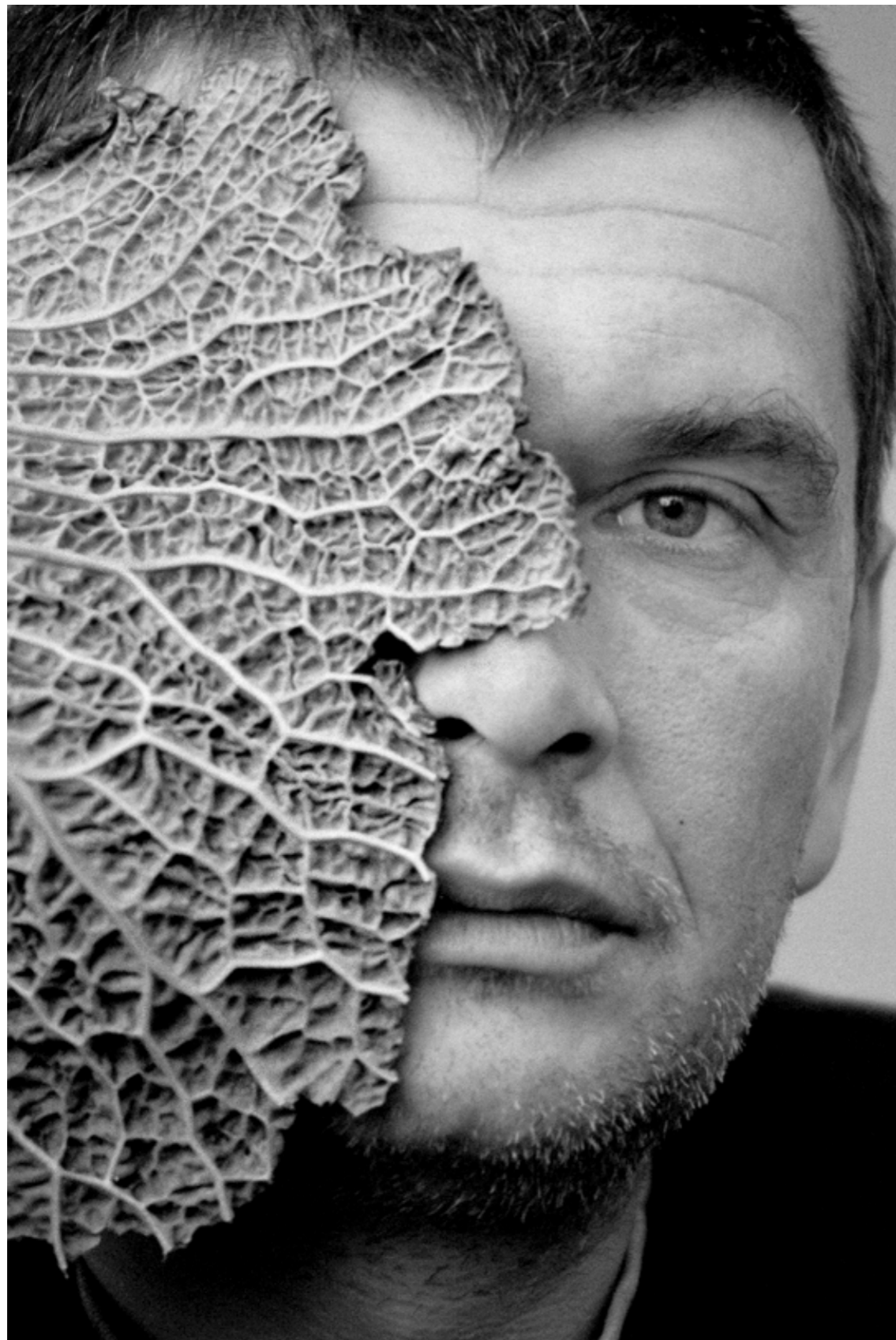
Edward Dwurnik (1943–2018)

Malarstwo, rysunek, grafika. Bardzo duży wpływ na kształtowanie się jego języka wypowiedzi artystycznej miała twórczość Ni-

kifora. Oprócz portretów miast Dwurnik tworzył także wizerunki prowincjonalnych typów ludzkich zakorzenionych w codziennej rzeczywistości.

(Opracowanie: Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK)





Świetlicki

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: Danuta Węgiel

Jest rok 2000. Marcin Świetlicki zostaje namówiony przez Danę Węgiel do serii portretów niebanalnych, w tym – z liściem kapusty. Dlaczego? Fotografka wspomina dzisiaj, że chodziło jej o pewną oryginalność, ale i o codzienność, bo Świetlicki zawsze był codzienny w swej niezwykłości. I przypomniała sobie, jak na czarno-białych kadrach z początku XX stulecia pokazywał rośliny Amerykanin Edward Weston, jeden z pionierów światowej fotografii: u niego żywe formy były wręcz zmysłowe. Wymyśliła więc włoską kapustę, która ze swoją żyłkową fakturą jest jak żywa.

Jak wspomina – Marcin nie miał żadnych oporów przed takim się upozowaniem. „Świetlik” jako poeta jest wtedy w kulturze już postacią, co się zowie. Lubi jednak podkreślać, że jest zwykłym korektorem w „Tygodniku”. Píše, rysuje, a przede wszystkim – wykonuje. Bo czy jego melorecytacje śpiewaniem nazwać można?

Ale czyż to ważne, skoro tego chce się słuchać? Ba, chciałoby się umieć za Świetlickim wymruczeć „Szalenie delikatny jestem na kacu / To taki stan kiedy byle reklama zmusza do płaczu”.

Ma za sobą cztery lata w Krakowie jako nieudany student polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim i dwuletnią służbę wojskową w Zielonych Beretach, czyli jednostce ochrony wybrzeża w Słupsku w latach 1984–86. – Nauczyłem się tam bardzo pożytecznej rzeczy, strzelania z moździerza. Wiem, że moździerz to broń niesłychanie skuteczna w walkach w mieście. Ot, stawiasz go tu, na placu, a pociski padają tam za kamienicą. Prawda, że to pożyteczna wiedza? – powie przy jakiejś okazji.

Potem pracował między innymi w krakowskim Pałacu Sztuki, był też dozorcą kamienicy. Wreszcie ląduje jako korektor w „Tygodniku Powszechnym” Jerzego Turowicza. Wtedy debiutuje tomikiem *Zimne kraje* i już wiadomo, że to jest to.

Tu właśnie jest w roku 2000. Tu wcześniej napisał kultowe mgnienie ze spotkania z Jerzym Pilchem „daj mi spokój / nie mam ochoty / jestem dziś w nastroju / nieprzysiadalnym”. A za chwilę zagra kilka ważnych koncertów, stworzy tak zwaną krakowską trylogię kryminalną (*Dwanaście*, 2006, *Trzynaście*, 2007, *Jedenaście*, 2008) i zdobędzie kilka prestiżowych nagród literackich. I kilka innych, równie prestiżowych, odrzuci. OK, odmówi z powodów innych niż jakieś tam artystowskie

humory. Były to zawsze powody dla niego znaczące, dla wielu zrozumiałe, a dla większości niepojęte.

Ale teraz, w 2000, pod pseudonimem Marianna G. Świeduchowska pisze wspólnie z Grzegorzem Dyduchem książkę o „Tygodniku” (*Katecheci i frustraci* (wydana w 2001 roku).

Potem powstanie też doskonała powieść kryminalna *Orchidea* (2009), napisana wraz z Gają Grzegorzewską i Irkiem Grinem, pełna chwytów intertekstualnych i zabaw intelektualnych.

Choć po latach sam o sobie zaśpiewa, do słów swego wiersza, że on, podmiot liryczny, „posiwiął, przytył i spuchł”, to jego poezja zostawia trwałe i ważne ślady w polskiej kulturze. I nie posiwiła.

Później Świetlicki rzuci w diabły „Tygodnik” (odejdzie wraz ze sporą ludzką falą), będzie w duecie z Dyduchem prowadził telewizyjny *Pegaz*, w czym autor niniejszego tekstu miał pewien udział, a także gościnnie pojawi się w filmie *Anioł w Krakowie* (2002).

Dzisiaj wspomina dla „Krakowa”:
– Niewiele się zmieniło od momentu zrobienia mi tego zdjęcia przez Danusię. Tyle tylko, że włosy teraz mam siwe. Napisałem kilka książek więcej, wydałem kilka więcej płyt. Pożegnałem kilku kolegów, kilka psów. Nadal łudzę się, że ludzie są mądrzy i uczciwi. Ale wiele masek spadło. A w nowym 2020 roku planuję wydać trochę więcej płyt i trochę więcej książek.



Witold Bereś – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Bursztynowa łza i smak sezamków

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Idea tak zwanych książek do pisania krakowskiego wydawnictwa Austeria jest banalna w swej prostocie. Zazwyczaj książkę po przeczytaniu odkładamy na półkę i bywa, że już nigdy do niej nie wracamy. Tymczasem „książka do pisania” to także notatnik (a może i szkicownik), który zapełniać można dowolnie długo (czystych stron jest tu sporo), mając siłą rzeczy nieustający kontakt z zawartą w niej treścią. To oryginalny i unikatowy projekt edytorski, stanowiący też swoisty patent i znak rozpoznawczy Austerii.

Niełatwo zliczyć wszystkie wydane dotąd książki z tą etykietą. Prawdopodobnie *Polska ma sens* otwiera czwartą już dziesiątkę tej serii. Większość zawartych w niej felietonów opisuje fenomen polskich miast, zwykle tych dużych, rozpoznawalnych, ale jakże różnorodnych. Krótka forma sprzyja błyskotliwej treści i tu prym wiedzie portret Wrocławia autorstwa Mariusza Urbanka oraz – przede wszystkim – opis warszawskiego Wilanowa nakreślony z sarkastycznym dziennikarskim wdziękiem przez Mikołaja Lizuta.

Zawartość i klimat tomu budują jednak szkice Witolda Beresia (jest ich najwięcej), także redaktora całości wspieranego w tym trudzie – tradycyjnie już – przez Krzysztofa Burnetkę.

Dla tych, którzy znają i doceniają pisarskie dokonania redaktora Beresia, książka może być pewnym objawieniem. Z kart wylania się bowiem Beres mało dotąd znany. Jego wy-nurzenia pełne są ciepłej osobistej refleksji, choć nie brak im też precyzyjnej historycznej analizy. Natrafić można też na sentymentalną piękną metaforę, jak ta o Białymstoku i „bursztynowej łzie”. Inny z wątków kreśli portret dziennikarza rodem z tegoż miasta Szymona Hołowni. Jak pokazały wydarzenia ostatnich tygodni szkic to nadzwyczaj pro-cyzy.

Jest też wspomnienie o wycieczce 10-letniego Witka do stolicy, gdzie Kolumnę Zygmunta i Nike przyćmił niepokojący smak „pokątnie sprzedawanych sezamków”. Opowieść tę równoważy dzisiejsza refleksja dziadka Witka oprowadzającego wnuki po „uwielbianych” Łazienkach. Z kolei w innym miejscu mamy opowieść o dziadkach i ich krakowskim domu. Czyżby była to próba rozrachunku w przededniu okrągłej rocznicy urodzin Redaktora...?

Dla dopełnienia obrazu, podkreślić trzeba, że są też szkice – równie smakowite! – tych, którzy po pióro sięgają rzadziej. Mowa o zna-

komitym rysowniku Henryku Sawce czy aktywiście miejskim i przedsiębiorcy Tomasz Janowski.

Lektura tej mozaikowej książki, ilustrowanej świetnymi wizerunkami opisywanych miast, powinna utwierdzić w przekonaniu wątpiących. Polska ma sens. Warto sobie to powtarzać. Nawet codziennie. Najlepiej zaraz po przebudzeniu, a może i przed zaśnięciem...



Polska ma sens. Książka do pisania, Austeria, Kraków 2019.

Luty 1920

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1-5 lutego.** Dzienniki rozpisywały się o strajku masarzy i rzeźników usiłujących wymusić podniesienie ustalonych przez władzę cen maksymalnych.

✂ **2 lutego.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Wczoraj o godz. 5 po południu wezwano Pogotowie Ratunkowe do Łaźni Rzymskiej przy ul. Sebastiana, gdzie z powodu uszkodzenia pieca czy kotła wydobywający się czad spowodował zemdlenie kilku osób. Lekarz Pogotowia przywrócił zemdlnych do przytomności”.

Łaźnia Rzymska wzniesiona staraniem kupca Wiktora Suskiego w oficynie domu przy ul. Sebastiana 9, działała w latach 1912–1990. W 1992 roku realność tę zakupiło na cele ekspozycyjne Muzeum Przyrodnicze PAN.

✂ **2 lutego.** „Nowa Reforma” zamieściła komunikat: „Dyrekcja policji informuje, że ze względu na niezbędne ograniczenie zużycia węgla wszelkie zabawy, rauty, zebrania towarzyskie nie mogą się przeciągać poza godzinę 3 po północy. Odpowiedzialność za przekroczenie tego przepisu ponoszą zarówno organizujący zabawę, jak wynajmujący lokal”.

✂ **4 lutego.** „Aresztowano 41-letniego Stanisława Grudzińskiego, który onegdajszej nocy skradł w kościele Karmelitów dwie komże” – odnotował „Głos Narodu”.

✂ **5 lutego.** Jak donosił „IKC”: „Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało z puli dla zasłużonych literatów drowi Tadeuszowi Żeleńskiemu (Boyowi) 4 tys. marek polskich nagrody za działalność literacką”.

✂ **5 lutego.** „Bal maskowy na rzecz ochrony w Ludwinowie odbędzie się dnia 5 bm. w Kasyńce Oficerskiej. Ze względu na rozporządzenie, że ograniczenie światła jest zastrzeżone, uprasza się o punktualne przybycie. Przy wejściu ścisła kontrola masek. Zaproszenia są już wyczerpane, wiele przemilych atrakcji spotka uczestników zabawy przy barwnym kotylnie” – anonsował „IKC”.

Ochronkę, czyli dzisiejsze przedszkole, urządzono wkrótce w nieistniejącym dziś domu u zbiegu ulic Barskiej i Ludwinowskiej dzięki staraniom lokalnej działaczki społecznej Feliksi Grabowskiej.

✂ **6 lutego.** Jak podała prasa, władze ustaliły godziny otwarcia sklepów spożywczych od 7–12 i od 15–18. Pozostałe sklepy pracować miały od 8–13 i od 15–18.

✂ **8 lutego.** Dzienniki opisywały tragedię, jaka wydarzyła się na lotnisku w Rakowicach. Pilotowany przez włoskiego wojskowego samolot spadł na skutek awarii silnika

na grupę żołnierzy, z których czterech zginęło na miejscu, a kilku odniosło obrażenia.

✂ **8 lutego.** Anons z „Nowej Reformy”: „Okazja. Karetą w dobrym stanie do sprzedania. Wiadomość: Ofiarski, Podgórze, Rynek 13”.

✂ **9 lutego.** Z kroniki „IKC”. „W tych dniach, po dłuższym pobycie we Francji, gdzie w czasie wojny służył w szeregach armii francuskiej,

13 lutego 1920 roku pierwszy raz od chwili odzyskania niepodległości uległ konfiskacie numer „IKC”. Przyczyną był krytyczny artykuł o ministrze skarbu Władysławie Grabskim.

powrócił do Warszawy znakomity artysta rzeźbiarz Xawery Dunikowski. Artysta za pośrednictwem Ministerstwa Kultury i Sztuki ofiarował państwu kilkanaście swoich prac”. W rzeczywistości Dunikowski nie służył w armii francuskiej, lecz w Legii Cudzoziemskiej. W 1922 roku po raz trzeci przybył do Krakowa, aby objąć katedrę rzeźby na ASP.

✂ **10 lutego.** Przez kilka dni z pierwszych stron dzienników nie schodził temat objęcia przez Polskę Pomorza. Kulminacją uroczystych obchodów urządzonych staraniem Komitetu Obywatelskiego było nabożeństwo w katedrze wawelskiej odprawione przez biskupa Adama Sapiechę. Na zakończenie uroczystości wrzucono do Wisły, przy akompaniamencie armatnich salw, okolicznościowe wianki – symbol łączności Krakowa z Pomorzem i Bałtykiem.

Symbolicznych zaślubin Polski z Bałtykiem dokonał – 10 lutego 1920 roku – na plaży w Pucku gen. Józef Haller.

✂ **11 lutego.** „Na wieczornym przedstawieniu w Teatrze Nowości 23-letni Stanisław Zamorski wydobyl rewolwer i usiłował strzelić do siebie. Ci z widzów, którzy ruch ten zauważyli, poczęli krzyczeć. Wkrótce »obłąkańca« obezwładniono, odebrano mu broń z ładunkiem czterech nabożów i oddano w ręce policji. Jak się okazało Zamorski działał w spółce z niewyśledzoną bandą. Chciał on wywołać panikę i umożliwić towarzyszom łatwy dostęp do kieszeni widzów” – relacjonował reporter „IKC”.

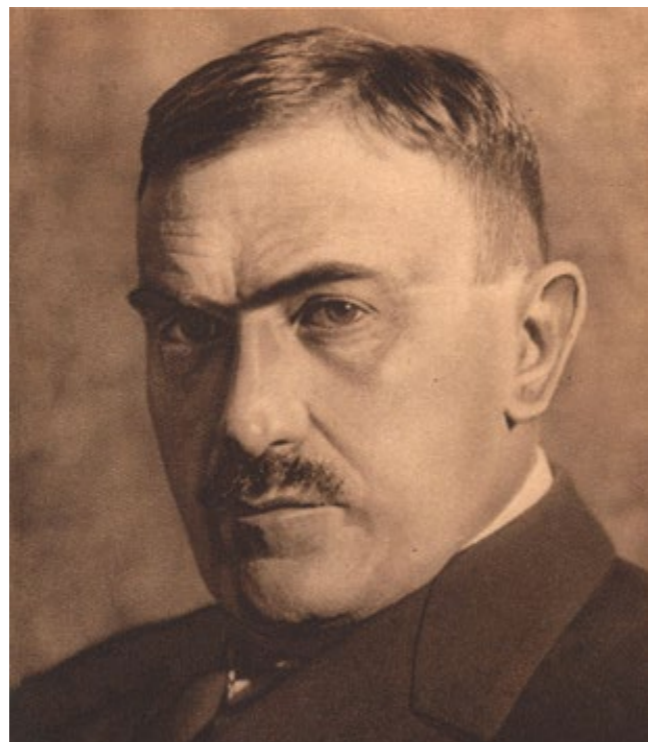
✂ **13 lutego.** „Wczorajszej nocy nieznanymi sprawcy włamali się do biur konsulatu czeskiego przy ul. Skałecznej 10. Rozbili kasę ogniotrwałą i skradli z niej ok. 250 tys. koron,



Goście Zjazdu Burmistrzów Miast Małopolski na dziedzińcu magistratu, fot. 1920, „Nowości Ilustrowane”



Feliks Manggha-Jasiński w kimonie i hełmie samurajskim, na balkonie swego mieszkania na II p. przy ul. św. Jana 1, fot. ok. 1903, Muzeum Narodowe



Tadeusz Boy-Żeleński, laureat nagrody Ministerstwa Kultury i Sztuki, ok. 1920, domena publiczna

które przed kilku dniami nadeszły na wypłaty zapomóg dla poddanych czeskich przebywających w Krakowie. Stwierdzono jednak, że w sumie tej było 200 tys. koron z fałszywym stemplem” – odnotował „Czas”.
W Czechosłowacji (podobnie jak w Austrii) banknoty koronowe ostemplowano w marcu 1919 roku, aby „unarodowić” dotychczasową walutę monarchii. Polska nigdy nie przeprowadziła tej operacji, choć były takie plany. Od 19 kwietnia 1920 roku rozpoczęto za to wymianę koron (ok. 2,7 mld) na marki polskie w relacji 100 marek – 70 koron. Wymianę zakończono 26 czerwca 1920 roku.

✂ **13 lutego.** Pierwszy raz od chwili odzyskania niepodległości uległ konfiskacie numer „IKC”. Przyczyną był krytyczny artykuł o ministrze skarbu Władysławie Grabskim. Obowiązująca wówczas cenzura represyjna pozwalała na konfiskatę zakwestionowanej treści po interwencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jednak dopiero po wydrukowaniu pisma.

✂ **14 lutego.** Anons z „IKC”: „Majętność Parkosz nie jest na sprzedaż, jak to ktoś niesumienny rozgłasza. Przestrzegam ewentualnych reflektantów przed niepotrzebnymi trudami i kosztami. Maria Jurkiewiczowa, właścicielka Parkosza”.

✂ **16 lutego.** „Wspaniały Stary Teatr, pełen wykwintnych salonów, z wielką salą, nadaje się lepiej niż każdy inny gmach na urządzenie zabaw i balów. Czas by pomyśleć o oddaniu go

tychczasowym miejscu, czyli w mieszkaniu Jasińskiego przy ul. św. Jana 1.

✂ **22 lutego.** Jak zapowiadała „Nowa Reforma”: „W dniach 21–28 bm. odbędzie się w sali obrad Rady Miasta Krakowa Zjazd Burmistrzów Miast Małopolski dla omówienia bieżących spraw gminnych. Posiedzenia odbywają się od 10 do 2 przed południem i od 4 do 8 po południu”.



Anons reklamujący Łaznię Rzymską, 1925, archiwum K. Jakubowskiego

Cenzura represyjna pozwalała na konfiskatę zakwestionowanej treści po interwencji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jednak dopiero po wydrukowaniu pisma.

do użytku publicznego wobec tego, że w szpitalu wojskowym tam umieszczonym znajduje się zaledwie 30 chorych, którzy mogliby się łatwo znaleźć gdzie indziej. Prócz tego, jak się dowiadujemy, jest w stanie opłakany, zniszczony jeszcze mocno za czasów austriackich. Czynnikiem decydującym polecamy tę sprawę do rozważenia” – upominał się „IKC”.

✂ **20 lutego.** Prasę obiegła wieść o śmierci artystki Teatru Bagatela, zaledwie 22-letniej Marii Tęczyńskiej-Jabłońskiej. W obliczu choroby artystka targnęła się na swoje życie.

✂ **21 lutego.** Według relacji „Głosu Narodu” na obradach Rady Miasta prezes Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa dr Józef Muczkowski zreferował sprawę przejęcia przez gminę zbiorów Feliksa Mangghy Jasińskiego. Darowiznę przyjęto przez aklamację, z zastrzeżeniem, aby ofiarodawcę pozostawić na stanowisku dożywotniego kustosa, dodając mu jedną fachową siłę do pomocy. Do czasu uzyskania odpowiedniego pomieszczenia, zbiory pozostać miały w do-

✂ **25 lutego.** Z kroniki „Czasu”: „Wobec ogólnego zainteresowania i niezwykłego powodzenia, z jakim spotkał się pierwszy koncert naszego mistrza-pianisty w sali Sokoła, Biuro Koncertowe Bujański nakłoniło znakomitego artystę, by tenże wystąpił raz jeszcze w naszym mieście. Koncert odbędzie się nieodwołalnie 20 bm.”.

Światowej sławy pianista i kompozytor Ignacy Friedman (1882–1948) pochodził z podkrakowskiego Podgórze. Zmarł na emigracji, w Sydney.

✂ **25 lutego.** „Prezes Sądu Apelacyjnego w Krakowie Władysław Wolter wyjechał w ważnych sprawach do Warszawy. Kierownictwo Sądu objął wiceprezes Mieczysław Turowicz” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✂ **28 lutego.** Z kroniki „IKC”: „Pan Julian Tuwim, wybitnie utalentowany poeta warszawski, na zaproszenie Związku Pracowników Pióra przybywa w marcu do Krakowa, gdzie w sali Domu Artystów wygłosi dwie prelekcje”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Malarz urodzony

Tekst: Ewa Danowska

Julian Fałat to jeden z najwybitniejszych artystów Młodej Polski – czołowy reprezentant malarstwa pejzażowego i rodzajowego, zwłaszcza scen myśliwskich. Znakomity akwarelista, choć malował też i obrazy olejne.

Urodził się w 1853 roku w Tuligłowach, w województwie lwowskim, jako piąte dziecko wiejskiego organisty. Oddany do pierwszej klasy szkoły powszechnej we Lwowie, uciekł, więc kazano mu, jak wcześniej, paść bydło. Dopiero w Przemyślu dotarł do trzeciej klasy gimnazjum, ale zaczął malować i postanowił zostać wielkim artystą. Znowu więc uciekł – tym razem do Krakowa, do Szkoły Sztuk Pięknych. Chociaż Władysław Łuszczkiewicz, u którego podjął naukę, poradził mu na początku, by jednak wrócił do pasania bydła lub został szewcem, to młody Fałat nie posłuchał. I słusznie, bo już po kilku miesiącach dwie jego prace znalazły się na wystawie końcowej uczniów Szkoły.

Jak sam wspominał, już przed południem opuszczał mury szkoły i szedł do Biblioteki Jagiellońskiej, gdzie pracował przy naprawianiu uszkodzonych druków i rycin. Za dwie godziny pracy dostawał 24 grajcare, co pozwoliło mu żyć w Krakowie, który nazywał „swoją Mekką”.

Upodobał sobie akwarele, niejako z musu, gdyż nie stać go było na droższe farby olejne. Pragnął uwiecznić na swych obrazach wiejskie pejzaże. W wakacje zarabiał w zamożnych dworach, podejmował się prac rysownika, wciąż walcząc z niedostatkiem.

Dzięki pomocy życzliwych znajomych wyjechał w 1873 roku do Zurychu, a potem do Monachium, by kształcić swój talent. Mimo zdobywanych za swe prace medali i nagród, utrzymywać się musiał, pracując przy budowie kolei w Szwajcarii i Bułgarii. Dorabiał też publikowaniem rysunków w czasopiśmie. Nie gardził żadnym zarobkiem, oszczędzał, pilnował swych interesów, by stać się coraz lepiej rozpoznawalnym. Wiele podróżował, zdobywając nie tylko malarskie doświadczenia. Przebywał we Włoszech, w Warszawie, w Paryżu, na Litwie, w Hiszpanii, a w 1885 roku odbył podróż dookoła świata.

Ważnym wydarzeniem w życiu Fałata był udział w polowaniu w Nieświeżu, gdzie pojawił się na zaproszenie księżąt Radziwiłłów w 1886 roku. Poznał wówczas późniejszego cesarza Niemiec Wilhelma II, który zachwycił się jego obrazami, zwłaszcza przedstawiającymi sceny polowań.

Kolejne 10 lat spędził w Berlinie – jako malarz nadworny zdobył wysoką pozycję w artystycznym świecie. Wciąż chętnie malował

akwarelą, której efekty starał się upodobnić do malarstwa olejnego.

Popularność przyniosły mu sceny pejzażowe i myśliwskie, ale czerpał też pomysły z życia wsi i miasteczek. Na wielu jego obrazach pojawiają się motywy krakowskie, przedstawiał widoki miasta w różnych porach roku i sceny z życia mieszkańców: *Węglarze w Krakowie*, *Kraków rankiem*, *Autoportret na tle panoramy Krakowa z pracowni* czy *Błonia podkrakowskie*. Zajmował się także portretami,

„Śniegi Fałata nie mają dotąd równych w świecie jako brawurowe użycie farb wodnych i jako sugestie nastroju”.

Jan Lechoń, *Dziennik*

wykonał również liczne autoportrety i podobizny członków rodziny.

W 1890 roku został członkiem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie i tam właśnie wystawiał większość obrazów.

Cztery lata później przystąpił w Berlinie, wspólnie z Wojciechem Kossakiem i innymi artystami, do malowania *Berezyny* – olbrzymiej panoramy (długości 115 metrów i wysokości 15 metrów), przedstawiającej odwrót wojsk Napoleona podczas wyprawy na Rosję. Fałat malował głównie krajobraz, biorąc też na siebie wszelkie sprawy organizacyjne, a Kossak wykonywał postaci ludzkie i konie. (Skądinąd w 1907 roku dzieło zostało zniszczone – Kossak pociął je na części).

Ze wspomnień Kornela Makuszyńskiego wynika, że Fałat z charakteru był podobny do Kossaka – cechował go taki sam nieposkromiony temperament, radość życia i pracowitość. Pomimo to często dochodziło do konfliktów obu tych skomplikowanych osobowości, a w chwilach irytacji Kossak nazywał kolegę po piędzu „Fałaciuchem”.

W 1895 roku Fałat został dyrektorem Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Przekształcił ją w Akademię – automatycznie zostając rektorem i reformując system nauczania. Po rygorze panującym w czasie dyrektorowania Matejki, potem Łuszczkiewicza, wprowadził swobodę w kontaktach między profesorami a studentami, uważając, że jest to korzystne



Julian Fałat, *Autoportret*, 1896, olej na płótnie, Muzeum Narodowe w Warszawie / domena publiczna – commons.wikimedia.org

dla ich rozwoju. Jednakże studenci nagminnie zaczęli to wykorzystywać. Zachowała się opowieść, jak na uczelni spodziewany był ważny gość – dygnitarz z Wiednia, więc rektor Fałat ostro zaapelował do studentów, by podczas wizyty nie palili papierosów i zdjęli kapelusze. Rezultat był wręcz przeciwny – studenci rozuchwalili się, a jeden z nich wylał na posadzkę rozrobioną glinę, która ubrudziła odzież dygnitarza. Niezaprzeczalną zasługą Fałata było to, że na miejsce starych profesorów zatrudnił w swojej uczelni najwybitniejszych polskich malarzy. Na ASP wykładali więc Leon Wyczółkowski, Teodor Axentowicz, Jacek Malczewski, Jan Stanisławski (objął katedrę pejzażu), Józef Mehoffer, Józef Pankiewicz, Konstanty Laszczka, Wojciech Weiss czy Stanisław Wyspiański.

Sam Fałat nie prowadził wykładów, więc studenci widywali go rzadko. On też nie garnął się do kontaktów z młodzieżą, spędzając czas w pracowni.

Rektora ASP wzięli też na cel twórcy szopki Zielonego Balonika, wypominając mu, że modelki na uczelni są stare, spluwaczki złe, „w salach gnój”. Przedstawili go też jako despotę, który powinien iść precz. Równie niezłownie wypowiadali się o nim koledzy malarze. Wojciech Kossak we wspomnieniach odnotował, że Fałat był w środowisku nielubiany. Jacek Malczewski nazywał go „fagasem”, bo jakoby wysługiwał się austriackiej władzy, Axentowicz nie znosił go z konsekwencją swojej ormiańskiej duszy, a Stanisławski stwierdził, że „nosi go na wątrobie”.

W grudniu 1900 roku doszło też do ostrego incydentu między Fałatem a Kossakiem. Otóż na wystawie podczas uroczystości otwarcia gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych obrazy Kossaka były korzystnie wyeksponowane, akwarele Fałata wisiały zaś w bocznej salce. Ugodziło to w ambicję artysty, rodząc w nim przekonanie, że Kossak ostentacyjnie go ignoruje. Gdy ten w dodatku udał, że nie słyszy skierowanego doń powitania, zdenerwowany Fałat publicznie uderzył kolegę. Kossak ciosu nie oddał, natomiast wysłał Fałatowi sekundantów. Pojedynek na pistolety odbył się trzy dni później – obydwaj panowie oddali niecelne strzały, więc wymogom kodeksu honorowego stało się zadość. Sympatia społeczna była po stronie Kossaka, uważano ponadto, że pewne zachowania rektorowi Akademii Sztuk Pięknych po prostu nie przystoją.

Żoną artysty była wtedy włoska hrabianka Maria Luiza Comello Stuckenfeld, podobno spokrewniona z Habsburgami. Miał z nią troje dzieci – Helenę, Kazimierza i Lucjana.

W 1909 roku Fałat przeszedł na emeryturę, opuścił Kraków i osiadł w Bystrej Śląskiej koło Bielska-Białej, gdzie osiem lat wcześniej postawił willę z pracownią. Oddał się tam już w spokoju twórczości malarskiej. „Fałatówkę” odwiedzali między innymi Kornel Makuszyński i Ignacy Jan Paderewski.

Gdy rodziła się niepodległość Polski, ponad sześćdziesięcioletni Fałat zgłosił się do Legionów w charakterze malarza wojennego na froncie wołyńskim. Stworzył wówczas wiele akwareli o tematyce patriotycznej i wojennej.

Od 1919 do 1920 roku zamieszkiwał w Toruniu, uczestnicząc w życiu kulturalnym miasta. Założył w nim choćby Konfraternię Artystów. Po śmierci syna Lucjana toruński dom подарował Pomorskiemu Towarzystwu Opieki nad Dziećmi i w 1922 roku przeniósł się na

W 1895 roku Fałat został dyrektorem Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Przekształcił ją w Akademię i jako rektor wprowadził swobodę w kontaktach między profesorami a studentami, uważając, że jest to korzystne dla ich rozwoju.

rok do Warszawy, obejmując funkcję dyrektora Departamentu Sztuki w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Następnie wrócił do Bystrej, ale organizował retrospektywne wystawy swego malarstwa w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Lwowie i Katowicach. W połowie lat 20. XX wieku Fałat był u szczytu popularności, ale nie swoich możliwości twórczych i skali talentu.

W środowisku artystycznym mówiono, że wśród odbiorców jego malarstwa, dziewiętnastowiecznego miłośnika sztuki zastąpił filister, dla którego obraz był tylko towarem do lokowania tracących z dnia na dzień na wartości pieniędzy. Taki klient przychodził do pracowni mistrza i na pniu kupował mokre jeszcze obrazy lub zadatkował te, które dopiero miały powstać. Utrzymywano, że Fałat dostosował się do poziomu klienta. W pogoni za szybkim zarobkiem w czasach inflacji zaczął malować więcej, ale i gorzej.

Krytycy od tej pory o artystach, którzy zaprzepaścili swój talent i malują poniżej oczekiwań, mówią, że sfałacieli.

Julian Fałat zmarł, schorowany, 9 lipca 1929 roku w Bystrej.

Dziś jego obrazy znajdują się w muzeach głównie polskich – najliczniej w Krakowie, a także w kolekcjach prywatnych.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

W sieci kultury

Przegląd: Piotr Rachwaniec

W styczniu znaleźliśmy w internecie dla Was takie oto ciekawostki o kulturze i nie tylko – i je polecamy!

cultura.pl

Czy współczesne miasta potrzebują lekarza i jaką receptę na miejską przestrzeń ma urbanista Łukasz Panacewicz?

„ (...) Budownictwo zostało oddane w ręce prywatnych inwestorów, którzy już nie potrzebowali wizjonerskich planów dzielnic czy całych miast, mieli inne priorytety. W rzeczywistości wolnorynkowej budowanie zostało zdecentralizowane, deweloperzy jak puzzłami uzupełniają przestrzeń miejską”.
(<https://culture.pl/pl/artykul/lekarz-miasta-rozmowa-z-urbanista-luka-szem-pancewiczem>)

liberte.pl

Przeczytacie zwierzenia Pedra Almodóvara o jego najnowszym filmie.

„ (...) Jesteśmy w jego dzieciństwie: mały chłopiec jest wsłuchany i wpatrzony w swoją dobrą, piękną i pięknie śpiewającą matkę (Penélope Cruz)(...) dostaje gorączki na widok nagiego, młodego mężczyzny, którego uczy czytać i pisać (...) dziecko, które jest najcierliwszym nauczycielem (...) chce się uczyć, by –

jak sam mówi – jak najwięcej wiedzieć i dzielić się tym z innymi”.

(<https://liberte.pl/bol-i-blask-almodovara-podroz-po-najwazniejszych-momentach-w-zyciu/>)

legalnakultura.pl

Pamiętacie Marcina Wyrostka – zwycięzcę konkursu „Mam talent”? O kolędowaniu w lecie i innych wydarzeniach z ostatnich 10 lat artysty dowiedziecie się z rozmowy w Legalnej-Kulturze.pl.

„ (...) przywieźliśmy choinki, stroiki świąteczne i bombki, zorganizowaliśmy nawet wigilię z barszczem, pierogami, uszkami i opłatkiem. Zrobiliśmy ją równo pół roku przed – 24 czerwca, gdy na dworze było bodajże 37 stopni, zakładaliśmy więc swetry do krótkich spodenek. Ale to wszystko na potrzeby filmów promujących płytę, które lada dzień pojawią, a sam album będzie dostępny od 15 listopada”.

(<https://www.legalnakultura.pl/pl/czytelniakulturalna/rozmowy/news/3359,zostawiac-swoj-slad-w-muzyce>)



Rys. Marek Braun

Powoli malejący żołnierzyk

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Klaudyna Schubert/Teatr Ludowy

Wtorek

„Zburzyli hotel Verdun” – powiada narrator w prologu powieści Patricka Modiano *Willa Triste*. „Był to dziwny budynek naprzeciwko dworca, otoczony werandą z butwiejącego drewna. W przerwach między pociągami stawali tu na noc komiwojażerzy”... Ależ skąd!, protestują gromko krakowianie, pamiętliwe pępki świata. Ależ skąd! Gdzie tam hotel?! Jaka weranda?! Daj spokój, Modiano! Owszem, dziwna była to budowla, i nie tylko deski, a wszystko, nawet szyby, nawet powiętrze, butwiało w niej! Ba, możliwe, iż wzniesiono ją z materiałów od zarania zbutwiały na amen! Tak – lecz stała ona naprzeciwko dworca autobusowego, kolejowy znajdował się dalej, z boku! I nie w przerwach między pociągami oraz nie komiwojażerzy, a w przerwach między bliźniaczo trupimi dniami stawali tam nocami na popas wędrowcy idący donikąd! Jedyni w swym rodzaju galicyjscy perypatetycy, co posiadli rzadką, endemiczną umiejętność podróżowania bez ruszania się od blatu, tedy w nocy pomiędzy bliźniaczo trupimi dniami potrafili na zamarych kulasach obejść jeśli nie Jajo Ziemskie, to Europę całą! No i nie hotel, nie Verdun, panie Modiano! Nie Verdun, a Smok! Tak – to był bar Smok!!! Był i nie ma go już! Zburzyli! Wiele, wiele lat temu zburzyli w naszej rzeczywistości święty bar, jak zburzyli hotel Verdun w pana fikcji!

Czwartek

Co jeszcze zburzyli w Krakowie? Co przepadło? Po czym nie ma śladu? I co ocalało po zgubionych miejscach, rzeczach, istotach? Mało ważne, o jakim mieście snuje baśń bazarz *Willi Triste*. Istotne są miejsca już bez twarzy, opuszczone punkty, przestrzenie przemienione nie do poznania, melancholijne niczym puste krzesła. I istotne są słowa. One zostały. Nazwy jak dalekie zaklęcia z mitycznej epoki Sindbada Żeglarza, po latach zniemacka budzące pamięć. Cafe des Cadrans, Cafe de l’Avenir, księgarnia Chez Clement Marot, jubiler Horovitz, angielska cukiernia Fidel-Berger, salon fryzjerski René Pigaulta, Rotary Club, park Albigny... Narrator ciągnie litanie miejsc pustych lub zmienionych nie do poznania: „Veyrier, Chavoires, Saint-Jorioz, Eden-Roc, Port-Lusatz...”. Recytuje długi katalog strat i poddaje się: „Zbyt długo by wyliczać”. Milknie, lecz zdoła dorzucić kruchą przysięgę wierno-

ści. „Ale są słowa, które trzeba nucić nieznużenie niczym kołysankę”. W tym zdaniu Modiano tkwi cały seans *Krakowska lekkość bytu* napisany przez Michała Chłudzińskiego i w Teatrze Ludowym, na Scenie Pod Ratuszem, przez Łukasza Czuja wyreżyserowany.

Piątek

Prócz baru Smok – co jeszcze uśmiercili w Krakowie? Co przepadło? Wszystko. Trzy Rybki, Baryłeczka, Fafik, Żywiec, Pod Kotwicą, Kaprys, Warszawianki, Twardowska, Spatif, Samanta, Bajka... W legendarnej gospodzie na parterze Domu Literatów przy Krupniczej od lat działa restauracja... Chryste Panie! – wegetariańska... Same tylko knaj-

Krakowska lekkość bytu to bez mała dwugodzinny seans wywoływania duchów ludzi, miejsc i smaków, na czele z duchem legendarnej smaku żołądkowej gorzkiej.

py martwe zacząłem recytować – a już zbyt długo to trwa. Imiona te z epitafiów oraz inne, równie święte, lecz przemilczane imiona barów-trupów, wprost nie padają w śpiewającym seansie Czuja i Chłudzińskiego, ale snują się ich cienie niewyraźne. Cienie trupich imion snują się w słowach dwudziestu kilku nostalgicznych, melancholijnych songów, w których zarazem wizytę naszym czasem



składają duchy przybyłe z wielkiej epoki świętego baru Smok. Duchy i figury wciąż żywe, pamiętające tamtą szklaną arkę, osiadłą naprzeciwko starego, już nieistniejącego dworca autobusowego, pełną nocnych stworzeń, godnych ocalenia dla przyszłych pokoleń – dla aktualnej gównażerii komórkowej, która coś może wiedzieć o tym i tamtym świecie, jeśli nic nie wie o cudzie życia i umierania rezydentów świętego baru Smok? Tadeusz Kantor więc przychodzi w pieśniach Chłudzińskiego, śpiewanych z towarzyszeniem gitary, akordeonu, kontrabas i perkusji. Kantor i... Kto jeszcze?

Niedziela

Kantor i Sławomir Mrożek, Marcin Świetlicki i Jerzy Pilch, legendarny Kiwi – twórca wielu Pięknych Psów, i nieogarniony Szajbus – konsument, który w popłoch wciskał samego Franciszka Rableais'go, więc nie ma Szajbusa w *Gargantui i Pantagruelu*. Oni, jeszcze inni wielcy, i cała masa widm anonimowych. Tanie kurewki i striptizerki, na płaskim parkiecie potykające się o nic, rozochoceni pitem na ławce winem studenci nieusuwalnie wieczni i lekko ślepawo malarki, oni i nie oni, tacy i owacy, tysiące, mrowie, mrowie cieni NN. Ich liczba – liczbą piasku. I wszyscy – przypadli. I wszyscy jakoś wracają w *Krakowskiej lekkości bytu*. „Jakoś”, bo przecież nie dokładnie. Wracają niczym dalekie echo, resztką smaku, smuga dymu, omdlały powidok. I to – owa znikliwość – jest bodaj największym walorem nostalgii Czują i Chłudzińskiego. Drugim zaś – tytułowa lekkość. Lekka podana na scenie – niejednoznaczność.

Środa

Ani tylko uśmiechnięty i zabawny jest ten seans, ani tylko melancholijnie szary. O chlupanu nad utraconą przeszłością piękną, o epatowaniu westchnieniem „Kiedyś, panie drogi, to dopiero było, dopieroż żyć się chciało!” – mowy nie ma. Aktorzy: Marta Bizoń, Katarzyna Tłałka, Roksana Lewak, Tadeusz Łomnicki, Jan Nosal i Ryszard Starosta – są zawsze pomiędzy skrajnościami. Intonacją, grymasem, gestem, nastrojem – nigdy nie dotykają ani „mszy żałobnej”, ani „pamiętliwego kabaretku”. Oni – raz bawiąc nas lekko, raz lekko dławiąc rozbawienie nasze – nucą, świetnie nucą Imiona ocalałe po czasie przeszłym, dokonanym, nieznużenie powtarzają kołysankę słów, które zostały po zamarłej epoce baru Smok i są trochę jak te stare przedmioty, omszałe rzeczy, sterzcące w oszklonej szafie z boku sceny. Wiekowa maszyna do pisania, drewniana tenisowa rakietka z czasów pierwszych Wimbledonów, ebonitowa lalka bez głowy, cudaczne naczynia, z których nikt już dziś nie potrafiłby ani wypić, ani z nich nalać, by wypić. Jeszcze rękawica bokserska i poślizgnięta kartki, jeszcze jakieś mosiężne kształty, jeszcze słoje i słoiki z ciemnym sekretem w środku, jeszcze fotografia Ewy Demarczyk, milczącej od wieków, a przecież tak pamiętnie śpiewającej w epoce baru Smok. Są też gdzieś ołowiane figurki w mundurkach starych armii...? Szafa z pamiątkami, których historii ktoś może opowie kiedyś. Witryna strat. Jakby ktoś ustawił na sztorc przepastną szufladę kuchen-

nego kredensu z *Ulissesa* Jamesa Joyce'a, w której Leopold Bloom zgromadził niezliczone resztki swojej przeszłości, a każda resztką niewiele większa jest od słowa, co resztkę nazywa, od Imienia małego niczym ołowiana figurka.

Piątek

Kiedy *Willa Triste* się kończy, kiedy wszystko zostało opowiedziane, kiedy już niczego więcej z przeszłości nie dało się obudzić – narrator odjeżdża. „Konduktor zatrzasnął drzwi. Otworzyłem okno i wychyliłem się na zewnątrz”. Na peronie jego znajomy, pan Pulli, stał i machał ręką na pożegnanie, uśmiechając się prawie niezauważalnie. „Niech pan pamięta o Egipcie i powodzenia...” – tyle zdążył krzyknąć, wciąż

się uśmiechając. Gdy pociąg ruszył, obaj nagle spostrzegli, że obok ławki została jedna, owalna walizka narratora. Pulli zerwał się gwałtownie, z nadzieją, że zdąży. „Chwycił ją, zaczął biec. Próbował dogonić wagon. W końcu stanął zdyszany i wykonał szeroki gest niemocy. Trzymając walizkę w dłoni, stał sztywno w świetle peronowych lamp. Wyglądał jak żołnierz na warcie, coraz mniejszy i mniejszy. Ołowiany żołnierz”. Ani słowa więcej nie ma w *Willi Triste*. Powoli malejący pan Pulli, malejący do kropki. A później nawet i tego nie widać.

Sobota

Po bajce Czują i Chłudzińskiego, po tym bez mała dwugodzinnym seansie wywoływania duchów lu-

dzi, miejsc i smaków, na czele z duchem legendarnego smaku żołądkowej gorzkiej, zostaje w głowie ton podobny. Porównywalnie ciemny, bliźniaczo spokojnie zamierający ton niespiesznego znikania. Żołnierz ołowiany.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.





Zofia z Odrowąż-Pieniążków Skąpska, fot. ok. 1920, archiwum rodziny Skąpskich

O Galicji, pamięci i pokoleniowej więzi

Rozmawia: Krzysztof Jakubowski

Rafał Skąpski: W pomysłcie wydania wspomnień Zofii Skąpskiej utwierdzili mnie Józef Hen, Wiesław Myśliwski i Eustachy Rylski. To dokument okresu, w jakim przyszło babci żyć, wnikliwy portret Polski i Polaków z perspektywy wrażliwej nie tylko obserwatorce, ale uczestniczki przebiegu dziejów kraju. Ta swoista saga rodzinna obejmuje aż pięć pokoleń, sięgając w dygresjach do połowy XIX wieku.

Krzysztof Jakubowski: Kiedy po raz pierwszy sięgnął Pan po lekturę dotyczącą – nazwijmy to ogólnie – wspomnień?

Rafał Skąpski: Do literatury faktu dorastałem. Fascynacja literaturą piękną, poezją, to czasy licealne i studenckie. Czytałem dużo, zarówno to, co było lekturą obowiązkową, jak i niemal wszystko to, co zawierała spora rodzinna biblioteka, wreszcie kupowałem czy wypożyczałem książki sam. Potem zaczęła ciekawić literatura historyczna, biografie, dzienniki, wspomnienia, odsuwając na nieco dalszy plan prozę literacką. Ale na pewno pierwsza książka *non fiction*, jaką z przejęciem przeczytałem, to siedemnastowieczny *Dziennik* Samuela Pepysa w tłumaczeniu Marii Dąbrowskiej. To był początek studiów i na pewno inspiracja mamy, którą ta lektura zachwyciła.

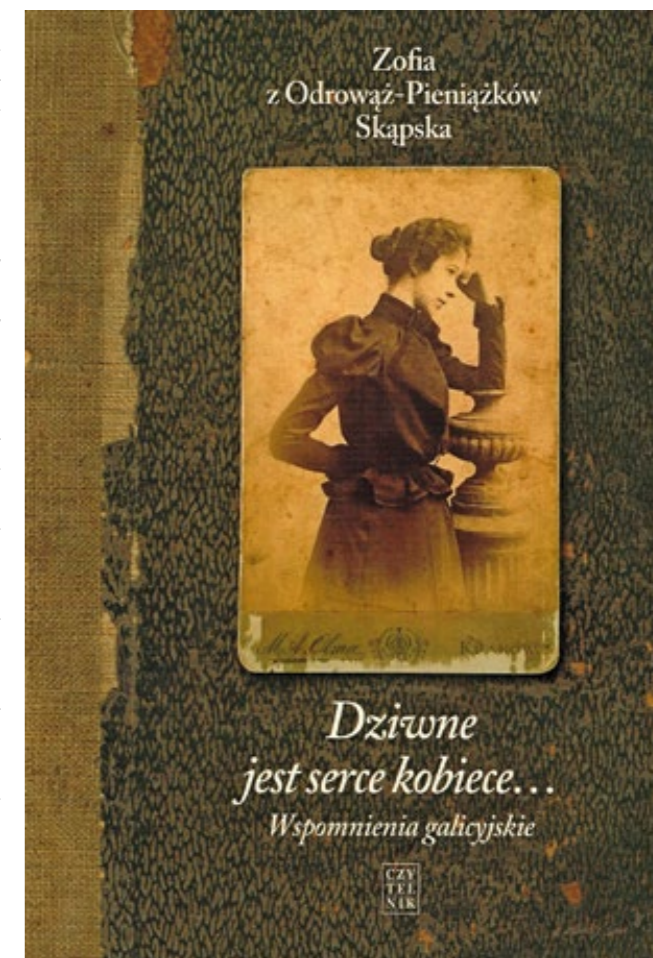
A kiedy i w jakich okolicznościach dostały się w pańskie ręce te bruliony gęsto zapisane przez babcię Zofię? Należy od razu dodać, że charakter jej pisma nie był łatwy do rozszyfrowania.

O tym, że babcia pozostawiła wspomnienia, wiedziałem od dość dawna. Ponad 30 lat temu otrzymałem maszynopis zawierający fragmenty wspomnień przepisanych przez stryjeczną siostrę Marię Otłowską, która dość dobrze odczytywała pismo babci. Maszynopis zaciekał mnie na tyle, że poprosiłem ciotecznego brata Bogdana Rogatko, który przechowywał zeszyty babci, o udostępnienie rękopisu. Interesowało mnie to, co nie zostało przepisane. Okazało się, że potrafię czytać tak, jak nikt dotąd. Za namową Bogdana zacząłem przepisywać zdanie po zdaniu z dwudziestu jeden stukartkowych zeszytów. Opatrywałem tekst przypisami, udostępniałem go w kręgu najbliższych.

Jak narodził się pomysł na tę książkę? Jak zareagowali na to bliscy, pamiętający Zofię Skąpską?

Babcia Zofia była zawsze otoczona nimbem osoby niezwykłej. Tak mi o niej mówiły ciotki oraz rodzeństwo stryjeczne i cioteczne. Ja w zasadzie babci nie znałem, zmarła gdy miałem 10 lat, a widzieliśmy się nie więcej

niż kilka razy. Tak się ułożyły nasze losy, była więc dla mnie osobą odległą emocjonalnie. Zacząłem ją poznawać, przepisując wspomnienia. To była momentami wręcz fascynacja jej osobą, horyzontami, zdolnościami, pracowitością... A równocześnie światem, który minął. Dobre opinie czytelników maszynopisu, nie tylko z kręgu rodziny,



Okładka ocalonych i zredagowanych przez Rafała Skąpskiego wspomnień Zofii z Odrowąż-Pieniążków Skąpskiej, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, 2019



20 listopada 2019 r., spotkanie promocyjne książki *Dziwne jest serce kobiece... Wspomnienia galicyjskie*. Od prawej Lidia Bogacz-Popiel, Rafał Skąpski, Krzysztof Jakubowski, fot. Andrzej Głuc

zachęciły mnie, by myśleć o wydaniu całości wspomnień. Wcześniej ukazało się kilka moich artykułów, między innymi w miesięczniku „Kraków”, dla których pretekstem do opowieści były fragmenty wspomnień babci. Rodzina, pokolenie wnucząt babci, wspierała mnie w zamiarze opublikowania tekstu. Znalazłem wydawcę. W pomyśle ostatecznie utwierdzili nas wybitni pisarze Józef Hen, Wiesław Myśliwski i Eustachy Rylski, którzy po przeczytaniu maszynopisu nie tylko zachęcali do wydania, ale sformułowali swe rekomendacje dla czytelników, umieszczone przez wydawcę na okładce.

Mnie *Wspomnienia galicyjskie* Zofii Skąpskiej odświeżyły w pamięci lekturę *Bric à brac*, wydanych z górą 40 lat temu wspomnień Haliny Ostrowskiej-Grabskiej. Podobny rodzaj wrażliwości, mnóstwo odniesień, zmienny tok narracji, też pojawiają się *Galicja i Kraków...*

Dziękuję za to porównanie, stawia ono wspomnienia babci Zofii obok jednego z ważniejszych dzieł tego wspomnieniowego gatunku. Kiedy kierowałem Państwowym Instytutem Wydawniczym, wiele osób dopytywało się o tę książkę, o jej wznowienie. Tak, to podobny okres, podobna wrażliwość, wspinała koligacje rodzinne. Ja, czytając wspomnienia mej babci, odnajdywałem w nich atmosferę *Nocy i dni* Dąbrowskiej. Ten sam nabożny, pełen podporządkowania i poczucia obowiązku

stosunek do ziemi, do pracy, do życia. A kiedy podczas spotkań promocyjnych słuchałem fragmentów w znakomitej interpretacji krakowskiej aktorki Lidii Bogacz-Popiel, natychmiast nasunęło się przypomnienie atmosfery serialowego filmu Andrzeja Wajdy *Z biegiem lat, z biegiem dni*.

Jak najkrócej zrecenzowałby Pan opracowane przez siebie wspomnienia?

Jest to oczywiście historia życia mej babci i życia jej rodziny, ale przecież nie wyłącznie. Jest to dokument okresu, w jakim przyszło babci żyć, wnikliwy portret Polski i Polaków z perspektywy wrażliwej nie tylko obserwatorce, ale uczestniczki przebiegu dziejów kraju. Ta swoista saga rodzinna obejmuje aż pięć pokoleń, sięgając w dygresjach do połowy XIX wieku. Ale jeśli ją uzupełnić, o już opublikowane wspomnienia teścia Antoniego czy o nieopublikowane syna Kornela, otrzymamy sagę obejmującą losy co prawda jednej, ale jakże rozległej rodziny na przestrzeni niemal 200 lat.

Przypomnijmy, że wspomnienia teścia Zofii – Antoniego Skąpskiego – ukazały się w tomie *Nadziei promienie*, wydanym w 1978 roku przez Wydawnictwo Literackie. Nawiasem mówiąc, zaskoczył mnie nieco wybór wydawcy *Dziwne jest serce kobiece... To – przypomnijmy – Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, która dziś zdaje się być trochę démodé?*

Nie podzielam opinii, że *démodé*, jeśli nawet troszkę, to idealnie pasuje do tych wspomnień. „Czytelnik” rozpoczął tę książkę swoje czwarte dwudziestopięcioletnie, oby to przyniosło obustronnie szczęście. Proszę pomyśleć wśród jakich znakomitych nazwisk i tytułów, z poprzednich 75 lat, znalazła się Zofia Skąpska? Pozazdrościć. Ze współpracy z wydawcą jestem bardzo zadowolony, a o kulisach wydawania książek i pułapkach czyhających na autorów wiem sporo choćby z racji wieloletniemu prezesowania Polskiemu Towarzystwu Wydawców Książek.

Można śmiało, acz nieco górnolotnie powiedzieć, że w jakiejś mierze ocalił pan dziedzictwo międzypokoleniowej więzi. To chyba zasadnicze i fundamentalne przesłanie płynące z tych ocalonych wspomnień. Słuchajmy przekazu dziadków i rodziców, a wreszcie sami chwytajmy za pióro?

Rodzina Skąpskich dba o pamięć, poza wspomnieniami pradiadka Antoniego i babci Zofii, opublikowane zostały wspomnienia z I wojny i brawurowej ucieczki z obozu jenieckiego wnuka pradiada z pierwszego małżeństwa Bolesława Skąpskiego. Obszerne wspomnienia pozostawił stryj Kornel; są też niedokończone pamiętniki Jana Skąpskiego czy Bogdana Rogatko. Ja opisuję pewne ważniejsze zdarzenia, w których uczestniczyłem, ale to takie pojedyncze obrazki wspomnieniowe, publikowane tu i ówdzie, niektóre zapisane tylko w komputerze, może powstanie z tego kiedyś jakaś całość.

Rozumiem, że możemy liczyć na ciąg dalszy wspomnień. Mnie interesowałby szczególnie ostatni okres życia bohaterki, spędzony w Krakowie. Zofia Skąpska – przypomnijmy zmarła tu w sierpniu 1961 roku, a wiadomo, że pisała niemal do ostatnich tygodni życia...

Babcia Zofia pisała, dopóki sił starczyło, ostatni wpis w zeszytach jest z 27 czerwca, zmarła 14 sierpnia. Od połowy 1950 roku mieszkała w Krakowie. W swojej córki Wandy Rogatkowej. Była już wdową, opiekowała się dwoma wnukami, ale często bywała w krakowskich teatrach, sporo czytała. To także czas na notowanie refleksji o czasie współczesnym i minionym. Ale niezwykle ciekawe są zapiski z okresu międzywojnia, wojny i okupacji, a także z lat zawodowej aktywności dziadków po 1945 roku. Ja jestem gotowy, gdy tylko wydawca da znać – finiszuję.

Na koniec proszę zdradzić, czym – oprócz pracy nad redakcją wspomnień – zajmuje teraz się wiceminister kultury z okresu 2001–2004?

Chciałbym zapisać to, co wiem o rodzinie Sągajłło. To rodzina mej mamy, mam wielki dług wobec nich. Niestety, przodkowie z tej strony nie zostawili żadnych notatek, wszystko inne spłonęło lub zostało rozgrabione w powstaniu warszawskim, ale mam już sporo zebranego fascynującego materiału z różnych zagranicznych archiwów. Ostat-

nio natknąłem się na ukraińską rozprawę *Karol Sągajłło – patriarcha kijowskiej medycyny*. To o moim pradiadku – a jeśli tam o nim piszą, to wypadaloby też i w Polsce. Dziadek Witold był związany z Krakowem. W roku 1937 otrzymał doktorat *honoris causa* na ówczesnej Akademii Górniczej, a zaraz po zakończeniu okupacji prowadził tam wykłady. Przed wojną na Uniwersytecie Jagiellońskim studiowały obie jego córki, moja mama i jej starsza siostra; a moi kuzyni Krzysztof i Piotr Kaczanowscy byli profesorami tej uczelni. Dziadek Witold miał ciekawe i różnorodne życie zawodowe i publiczne. W zamierzonym opracowaniu pojawią się na przykład Janusz Korczak, prezydent USA Herbert Hoover, Jan Karski, Ferdynand Ossendowski, Wojciech Korfanty i jego syn, ciotka premiera i ministra Władysława Grabskiego, siostra Marii Curie-Skłodowskiej czy rodzina Karola Szymanowskiego... Muszę też dla wnuków opisać historię rodziny mej żony, najmniej przez nas znaną i udokumentowaną, ale równie dramatyczną, jak ciekawą. Bo to los repatriantów, wcześniej śmierć stryja żony podczas służby w Dywizjonie 305, a teść był uczniem Bruno Schulza.

Od trzech lat dzielę czas na Warszawę i sądecką wioskę Jazowsko, w której 150 lat temu urodził się dziadek Jan Skąpski. Na Sądecczyźnie znalazłem spokojną przystań i miejsce do realizacji wspomnianych planów. Tu włączam się w różne społeczne inicjatywy; ufundowaliśmy z żoną dwie nagrody (w Gminach Łącko i Podegrodzie) dla utalentowanych absolwentów miejscowych szkół. Nadal mam udział w organizacji warszawskich i śląskich targów książki oraz pleneru literackiego w Gdyni, jestem jurorem Nagrody Literackiej Prezydenta Warszawy. Prezesuję kilku branżowym i miłośniczym organizacjom. Publikuję co jakiś czas artykuły na temat historii, genealogii, kultury, ale i bieżącej polityki. Do tego doszła uprawa warzyw...

Zajęć jest sporo. Żona lubi poznawać uroki ziemi sądeckiej, w czym jej chętnie towarzyszę, często odwiedzają nas tu dzieci i coraz większa gromadka wnucząt... Jest kim i czym się zajmować, ale też jest dla kogo porządkować wiedzę o historii przodków. A jeśli ciekawi to kogoś jeszcze spoza rodziny, tym większa radość i sens pisanie.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Losy na ekranie

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: Hubert Komerski, Copyright © Propeller Film/za wiedzą i zgodą dystrybutora (Kino Świat)

Nowy film Marcina Krzyształowicza *Pan T.* wszedł na ekrany w aurze skandalu.

Pomruki awantury towarzyszyły mu wprawdzie od września, od pierwszej projekcji na festiwalu w Gdyni, ale że festiwal obfitował w inne kompromitacje, więc na tę akurat zapowiedź zgorzienia mało kto zwrócił uwagę.

Dopiero rzeczywista premiera w ostatnich dniach grudnia odnowiła tamtą aurę skandalu. I to z dziedzi-ny nawet i etyki zawodowej, jeśli dwie nadgorliwe jed-nostki oskarżyły reżysera i współscenarzystę o dziką adaptację literacką i „kradzież” wątków innego dzieła.

w Stanach, nie zgadza się na żadne adaptacje utworów ojca. Pewnie ma do tego prawo. Jakby je jednak wyprzedzając, dwaj dziennikarze ONET-u przypuścili szturm – kierując się wyciąganymi z filmu pojedynczymi sytuacjami, ba, słowami z tekstu scenariusza, zaczęli je dopasowywać do książki, w której można by te czasy odnaleźć. Samodzielnie przypisali je fragmentom słynnego *Dziennika 1954*, po- sądżając tym samym autorów filmu właśnie o dzi- ką adaptację.



A rzecz zaczęła się już od tytułu. Pozwalał on pod tajemniczą literą „T.” dopatrywać się jakiegoś nazwiska... Najlepiej Leopolda Tyrmanda, bo zgadza się nie tylko litera, ale i czas, miejsce przebywania czy zawód postaci. Ale, jeśli tak by było, to kłopot przyszedłby z innej strony. Wszak nie od dziś legenda niesie, że jedyny syn Tyrmanda, Matthew (autor książki *Tyrmand, syn Leopolda*), urodzony i żyjący

Sytuacja była śmieszna. Bo rzecz rozwinęła się we wzajemną wymianę zdań między reporterami a autorami filmu. A przecież chodziło w gruncie rzeczy o coś zupełnie innego: o pokazanie i zdefiniowanie za pomocą tak ustawionego filmu różnic między inspiracją czyimiś losami, dającą szansę na historyczny i polityczny uniwersalizm, a adaptacją określoną książki.

Czyżbyśmy byli aż tak nieufni wobec słowa „inspiracja”, że łatwiej zonglować pojedynczymi słowami, by z wątpliwą satysfakcją złapać autorów na „kradzieży”, niż zgodzić się z ich normalnym odczytywaniem filmu tak, jak został on wymyślony?

Inna rzecz, że skandale dobrze robią promocji każdego filmu... Na szczęście to już przeszłość. Bo dzisiaj, gdy minęło kilka tygodni od premiery, obraz wygląda już inaczej, zwłaszcza że okazało się, iż w filmie jednak trochę o coś innego chodzi, a skandal sam się zdezaktualizował. Może dlatego, że takiego filmu nie powinno się aż tak powierzchownie odczytywać, jak chcieli oskarżyciele, czyli tylko poprzez „literę” utworu. I to jeszcze słabo powiązanego z filmem. A tak właśnie było.

Niezależnie jednak od wszystkiego Tyrmand byłby i tak znakomity do inspiracji i historycznego uogólnienia. Bo inteligentny i będący bystrym obserwatorem. A poza tym był to ktoś, kto nie uległ PRL-owskiej władzy, za co spotkały go określone konsekwencje: nie wydawano jego utworów, zaś w sieci donosów był łakomym kąskiem dla niezdol-

Rzecz zaczęła się już od tytułu. Pozwalał on pod tajemniczą literą „T.” dopatrywać się jakiegoś nazwiska... Najlepiej Leopolda Tyrmanda, bo zgadza się nie tylko litera, ale i czas, miejsce przebywania czy zawód postaci.

to przecież musiałoby tu być trochę więcej optymizmu. Wszak za dwa lata Czytelnik wyda Tyrmandowi jego czołowe dzieło, czyli gigantyczną powieść *Zły*, czytelnicy pochłoną ją z zachwytem, a chociaż władza będzie niezadowolona z opisów półświatka, podziemia przestępczego i innych barwnych smaków kryminalnej Warszawy, to przecież będą to już odrobinę inne czasy pod względem politycznym, gdyż różnica między 1953 a 1955 rokiem w polskiej kulturze była i pozostała widoczna jako niemal osobna epoka.

Pewnie dlatego filmowy *Pan T.* pilnuje tego swojego 1953 roku, by trwać w samym środku. A film



nych kolegów. A dla innych, tych mniej odważnych lub słabych, stał się przykładem, że nawet w takich warunkach politycznych można przetrwać.

Specjalnie piszę tu o samym schemacie postaci, zbudowanym w filmie jako uniwersalny typ artysty polskiego w 1953 roku, czyli w apogeum socrealizmu. Bo gdyby rzecz miała rzeczywiście dotyczyć tylko Tyrmanda i opierać się tylko na jego losach,

jest w tym konsekwentny. Taśma czarno-biała tworzy klimat stylistycznej i emocjonalnej prawdy epoki. Rzecz dzieje się w samym środku Warszawy, szarej, smutnej i ponurej, a bohaterem tego czasu i tego wycinka politycznej rzeczywistości jest pisarz, którego nie wydają, bo nie poszedł na jakąkolwiek ugodę z władzą. Zarys jego sylwetki jest szczególnie atrakcyjny filmowo: chuda postać, szczerze owinię-

Lata 50. ubiegłego wieku są wciąż dla naszej sztuki kopalnią niezwykłych bogactw zarówno w obrazie, jak i w ładunku emocjonalnym. Dają możliwość spojrzenia na źródło różnych naszych późniejszych kompleksów i ograniczeń.

ta, niemal nigdy niezdjętym, ciemnym i długim płaszczem, twarz bez jednego uśmiechu, poora z zmarszczkami, odgradzona od świata ciemnymi okularami, milczenie, dystans i... brak jakiegokolwiek współuczestniczenia w życiu politycznym wokół. Kogo wybrała taka sylwetka? Każdego? Każdego ówczesnego niepokornego artystę? Gdybyśmy szli tropem oskarżycieli dziennikarskich, to pewnie byśmy przeszli, kto chodził w długim, ciemnym płaszczu, traktując i tę część garderoby jako znak szczególny. Wtedy przynajmniej okazałoby się, że „wszyscy”. I „ci, co z władzą” i ci, „co po stronie przeciwnej”. A więc także i „najgorszy sort” – jak pada w filmie w nieco zmodyfikowanej formie znane i z ostatnich czasów określenie.

Ta wystylizowana postać pisarza nieugiętego jest fascynująca. Została stworzona przez aktora dawno nieoglądane, znanego głównie z reklam i dawniej z telewizji, czyli przez Pawła Wilczaka. To, że nikt go nie pamięta, tylko podkreśla siłę owego everymana. Dlatego można pod niego podłożyć „każdego” o takich samych parametrach emocjonalnych i profesjonalnych.

Jest w tym filmie wspaniałe ujęcie: pisarz stoi na środku niewielkiej uliczki, a przed sobą ma potężną sylwetkę Pałacu Kultury i Nauki. Tak łatwo zastąpić tego pisarza innym, który pół życia patrzył na „darnarodu radzieckiego” u wylotu swojej uliczki. To oczywiście Tadeusz Konwicki, genialny twórca *Małej apokalipsy*, będącej także i literackim „projektem” usunięcia pałacu z naszego życia. Ten temat pojawi się i w *Panu T.* Zresztą nie tylko w donosach, podśluchach i obawach Urzędu Bezpieczeństwa, ale i w samym obrazie filmu, gdzie przez całą akcję przewija się wątek „majstrowania” w podziemiach pałacu, by doprowadzić do jego wybuchu. Rzecz kończy się spektakularną klęską. Ale jakże może być inaczej? Wszak pałac trwa!

Ach, ten pałac! W ilu znajdował się dziełach o tamtym czasie! W dziełach na ogół podziemnych, jak *Mała apokalipsa*, ale także i w filmach rozmaitych, choć tylko raz udało się go wysadzić w powietrze rzeczywiście, mianowicie w *Rozmowach kontrolowanych* Sylwestra Chęcińskiego już w wiele lat później (bo w roku 1991) nakręconych.

A poza tym jest w *Panu T.* wszystko to, co powinno być; są przesłuchania na UB, jest świetnie scharakteryzowany Związek Literatów Polskich, jest tragiczna postać pisarza niezdolnego, który nawet podsłuchiwać dobrze nie potrafi, ale przejdzie znamiennej przemianę w stronę prawdy i odwagi (świetna rola Sebastiana Stankiewicza, nagroda aktorska na festiwalu w Gdyni), jest wreszcie groteskowo, ale i dosadnie pokazany kult Bolesława Bieruta, „legandy naszych czasów”, jak pieje mistrz ceremonii powitania I sekretarza partii i prezyden-

ta. Znakomitym aktorsko, smutnym i nudnym Bierutem jest, także wyciągnięty z niepamięci, Jerzy Bończak. Jest jeszcze wiele innych wątków, a nawet jest atrakcja związana z nastoletnią kochanką pisarza, która przychodzi do niego na korepetycje przed maturą.

Po co drobiazgowo przypominam ten film, który jest przecież na ekranach, można wszystko sprawdzić i przemyśleć. To, że życie było wtedy i jest zawsze polityczne, wiemy z różnych innych przekazów, z filmów, książek, wspomnień, i dzienników. Że wszelka współpraca artysty z władzą autorytarną i zbyt jednostronną propagandowo jest złem hamującym każdy talent, to też zawsze było wiadomo. Lecz patrząc z bliska na taki obraz, nie sposób nie myśleć, że lata 50. ubiegłego wieku są wciąż dla naszej sztuki kopalnią niezwykłych bogactw zarówno w obrazie, jak i w ładunku emocjonalnym. Dają możliwość spojrzenia na źródło różnych naszych późniejszych kompleksów i ograniczeń. Mogliśmy to sprawdzić i w *Zimnej wojnie*, naszym zeszłorocznym arcydziele Pawła Pawlikowskiego, a też na wcześniejszej, oscarowej *Idzie* tego samego reżysera. Możemy to odnaleźć i w listach Sławomira Mrożka (nawet tych do Tyrmanda). Można zobaczyć w różnych, odmiennych losach innych artystów. Od Zbigniewa Herberta przez Włodzimierza Odojewskiego do Władysława Broniewskiego. Źródeł osobowych jest mnóstwo. I niekoniecznie jest nim tylko pamiętna książka Joanny Siedleckiej *Biografie odtajnione*. Właśnie portrety osób są tym bogactwem.

Niegdyś, przed wielu laty, nasi wielcy reżyserzy filmowi dotykali tamtych lat, ale tak, jak dotyka się swojego życiorysu, choćby z pierwszymi fascynacjami potajemnie słuchanego jazzu (na przykład *Niewinni czarodzieje* Andrzeja Wajdy). W filmie Krzyształowicza, artysty młodszego o dwa-trzy pokolenia od tamtych czasów, jest piękna scena szczególnego hołdu tamtemu pokoleniu. Jest w *Związku Literatów* cudowna rozmowa trzech filozofów o epoce, a tę szczególną galerię mędrców tworzą w filmie Jacek Fedorowicz, Leszek Balcerowicz i w ostatnim swoim występie ekranowym – Kazimierz Kutz. Pewnie dlatego jemu właśnie dedykował Krzyształowicz swój film.

Mało jest już artystów tamtego czasu. Trzeba więc ich sylwetki i ich przemyślenia łapać na ekran, póki można. Bo to są losy nie tylko ich. To są także nasze kompleksy i obawy na przyszłość.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Daj się
wciągnąć
do świata
książek





Antoni Komasa-Łazarkiewicz

Wysłuchał i sfotografował Jacek Balcewicz

Kraków uformował mnie muzycznie. Studiowałem tu kompozycję u prof. Marka Stachowskiego. Trafiłem tu w szczególnym i szczęśliwym dla mnie momencie, bo do mojego grona profesorskiego należeli kompozytorzy, dla których materia kina nie była obca i potrafili mnie, młodego człowieka mającego ambicję komponowania muzyki filmowej otworzyć i pokierować. Pamiętam zajęcia z prof. Adamem Walacińskim, doświadczenia z muzyką eksperymentalną u prof. Marka Chołoniewskiego. Nie mówiąc o tym, że otarłem się jeszcze o Piwnicę pod Baranami i ówczesną krakowską atmosferę muzyczną, która do dzisiaj jest inspirująca.

Po ukończeniu średniej szkoły muzycznej w Warszawie wiedziałem, że chcę studiować kompozycję. W tamtym czasie wybór nie był wielki, ale od starszych kolegów wiedziałem, że Kraków jest ośrodkiem, który szanuje muzykę filmową i nie trzeba tutaj ukrywać nią zainteresowań. Najlepiej o tym świadczy obecność wśród moich kolegów takich osób jak Abel Korzeniowski i Adrian Konarski. My-

śle, że oni dzisiaj powiedzieliby to samo: że to było miejsce dla nas otwarte, wyrozumiałe i inspirujące. Z racji otoczenia rodzinnego kino było moim medium pierwotnym, dziecięcą już pasją. Od filmu doszedłem do muzyki filmowej. Muzyka koncertowa jest wspaniałym i ekscytującym przeżyciem, ale znacznie lepiej czuję się w roli współnarratora, kogoś, kto działa troszkę jakby z ukrycia.

Antoni Komasa-Łazarkiewicz – kompozytor, aranżer, producent muzyczny, instrumentalista (klarnet, perkusja, instrumenty klawiszowe, instrumenty elektroniczne) i aktor (*Ostatni dzwonek*, *W środku Europy*, *Marzenia do spełnienia*). Urodzony w Warszawie syn reżyserów Magdy i Piotra Łazarkiewiczów, siostrzeniec Agnieszki Holland. Absolwent

Akademii Muzycznej w Krakowie i Szkoły Muzycznej II stopnia im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Autor muzyki do ponad 70 filmów, seriali i widowisk telewizyjnych. W tym nagrodzonego ostatnio na festiwalu filmowym w Gdyni *Obywatela Jonesa*, a także *Kamerdynera*, *Wilkołaka*, *Pokotu*, *Konwoju*, *Miasta 44*, *W ukryciu*, *W ciemności*.

 Kraków

TEATR
bagatela
100
LAT

MIKOŁAJ GRABOWSKI

DIALOGI POLSKIE

C Z Y Ł I
ROZMOWY PRAWDZIWYCH
POLAKÓW Z GOMBROWICZEM

NA PODSTAWIE TEKSTÓW WITOLDA GOMBROWICZA,
HENRYKA RZEWUSKIEGO I JĘDRZEJA KITOWICZA

REŻYSERIA/ ARANŻACJA PRZESTRZENI/
KOSTIUMY/ RUCH SCENICZNY

MIKOŁAJ GRABOWSKI

WYSTĘPUJĄ

MUZYKA

ZYGMUNT KONIECZNY

REŻYSERIA ŚWIATEŁ

MICHAŁ GRABOWSKI

URSZULA GRABOWSKA

NATALIA HODUREK

IZABELA KUBRAK

EWELINA STAREJKI

WOJCIECH LEONOWICZ

MACIEJ SAJUR

PAWEŁ SANAKIEWICZ

ARTUR SĘDZIELARZ

DARIUSZ STARCZEWSKI

KOSMA SZYMAN

ASYSTENT REŻYSERA/ INSPICJENT

JOANNA JAWORSKA

PREMIERA 29 LUTEGO 2020, DUŻA SCENA

rezerwacja tel. 12 422 66 77

www.bagatela.pl



Na świętego Walentego, rys. Andrzej Zaręba

Legenda ulicy Kopernika

Tekst: Mieczysław Czuma

Mam pytanie (do Pana Prezydenta? do Jego Magnificencji Rektora?): co będzie ze stojącym przy ulicy Kopernika 40 pomnikiem Rafała Czerwiakowskiego, który patronuje tradycjom polskiej medycyny?

Wszak Czerwiakowski to ten, który tu, na Wesołej, rozpoczął wspianą korowód luminarzy naszej służby zdrowia. Czy nowy adres Szpitala Uniwersyteckiego w Prokocimiu ma pogrzebać sławę ulicy Kopernika?

Pierwszy w Polsce szpital kliniczny – to jest placówkę, w której jednocześnie odbywa się leczenie, obserwacja chorych i nauka zawodu – otwarto w Krakowie w roku 1780. Był jednym z najpierwszych w Europie. Mieścił się w budynku pojezuickiego kolegium przy kościele św. Barbary na Małym Rynku. Wkrótce potem (1788) z uwagi na ciasnotę miejsca, obecność mięsnych jatek na pobliskim placu, a także sąsiedztwo cmentarza przy kościele Mariackim szpital uniwersytecki przeniesiono ze ścisłego centrum daleko poza mury miasta. Trafił do wykupionego przez Komisję Edukacji Narodowej klasztoru budynku karmelitów bosych na pełnym zielni przedmieściu Wesoła. Przyjął nazwę św. Łazarza.

Rafał Czerwiakowski był zakonnikiem ze zgromadzenia pijarów. Posiadał patent chirurga, lekarza chorób wewnętrznych, opanował też sztukę babienia, czyli ginekologię. Ponieważ zakochał się w swojej pacjentce, sławnej z urody Zofii Katerlance, usilnie zabiegał o zwolnienie ze ślubów zakonnych. Załatwił mu to Hugo Kołłątaj, reformator Szkoły Głównej Koronnej (ówczesna nazwa uniwersytetu), układając się w tej sprawie z prezesem Komisji Edukacji Narodowej biskupem i księciem Michałem Poniatowskim, bratem króla.

Był najjaśniejszą gwiazdą nowego szpitala. Prowadził szeroką praktykę lekarską, pisał solidne dzieła naukowe i popularne podręczniki dla studentów, zgromadził przebogaty arsenał używanych wtedy narzędzi medycznych, sam konstruował specjalistyczne i nowatorskie instrumenty. Był pionierem w jeszcze jednej dziedzinie: pierwszy raz w dziejach uniwersytetu przeprowadził publicznie sekcję zwłok. Ponieważ tego typu zabiegi budziły wtedy odrazę i oburzenie, swoje praktyki wykonywał potem w ukryciu, a stosowny materiał pozyskiwał od grabarzy za gorzałkę. Bywało, że do domu wracać musiał pod ochroną straży miejskiej i wojska.

Na polecenie Tadeusza Kościuszki w czasie insurekcji 1794 roku mianowany został generalnym sztabmedykiem w lazarecie głównym mieszczącym się w pojezuickich zabudowaniach przy kościele św. św. Piotra i Pawła przy Grodzkiej. Jeszcze bardziej wzbogacił wtedy swoją legendę. Operował nie tylko powstańców, także i wrogów. Kształcił rzesze cyrulików, organizował materiały opatrunkowe.

Pomnik Rafała Czerwiakowskiego stoi w miejscu szczególnym, bo obok budynku, który – uwaga, uwaga – jako pierwszy w Polsce specjalnie zaprojektowany i wzniesiony został na potrzeby chirurgii.

Zaczął się od zabiegów Jana Mikulicza-Radeckiego. Ten szef uniwersyteckiej katedry wraz z inżynierem Józefem Sare (późniejszym wiceprezydentem Krakowa) objeżdża w poszukiwaniu wzorów placówki w Wiedniu, Budapeszcie, Berlinie, Monachium. Powstaje wymarzony projekt, którego z bra-

Pomnik Rafała Czerwiakowskiego, ojca polskiej chirurgii, stoi przy ul. Kopernika 40 obok budynku, który... – uwaga, uwaga – jako pierwszy w Polsce specjalnie zaprojektowany i wzniesiony został na jej potrzeby.

ku środków początkowo nie udaje się zrealizować. Rozpoczęte dzieło doprowadzi do końca (1889) Ludwik Rydygier, kolejny szef katedry.

Obaj ci panowie to najprawdziwsze gwiazdy światowego formatu. Jan Mikulicz-Radecki pierwszy w świecie zszywa przedziurawione jelito w ostrym zapaleniu otrzewnej. Szokuje swoim zachowaniem. Operuje w jedwabnych rękawiczkach, wykonuje zabiegi w płóciennej czapeczce i w masce z gazy na ustach. Ludwik Rydygier pierwszy w świecie usuwa kamienie z pęcherza moczowego cięciem przez otrzewną, drugi w świecie (po paryskim Jules'u Péanie) operuje raka żołądka. Obdarzony bujnym zarostem mistrz po wsze czasy narazi się kobietom, bo konsekwentnie obstawał będzie przy zdaniu, że dama nie może być chirurgiem. A to dlatego, że nie może mieć brody.

No więc pytam: co będzie z pomnikiem Rafała Czerwiakowskiego, uważanego za ojca polskiej chirurgii? Jego miejsce jest tylko tu, nigdzie indziej. Co będzie z budynkiem obok, który jest ikoną naszej medycyny? To nie jest miejsce ani na hotel, ani na bank, ani na kasyno gry. Nie okradajmy się z własnego dziedzictwa. Czy nie powinno tu powstać muzeum opowiadające o dwustuletniej historii szpitala uniwersyteckiego na Wesołej, a od roku 1858 przy ulicy Kopernika? Muzeum dokumentujące osiągnięcia tutejszych sław wszystkich specjalności.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Snując opowieść

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Przyglądałam się pod koniec roku z uwagą rankingom najpopularniejszych słów minionych dwunastu miesięcy. Właściwie we wszystkich notowaniach pojawiały się dwa: „czułość” i „masakra”. Połączenie przypadkowe, ale perfekcyjnie oddaje stan ducha!

Tak, ciągle jeszcze tkwię w 2019... Mam niepozatławiane sprawy, coś do dokończenia, zamknięcia, przyklepania. Cały czas jeszcze ten rok przetwarzam w głowie, potwornie był obfity. Przyniósł mi w Warszawie, i w Krakowie także, dużo emocji. Większość była publiczna i jaka piękna! Stąd czułość, wiadomo. Mamy ją dzięki Oldze Tokarczuk i niech z nami zostanie jak najdłużej. Ale i masakry pojawiały się często dookoła, musimy przyznać.

Wracają lata 20.! Czekają nas zatem ponownie: wielkie kariery, przełomy w literaturze, wspaniała moda i wyzwolenie kobiet. Może nawet prohibicja. Niech się dzieje!

Jest w połączeniu tych dwóch słów jakaś moc. Takie poczucie, że dostrzegając skrajności, oczekujemy ostatecznie więcej. Wreszcie. I może nawet trochę przestajemy się obawiać najgroźniejszej bestii ostatniej dekady – opinii innych ludzi. Z taką lekkością można dziś coś nazwać totalną masakrą, że masakra przestaje w końcu szczerzyć zęby. Skoro pojawia się tak błyskawicznie i tak mało prze-myślana, może wcale nie jest taka straszna?

Z kolei czułość, odmienniana przez przypadki nawet przez tych, którzy jeszcze po Tokarczuk nie sięgnęli (albo sięgnęli, odłożyli i obiecali, że wrócą), staje się mniej egzotyczna, bardziej powszechna. Nie dotyczy już tylko rozmów między kochankami czy szeptów w dziecięcym pokoju. I tak masakra z czułością, pochodzące z kompletnie różnych światów, gdzieś tam się spotykają. Na środku.

29 stycznia, kiedy już pewnie będzie można wziąć do ręki lutowy numer naszego miesięcznika, obchodzi swoje urodziny kobieta, która zrzuciła czułość z pomnika. Myślę o Tokarczuk w chwilach, w których muszę sobie dodać odwagi, bo gdzieś za rogiem czyha, „co ludzie powiedzą”.

Dumna jestem, że w moim słowniku czułość istniała od zawsze. Miałam ją zarezerwowaną na określenie takiego zachwytu, nad sztuką na przykład, który nie był jedynie dostrzeżeniem i pochwaleniem warsztatu. Dla

mnie zawsze oznaczał zachwyt nad tym, jak ktoś wiąże ze sobą przeszłość z teraźniejszością. Najwidoczniej nie tylko tkwię wciąż w 2019, ale i dużo głębiej. A najbardziej lubię, gdy starą historię ktoś mi opowiada tak, jakby była pisana dla „tu i teraz”.

Zdarzyło się to ostatnio kilka razy w tych przedsięwzięciach artystycznych, które powstają na styku krakowsko-warszawskim, a na które cały czas poluję. Czuły jest dla mnie *Pan T.* – film o Warszawie, który wymyślono w Krakowie. Historia o piewcy stolicy, którą napisał przy krakowskim biurku Marcin Krzysztalowicz. Aktualność *Pana T.* polega na narysowaniu pewnej absurdalności w taki sposób, że już nie ma znaczenia, z jakiej epoki pochodzi. Czy to Warszawa 1953 roku czy Warszawa 2020.

Stylowy, czarno-biały, pełen niuansów i szczególnego humoru film. Jeden z tych, których fabuły nie można opowiadać, bo się psuje niespodziankę. Film, który miał czas powstać – zajęło mu to osiem lat. Nie wszystkie projekty rodzą się i zamykają w kilka miesięcy. A na pewno nie te czułe.

Tymczasem... wracają powoli (bo formalnie zaczną się za rok) lata dwudzieste! Dla mnie, osoby, która jest ciągle spóźniona, ten powrót jest wielką ulgą. Czekają nas zatem ponownie: wielkie kariery, przełomy w literaturze, wspaniała moda i wyzwolenie kobiet. Może nawet prohibicja. Niech się dzieje. Z czułością!

Wolę ją nawet niż miłość. W końcu lepsze jest zawsze wrogiem dobrego.



Magdalena Miśka-Jackowska – kierownica z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pewnego czasu w Warszawie.

Sztywny hol

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Przyznajcie sami, że najgorsze pytanie, jakie można zadać drugiemu człowiekowi na początku nowej dekady, brzmi: jak życie?

Jak życie? – zawołał do Niny kolega z biurka obok, któremu od gadania przez słuchawki o kredytach na panele słoneczne popękały żyłki w uszach.

Ninę to pytanie natychmiast wpędza w stupor. Czuje, że zamarza jak piloci w filmie katastroficznym *Pojutrze*, który oglądała latem z byłym już mężem w Międzyzdrojach. W filmie świat niszczy epoka lodowcowa, w której nadejście oczywiście nikt nie wierzył (poza głównym bohaterem). Nina wybrała to dzieło z nadzieją, że mąż złapie aluzję, skończyło się niestety na wymianie zdań o efektach specjalnych. Zapamiętała scenę, w której piloci lecą na zwiady, jednak w ułamku sekund zamarzają, a ich ciała pękają i rozpadają się na lodowe kawałki. To pytanie „jak życie?”, które przecięło powietrze jak dłuto, zamieniło ją właśnie w zbitą, gładki pomnik, wykuty z takiej samej góry lodowej, o którą rozbił się Titanic. Chciała coś powiedzieć, ale nawet słowa zaczęły wypadać jej z ust w postaci kostek lodu i trzeba było poczekać aż się rozpuszczą, żeby dowiedzieć się, o czym ta dziewczyna w ogóle mówi.

– Od ponad dwóch miesięcy jestem niewierząca w życie – wyrecytował kolega ze wzrokiem wbitym w blat, gdy słowa Niny w końcu rozpuściły się na dobre, spływając strużką wody po biurku. – Ale Ninuś, dlaczego? – domagał się odpowiedzi.

– Wszystko przez sztywny hol. Chciałabym zredukować swój ślad węglowy do zera. – Woda kapiała już na podłogę.

Ekran komputerów odbijały się i migotały w oczach Niny jak złowrogi regiment, który wyrósł i zaatakował ich nagle na open spejsie. Serwis informacyjny o ekologii pocieszał ją, że w Waszyngtonie właśnie otwarto dom pogrzebowy, który zetrabia zwłoki człowieka na kompost i zamyka je w 30 biodegradowalnych naczyniach. Była dopiero ósmo rano, a aplikacja pokazała, że normy są przekroczone w Krakowie o 700 procent. W rankingu było to drugie najbardziej zanieczyszczone miasto na świecie i nikt nie chciał wiedzieć, kto zajął miejsce pierwsze. Nina wyglądała, jakby miała gorączkę, ale ciało i twarz były przezroczyście jak foliówka z Tesco. Marzyła, by każdy kolejny wdech smogu wbił się jej w płuca tysiącami gwoździ. Paść trupem tu i teraz, żeby to wszystko nie musiało jej już obchodzić.

Nina dopiero po trzydziestym roku życia odkryła świat motoryzacji, który dokładnie opisuje to, o co chodzi w życiu. Trzeba mieć prawo jazdy i dobre znać zasady ruchu drogowego. Wiadomo, jak się skończyła historia, gdy poznała jednego zajętego gościa i wyprzedzała na trzeciego na podwójnej ciągłej. Przez długi czas udawała, że nie widzi znaku ostrzegawczego „Koniec nawierzchni bitumicz-

nej”. Zgubiła ją brawura. Uznała, że jej mottem będzie od teraz „Zakaz wjazdu”. Przez kilka miesięcy zachowywała bezpieczny odstęp, ani jednego punktu karnego.

Do dnia, w którym ktoś nie wjechał jej w dupę. Zwykle jest tak, że jedziesz sobie po równiutkim asfalcie życia i niczego się nie spodziewasz. I nagle bach! Ktoś się zagapi i wjeżdża ci z impetem

Zwykle jest tak, że jedziesz sobie po równiutkim asfalcie życia i niczego się nie spodziewasz. I nagle bach! Ktoś się zagapi i wjeżdża ci z impetem w tył.

w tył. Szarpnięcie, miłość, zderzak do wymiany. Tak było z Niną. Gdy facet wysiadł z auta, zobaczyła, że ma żółte tablice rejestracyjne, a więc jest trochę starszy i ma doświadczenie. Będzie wiedział, jak to wszystko naprawić.

Po dwóch miesiącach wielogodzinnych rozmów Nina poczuła, że ma poluzowane klocki hamulcowe. Awaria zacisku. Postanowiła, że przejedzie się po mieście i sprawdzi, czy klocki są w porządku. Szybko okazało się, że hamulec nie działa i Nina dała się uwieść. Było miło. On siedział nago na jej łóżku. Nagle powiedział, że teraz nie jest gotów na żadną wspólną podróż, bo wciąż dochodzi do siebie po poprzedniej stłuczce.

W głowie Niny zawirowało. Czemu jest taką idiotką? Gdyby lepiej przyjrzała się drodze, dostrzegłaby, że jest na jakimś brudnym, niebezpiecznym poboczu. Że jest środkiem znieczulającym i to miejscowo. Ale było już za późno. Sprawę wyjaśniła jej przyjaciółka.

– I co, odzywa się jeszcze, czy cię zupełnie olał? – zapytała Natalia.

– Codziennie się odzywa...

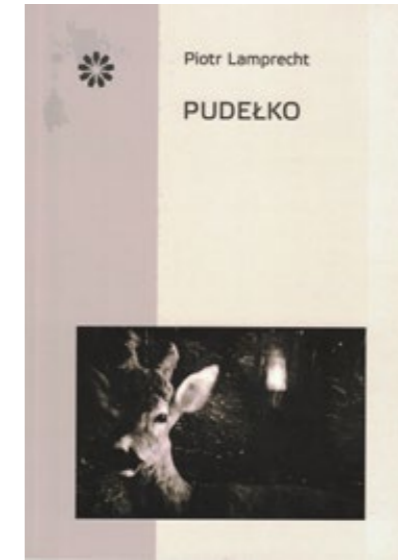
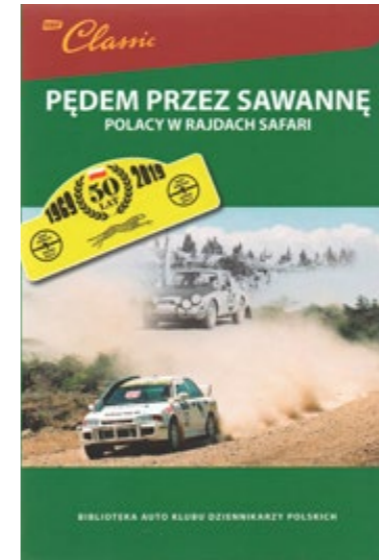
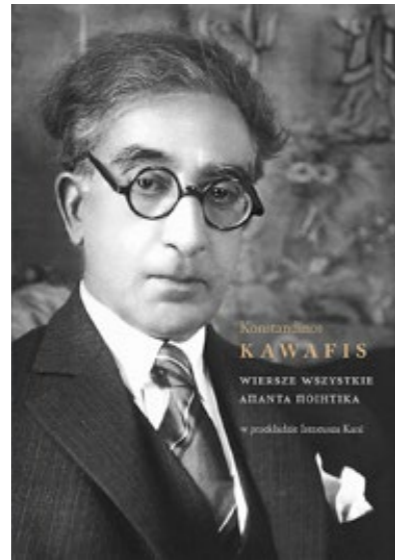
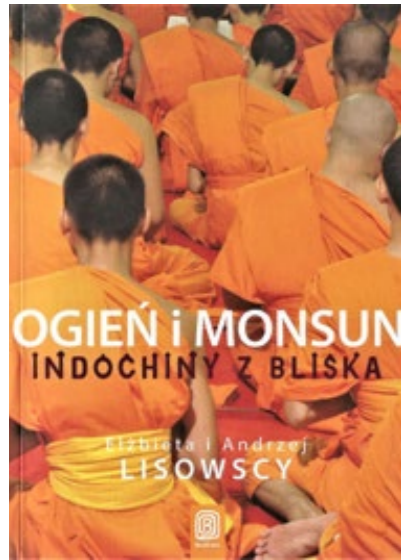
– Czyli sztywny hol.

– Co? – Nina nie rozumiała.

– Holuje cię na sztywno. Jeden samochód ciągnie drugi pilnując, by ten z awarią hamulców sunął za nim, ale w bezpiecznej odległości. W tym czasie rozgląda się na światłach za lepszymi modelami. Faceci, kochana, nie używają linki – powiedziała Natalia, wskazując Ninie na dział z alkoholami w Lidlu.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



„Boże, oni tego nie przeżyją” – westchnąłem, gdy zobaczyłem wypalony doszczętnie pokój w mieszkaniu znanych krakowskich podróżników i dziennikarzy Elżbiety i Andrzeja Lisowskich, gdzie temperatura była tak wysoka, że z sufitu odpadł tynk, a ceramiczne, żaroodporne pustaki ackermana straciły swoje lico. W tym samym czasie, na drugim krańcu świata, w stolicy Kambodży Phnom Penh złodziej na motocyklu zerwał z ramion Andrzeja Lisowskiego plecak z dokumentami, gotówką i kartami płatniczymi. Te dwa destrukcyjne zdarzenia stały się inspiracją do napisania książki *Ogień i monsun. Indochiny z bliska*. Ale Indochiny Lisowskich są nieco inne niż te na mapach czy w encyklopedycznych definicjach. Autorzy szerzej wiążą bowiem wątki i szukają odniesień... Stwierdzenie, że jest to książka inna niż wszystkie, zabrzmi banalnie, ale to prawda. Napisana prostym, soczystym i sugestywnym językiem, bogato ilustrowana wspinałymi i znakomicie wyedytowanymi zdjęciami Andrzeja jest kwintesencją wielokrotnych podróży w ten rejon globu i tłumaczy na nasz język ten świat jakże różny od naszego. Czytając Lisowskich, czuje się wszystkimi zmysłami jego smaki, zapachy i klimat. Wiem, co piszę, bo trochę tego świata udało mi się powąchać....

Jacek Balcewicz

Elżbieta i Andrzej Lisowscy, *Ogień i monsun. Indochiny z bliska*, Wydawnictwo Helion/Bezdroża 2019.

Jest ich, najlepszych poetów XX wieku, czterech: Miłosz, Eliot, Mandelsztam i Kawafis – oceniał Tomas Venclova (sam twórca znakomity).

Dzięki klasie, konsekwencji i odwadze (tak, tak: wydawanie klasyków świadczy dziś o odwadze!) oficyny Austeria dostaliśmy właśnie zbiór wszystkich (z czterema wyjątkami – utworami błahymi bądź pobocznymi) utworów wielkiego aleksandryjczyka.

Chciałoby się bez końca cytować kolejne frazy Konstandinosa Kawafisa – z ich spowolnionym tempem i ascetyczną obrazowością (tak przednio oddanymi w przekładzie Ireneusza Kania), odwołaniami do przeszłości i pamięci, zmysłowością wreszcie. I dumać niespiesznie nad każdą z nich.

Znamienne jest i to, że edycja – zgodnie z najwyższymi zasadami sztuki – jest dwujęzyczna (nowogrecko-polska). „Nie uznaję praktyki przekładania poezji inaczej niż z oryginałów” – tłumaczy Kania (przed laty Kawafisa przekładał także wprost z greckiego Zygmunt Kubiak). Takie podejście też przecież świadczy o klasie przedsięwzięcia.

PS Tak się jakoś dzieje, że oficyny z Krakowa wyspecjalizowały się w fundamentalnych edycjach literatury najwyższej klasy. Dzieła zebrane Miłosza (Znak i Wydawnictwo Literackie), Herlinga Grudzińskiego (WL), wiersze wszystkie Herberta i Barańczaka (a5), seria tomików Szymborskiej (Znak), podobne inicjatywy Austerii – listę można ciągnąć. Wielce to szlachetna i pożyteczna rywalizacja. kb

Konstandinos Kawafis, *Wiersze wszystkie*, Austeria, Kraków–Budapest–Syrakuzy 2019.

Byli wielkimi postaciami polskiej emigracji po 1945 roku. Jerzy Giedroyc prowadził najważniejszej jej pismo, czyli paryską „Kulturę”. Gustaw Herling-Grudziński zaś nie tylko z nim redakcyjnie współpracował, ale i był znakomitym prozaikiem oraz eseistą. Ich korespondencja, wydawana w ramach kanonicznej edycji *Dzieł zebranych* Herlinga, jest więc ważnym dokumentem powojennej historii i kultury. Nie tylko polskiej zresztą, lecz także – z racji zakresu zainteresowań autorów – zachodnioeuropejskiej czy rosyjskiej i czeskiej. Dzięki ich erudycji i osobowości listy są nadto pasjonującą lekturą. Trwająca przez lata (od 1944 do 1996 roku) korespondencja zawiera wszak zarówno komentarze do wydarzeń wielkiej polityki, jak dowody mozołu codziennej pracy redakcyjnej (w tym choćby kontaktów z największymi nazwiskami ówczesnej literatury – tak krajowej, jak emigracyjnej), rozmaitych, czasem zdawałoby się szalonych, pomysłów wpływających na sytuację w kraju oraz konkretnej pomocy ludziom szykanowanym w PRL. Pojawiają się wreszcie czysto towarzyskie już plotki i nieskrępowane, czasem bezlitosne oceny rozmaitych postaci tych czasów.

Wszystko to pokazuje klimat czasu – oraz niepojętą już dziś klasę grupki ludzi skupionych przez lata wokół pisma z Maisons-Laffitte.

PS Jak dotąd ukazały się dwa tomy tej korespondencji – w planach jest jeszcze trzeci. kb

Gustaw Herling-Grudziński, Jerzy Giedroyc, *Korespondencja, vol. 2, 1967-1975*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Pół wieku już liczą sobie związki polskich kierowców ze słynnym Rajdem Safari rozgrywanym na drogach, a raczej bezdrożach Afryki Wschodniej. Tradycja Safari liczy dokładnie tyle, ile panowanie brytyjskiej monarchini Elżbiety II. Objęła ona tron 2 czerwca 1953 roku, a od 27 maja na terytorium trzech brytyjskich kolonii – Kenii, Tanganiki i Ugandy uhonorowano to Wschodnioafrykańskim Safari Koronacyjnym. Udział w rajdzie wzięli miejscowi kierowcy, jadący zwykłymi, seryjnymi samochodami. Mieli do pokonania 3118 kilometrów bezdroży. Aż do 1971 roku wygrywali lokalsi (a wśród nich Polak Zbigniew „Nick” Nowicki peugeotem, której to marki był przedstawicielem na Afrykę Wschodnią). Ich hegemonię przełamała dopiero w 1972 roku załoga Mikkoła/Palm oraz Sobiesław Zasada/Marian Bień (krakowianie w porsche 911 S byli drudzy). Zasada (który debiutował w Safari w 1969 roku) startował w tej imprezie aż 8 razy.

Nieudany był za to start w Safari fiatów 125p w 1974 roku. Z kolei w 1975 roku rajdowe fiaty dopłynęły wprawdzie do Mombassy w Kenii, ale na pokładzie tego samego statku wróciły do Polski...

O tym wszystkim można przeczytać w opracowaniu autorstwa między innymi krakowskiego dziennikarza Grzegorza Chmielewskiego (zna on zresztą Safari z autopsji, bo w 1997 roku był w Afryce w ekipie serwisowej Zasady).

Książkę zamówić można pod adresem autoklub01@gmail.com. (wam)

Pędem przez sawannę, Biblioteka Auto Klubu Dziennikarzy Polskich, Warszawa 2019.

Utwory krótkie, kilkuwersowe. Jednak ich ładunek emocjonalny i intelektualny przekracza oczekiwania czytelnika. Książkę można przeczytać w pół godziny i z zadowoleniem odłożyć na półkę. Ale to tak, jakby przeczytać rozkład jazdy... Krótkie wiersze o Piotra Lamprechta powoli nabierają kształtu, słowa pęcznią, otwierając przed czytelnikiem niezliczone skojarzenia, odsłaniając różne płaszczyzny wyobraźni. Tak naprawdę tego tomu nie przeczyta się do końca nigdy. Ma rację Michał Piętiewicz, pisząc w posłowiu książki, że należy „pozostawić trochę miejsca na niedosyt – niech niedopowiedzenia wypełnią wiersze, które niekoniecznie należy rozpatrywać na płaszczyźnie rozumowej”. Znany wrocławski pisarz, poeta i publicysta Stanisław Srokowski z nieukrywanym zachwytem dostrzeżę w twórczości Lamprechta „czwarty wymiar awangardy, tworząc swoistą Mitologię Piękną, w której splatają się takie wartości jak poezja smaku, wyobraźni, mądrości, a więc i sensu”. Zatem z uwagą i bez pośpiechu czytamy poezję o Piotra, który w augustiańskim klasztorze w Krakowie stworzył miejsce przyjazne poetom i poważnej poezji.

Janusz M. Paluch

Piotr Lamprecht, *Pudełko*, Krakowska Biblioteka SPP, Kraków 2019.

„W roku 2018 rozpoczynam osiemdziesiąty czwarty rok życia. I widzę, jak przez Polskę i Europę przetacza się nawrotna fala ruchów bądź reżimów autorytarnych. Jednym z filarów propagandy, na których się wspierają, jest fałszowanie historii. Dwóch czy trzech polityków rozbija wielkie Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, ignorując opinie setek historyków z Polski i świata. Prawda historyczna często przestaje w takich warunkach istnieć.

W czasie, kiedy w Polsce i w krajach naszego regionu tworzy się orwellowskie »ministerstwa prawdy«, kiedy fałszowanie przeszłości, czyli kłamstwo historyczne, przykrywa się dwoma połączonymi, a nieprzystającymi do siebie słowami »polityka historyczna«, tym bardziej poczuwam się do dania świadectwa, często ostatniego”.

To ostatnia książka tego przedniego znawcy historii Polski i Europy XIX i XX wieku.

Był wnukiem działacza syjonistycznego, redaktora naczelnego „Hajntu” Abrahama Goldberga (1880–1933) i synem Jerzego Borejszy, komunistycznego działacza i propagandysty, twórcy „Czytelnika” (1905–1952). Wykładał między innymi w Heidelbergu, w Paryżu, w Dijon, w Mediolanie, Berlinie. W wolnej Polsce był szefem Zakładu Systemów Totalitarnych i Dziejów Drugiej Wojny Światowej.

Prof. Jerzy Wojciech Borejsza, ostatnie, bo jeden z ostatnich autorytetów, zmarł w minionym roku w Warszawie. (wb)

Jerzy W. Borejsza, *Ostatnie, czyli ostatni świadek*, Wielka Litera, Warszawa 2018.

POMPEJE

życie i śmierć w cieniu Wezuwiusza

MUZEUM
ARCHEOLOGICZNE
W KRAKOWIE
ul. Poselska 3

WYSTAWA
CZASOWA
05.10.2019
08.03.2020

Niezwykła ekspozycja z kolekcji Muzeum Archeologicznego w Neapolu, po raz pierwszy w Polsce!
Ponad 100 oryginalnych zabytków, które przetrwały największą katastrofę czasów rzymskich – wybuch Wezuwiusza, dający kres Pompejom.

WYDARZENIA TOWARZYSZĄCE WYSTAWIE:

- „Spacer po Pompejach” - każdy wtorek godz. 16:30
- Warsztaty dla grup szkolnych - rezerwacja@ma.krakow.pl

Szczegóły na www.ma.krakow.pl/tour/pompeje/

Organizatorzy/ Partnerzy:

Patronat medialny:



Patronat honorowy:



Omdlewająca dziewczka, której nie wpuszczono do katedry

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Polonii Wyspiańskiego przestraszyli się lwowscy biskupi, ale nie twórcy z Muzeum Witrażu w Krakowie.



Był rok 1892, kiedy hierarchowie kościelni zamówili dwa witraże do okien prezbiterium XIV-wiecznej katedry jacińskiej we Lwowie. Z niecierpliwością oczekiwali na prace artystów, które miały upiększyć świątynię. Zdaje się jednak, że nie zasięgnęli do końca języka na temat Stanisława Wyspiańskiego, który miał stworzyć jeden z projektów. Może gdyby bliżej poznali jego styl, nie byłoby w takim szoku, gdy przyszło im oglądać *Polonię*.

A tak o mały włos nie dostali apopleksji, kiedy zobaczyli przedstawioną na witrażu kobietą postać, która miała symbolizować Polskę. Nie była to majestatyczna matrona w koronie, lecz omdlewającą dziewczkę z odsłoniętymi ramionami. Na domiar złego podtrzymywały ją postaci symbolizujące trzy pokolenia narodu wychowanego pod zaborami. Artysta chciał w ten sposób wstrząsnąć rodakami, którym niewola, jak sądził, wyraźnie przestawała ciążyć.

Biskupi lwowscy przestraszyli się wymowy dzieła i jego nowoczesności. Oświadczyli Wyspiańskiemu, że nie przyjmują jego pomysłu do realizacji. On, delikatnie mówiąc, obrażony, zabrał kartony i wrócił do domu. Do projektu nigdy nie wrócił.

Dopiero po 127 latach w pracowni Muzeum Witrażu praca artysty zaczęła przybierać realne kształty. – Postanowiliśmy wykonać projekt Wyspiańskiego w ramach naszego cyklu *W budowie*. Zwiedzający muzeum mają dzięki temu szansę przyglądać się, jak

powstają witraże – mówi Piotr Ostrowski, dyrektor i założyciel placówki.

W salach wystawienniczych możemy oglądać nie tylko *Polonię*, ale też rekonstrukcję innego dzieła Wyspiańskiego, czyli *Apolla*, a konkretnie środkowej część tryptyku. – Pierwotnie *Apolla* artysta zamontował w 1904 roku w Towarzystwie Lekarskim. Ale kiedy Niemcy w 1945 roku wysadzili wiadukt przy ul. Kopernika, witraż został zniszczony. Zrekonstruowano jego środkową część, lecz zrobiono to nieprecyzyjnie. Dlatego wróciłem do tego witrażu. W naszym muzeum otacza go animacja, która odzwierciedla dwa boczne skrzydła, przedstawiające żywioły – opowiada dyrektor.

To współczesny trop, na który nieraz można natknąć się w tym interesującym miejscu. Bo wiem oprócz młodopolskich witraży, znajdą się tam współczesne dzieła, pokazujące, jaką drogą podąża dzisiaj ta niełatwa technika pracy w szkło. Kolekcję nowoczesnych witraży zapoczątkuje praca niemieckiego twórcy Johannes Schreitera. W muzealnej pracowni powstaje właśnie witraż oparty na niezrealizowanym nigdy projekcie artysty.

Witraże powstałe według projektów Wyspiańskiego, jak i innych młodopolskich artystów, oraz powstające dzieło Johannes Schreitera oglądać można od wtorku do soboty w godz. 12–18 przy alei Zygmunta Krasińskiego 23.

Jan Bosak, *Plaża*, drzeworyt, 2019

■ Rewolucja w operze

Opera Krakowska była do niedawna ostatnim przyczółkiem teatru, gdzie królowali niemal wyłącznie twórcy wielbiący Mozarta, Pucciniego czy Verdiego. Gdy sporadycznie pojawiał się utwór jakiegoś młodszego kompozytora, to szybko bywał przyćmiony spektaklami, w których na scenie brylowała Carmen czy Tosca. I to bynajmniej nie w wersji uwspółcześnionej, na przykład w stylu Mariusza Trelińskiego, ale takiej, którą bez zdenerwowania zniosłaby jedynie pani Dulska.

Aż tu nagle w repertuarze pojawia się *Joanna d'Arc na stosie* Artura Honeggera, kompozytora, który wprawdzie nie dożył naszych czasów, ale i tak reprezentuje nurt muzyki współczesnej. Nie byłoby to może jeszcze aż tak rewolucyjne, gdyby na barykadach Opery Krakowskiej nie stanęła Monika Strzępka – reżyserka znana z nowatorskich przedstawień, o których wszystko można powiedzieć tylko nie to, że schlebiamy gustom mieszczańskiej publiczności.

Możemy więc oglądać inscenizację oratorium, bo tym tak naprawdę jest dzieło Honeggera, w którym scena zmienia się w dziwne miejsce – coś między schroniskiem dla bezdomnych a zasypaną przez śnieg wsią. Jej społeczność przygląda się dramатовi Joanny (debiutująca na scenie Marianna Linde-Lubaszko). Widzimy ją na chwilę przed śmiercią, rozdrganą, przestraszoną, dziką, ale nadal przekonaną o swoich racjach. Spłonnie na stosie, bo nie będzie chciała poddać się dewocyjnej religijności ludzi, którzy nie są w stanie zrozumieć jej odmienności. Bo tak naprawdę spektakl Strzępki jest o o naszym świecie, w którym indywidualiści, odmieńcy, pojmujący na swój sposób otaczającą nas rzeczywistość i Boga, nie mają szans wygrać z ludźmi, którzy trzymają się tylko jedynie słusznej prawdy.

■ Dziennik japońskich podróży Andrzeja Wajdy

– Nie ma już potrzeby prowadzić dziennika podróży, kiedy można fotografować i wysyłać te fotografie za pomocą portali społecznościowych w świat, zaraz i każdemu – zauważyła w mowie noblowskiej Olga Tokarczuk. Na szczęście kiedy Andrzej Wajda wyjeżdżał do Japonii, nie miał jeszcze z sobą telefonu komórkowego. Za to miał notes, gdzie powstawały szkice i rysunki przedstawiające krajobrazy i sceny rodzajowe, które zafrapowały reżysera i pobudziły jego wyobraźnię. W czterestu notesach i szkicownikach znalazła się „obrazkowa” opowieść nie tylko o Japonii, lecz także o twórcy, o jego preferencjach artystycznych, inspiracjach i odkryciach. Do 6 marca możemy ją oglądać w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha na wystawie *Andrzej Wajda. Japoński notes*.

■ Steinway spod igły w Filharmonii

Pewnie niewielu melomanów zdaje sobie sprawę z tego, jak szybko starzeją się... fortepiany. Za to wszyscy doskonale wiemy, jak ważny to instrument. Filharmonia Krakowska dysponowała do tej pory szesnastoletnim już instrumentem i koncertujący tu wirtuozi utyskiwali na jakość jego brzmienia.

Najlepsze na świecie fortepiany koncertowe oferuje firma Steinway & Sons. Dyrektor Filharmonii Bogdan Tosza zaczął więc starania o pozyskanie instrumentu z najwyższej półki. Zebrawszy niebagatelną kwotę prawie 760 tysięcy złotych udał się w podróż do siedziby Steinway & Sons w Hamburgu. W wyborze miał pomóc mu sam Janusz Olejniczak. Jednak mistrz z powodów zdrowotnych nie mógł w tym czasie testować klawiatur. Zadanie to zostało więc powierzone profesorom Mirosławowi Herbowskiemu z krakowskiej Akademii Muzycznej i Hubertowi Rutkowskiemu z Hochschule für Musik und Theater w Hamburgu. W misji uczestniczył też stroiciel Ryszard Gazdowicz.

Początkowo żaden z sześciu fortepianów przygotowanych przez salon w Hamburgu nie spełnił oczekiwań selekcjonerów. Ten właściwy został wyłoniony dopiero w drugiej turze. I choć jest już w Krakowie, to ze względu na remont Filharmonii dopiero w maju usłyszymy, jak brzmi. A będzie to prawdziwa gradka dla melomanów, bo nie dość, że pojawi się nowiutki Steinway, to zasiądzie przy nim właśnie Janusz Olejniczak, wykonując jeden z koncertów Fryderyka Chopina.

■ Literaci przysiedli na ławkach w Bronowicach

Do niedawna, spotkawszy kogoś znajomego na Plan-tach (a to rzecz niezbyt trudna w Krakowie), można było przysiąść z nim na ławeczce poświęconej któremuś ze znanych pisarzy związanych z miastem. Teraz podobne ławki znalazły się w Bronowicach. Możemy spacerować po tej bardzo w końcu literackiej dzielnicy, odpoczywając na miejscach, które mają tabliczki z nazwiskami takich pisarzy jak Lucjan Rydel, Wacław Anzyc, Władysław Orkan, Karol Irzykowski, Konstanty Puzyna czy Kornel Filipowicz. Obok nazwiska umieszczone zostały kody QR – po zeskanowaniu ich za pomocą tabletu czy smartfona można trafić na stosowną stronę internetową, a tam przeczytać fragment tekstu danego autora i posłuchać jego nagrania w polskiej i angielskiej wersji językowej oraz zapoznać się z jego biogramem. Dodatkowo na stronie znajduje się interaktywna mapa, dzięki której można łatwo odnaleźć wszystkie literackie ławki – a także wybrane artystyczne adresy Krakowa.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Listy do redakcji

Szanowna Redakcjo, Miły „Krakowie”,

nie ma co kombinować: lekturę każdego kolejnego numeru „Krakowa” trzeba zacząć od felietonu Ewy Lipskiej *Na czerwonym świetle*. Potem zaraz *Foto-retro* – ze wzruszeniem, bo te światy ze zdjęć już minęły – i *Kalendarium krakowskie* – ze zdumieniem, bo niby 100 lat minęło, ale jakby nie... „5 stycznia 1920. Szpital św. Łazarza [...] wprawdzie otrzymuje węgiel, ale tylko na papierze, [...] pacjenci tygodniami czekają na operację”...

Potem już jak i co kto lubi. Ale *Dostawka* absolutnie konieczna. Skądby się człowiek dowiedział, że „przebież najszlachetniej i najambitniej jest dziś w teatrze dochodzić do wniosków wyłącznie naszych, teraźniejszych, nadwiślańskich. Czyż nie?”.

Nie należy przeoczyć też żadnej historii, którą opowiada Ewa Danowska. I ja bym jeszcze lubiła, żeby dział *Poezja* nie pojawiał się tylko od czasu do czasu, ale był zawsze. Wreszcie *Be-deker krakowski* – dowcipny, ironiczny, czasem sarkastyczny ton, dystans zmieszany z czułością... po prostu literatura. No i na deser *Pasy pany* ostatnio przemianowane na *Nie tylko o Cracovi*. I zawsze świetne zdjęcia.

Reasumując – bardzo jest OK, ale zróbcie coś z tą poezją.

zkm
wierna (poniekąd) czytelniczka
nazwisko do wiadomości redakcji

PS Wstępniaków nie czytam programowo. Sorry.

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszcachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski.

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

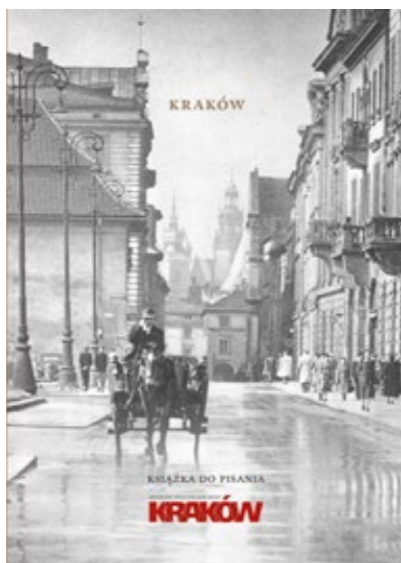
Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzeżenie prawa skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

„Kraków” do pisania

Na 15. rocznicę istnienia miesięcznika „Kraków” przygotował Czytelnikom (i sobie) prezent w postaci – jakżeby inaczej – książki. Oto dzięki uprzejmości wydawnictwa Austeria powstała specjalna – bo uzupełniona o teksty z miesięcznika – edycja tomu *Kraków* wydanego w serii *Książki do pisania*. Prócz zatem impresji o mieście autorstwa Szaloma Asza, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Mordechaja Gebirtiga, Witolda Gombrowicza, Marcina Świątlickiego, Stanisława Wyspiańskiego, Stefana Żeromskiego czy Andrzeja Wajdy można tam przeczytać miniatury między innymi Ewy Lipskiej, Mieczysława Czumy, Jerzego Pilcha i Andrzeja Zolla. I obowiązkowo trzeba do nich – zgodnie



z ideą serii – dopisać uwagi własne. (kb)

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopiśmie, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numer archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznik.krakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

Węgierskie wojaże Jacka Balcewicza



Wnętrze Wielkiej Synagogi w Budapeszcie – największej w Europie i trzeciej na świecie, fot. Jacek Balcewicz

W Centrum Obsługi Ruchu Turystycznego (CORT) przy ul. Powiśle 1 możemy oglądać kolejną wystawę zdjęć Jacka Balcewicza.

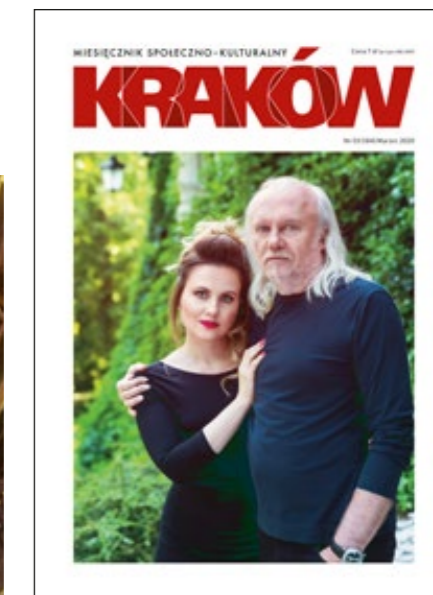
Niektórzy tak mają, że nie dość, iż nosi ich po świecie, to na dodatek podróżując, nie rozstają się z aparatem fotograficznym. Ale nie z tym w komórce, którym rejestruje się wszystko i nic. Nasz redakcyjny kolega Jacek Balcewicz do fotograficznych podróży podchodzi profesjonalnie. Doskonale wie, co jest ważne w fotografii, jakie znaczenie ma kadrowanie, szerokość obiektywu i inne techniczne szczegóły. Ale ma coś jeszcze – „oko”, które wyczuwa ulotne momenty, chwile dziejące się tu i teraz, promienie światła padające na mur budynku, obok którego nie może przejść obojętnie. Efekty możemy oglądać na wystawie *Kraków-Budapeszt. Budapeszt-Kraków* prezentowanej w Centrum Obsługi Ruchu Turystycznego (CORT) przy ulicy Powiśle 1.

Jacek Balcewicz wie, że niezależnie od tego, czy jest to tekst czy wy-

stawa, trzeba zacząć od mocnego akcentu, po którym napięcie będzie już tylko rosło. Zwiedzanie ekspozycji zaczyna się od zdjęcia przedstawiającego butelkę wina, z którą spacer po stolicy Węgier jest jeszcze bardziej przyjemny. Jednak nie zawsze ta przechadzka jest wesoła. Fotograf przystaje bowiem często w miejscach, które skłaniają do refleksji. Takich jak Pomnik Ofiar II Wojny Światowej, którego zdjęcie sąsiaduje z monumentem poświęconym ośmioletniej Kati zamordowanej przez kolaborujących z III Rzeszą strażaków. W pobliżu widzimy zdjęcie starych butów rozłożonych nad brzegiem Dunaju, które składają się na symboliczny pomnik ofiar Holocaustu.

Ale Balcewicz dostrzega też odrodzone życie, kiedy fotografuje Wielką Synagogę i wypełniających ją ludzi. Zaraz wybierze się do skateparku, gdzie spotka młodzież, zatrzyma się zachwycony stojącą pod parasolem przy fontannie parą, którą uwieczni, tak jak całujących się na przystanku

W następnym numerze:



Andrzej Sikorowski – jubilat wielokrotny

Józefa Hannelowa: Dokąd zmierza polski Kościół?

Finał „Portretów”

Wolność artystów i artystów przestrzeni

Maria Jaremanka – wolna, myśląca, silna

kobietę i mężczyznę. Bo na zdjęciach Jacka Balcewicza przeszłość spleta się z teraźniejszością, historyczne wydarzenia dialogują z codziennym życiem. Po obejrzeniu tych zdjęć ma się ochotę pojechać do Budapesztu, by z bliska poznać i to miasto.

(mhsz)

Od redakcji

W listopadowym numerze „Krakowa” ukazała się informacja o książce p. Katarzyny Siwiec *Daję Waści Złoty Róg*. Plotki o Weselu *ciąg dalszy*. W notce sygnowanej inicjałami (pk) zdarzył się nam błąd – Włodzimierzowi Tetmajerowi przypisano nieprawdziwe imię Władysław. Dziękujemy pani Zofii Gręplowskiej, wnuczce Tetmajera, za zwrócenie uwagi i przepraszamy.

Bardzo przepraszamy także Szanownych Prenumeratorów za spóźnioną wysyłkę numeru grudniowego – i solennie obiecujemy poprawę :) (wb)

Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy

Opracowała: Magda Huzarska-Szumiec

Niewidzialni mieszkańcy Wawelu

Tych żyjątek nie zobaczycie gołym okiem, gdy będziecie spacerować po wawelskich komnatach. Dostrzegli je za to naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego, którzy przez dwa lata brali pod mikroskop kurz osiadły na zabytkowych obiektach. Ponoć łatwo nie było, gdyż Wawel jest sprzątnięty dość skrupulatnie. W efekcie mikrobiologicznych pomiarów stwierdzono jednak obecność grzybów, wirusów i bakterii, co samo w sobie nie jest niczym nadzwyczajnym, ale fakt, że część z tych bakterii pochodzi z Azji i Afryki, może już pobudzić wyobraźnię. Ale spokojnie! Zwiedzanie Wawelu nie jest groźne, a badania miały na celu jedynie stworzenie jak najlepszych warunków dla królewskich eksponatów. Bo, jak się okazuje, taki niewidoczny stworek może wydzielić coś, co na przykład zmieni kolor cennego przedmiotu. Jednak dzięki utrzymaniu odpowiedniej temperatury i wilgotności wawelskie żyjątko pozostaną pod kontrolą, a arraszy i inne cenne dzieła zachowają świetność.

Zanim przeczytasz, skalkuluj czas

Nie milkną, i słusznie, echa Nagrody Nobla dla Olgi Tokarczuk. Nie ustają też rozmaite sposoby uhonorowania naszej laureatki. Wśród nich jeden pomysł spodobał nam się szczególnie. Otóż pewna krakowska firma stworzyła internetowy kalkulator, który oblicza czas potrzebny na przeczytanie na przykład liczących prawie tysiąc stron *Ksiąg Jakubowych*. Omnicalculator, bo tak się ów program nazywa, otrzymawszy kilka niezbędnych danych, powie wam, czy siadać do lektury już teraz, czy raczej podczas wakacji, gdy będziecie mieć więcej czasu. Zbędny gadżet, pomyślicie? Nic bardziej mylnego. Tylko w ciągu dwóch pierwszych dni stronę omnicalculator.pl odwiedziły tysiące osób. Zwłaszcza że można tam znaleźć również informacje o samej noblistce i jej twórczości. Ciekawe, czy za tym literackim licznikiem pojawiają się też inne podobnej natury. Ot, choćby taki, który zmierzyłby czas naszego pobytu w galerii obrazów. Albo stworzyłby algorytm czasu przejścia przez linię A-B, uwzględniający, że spotkamy tu redaktora X, poetę Y czy aktora Z. Niestety, matematyczne wyliczenia mogą w tym wypadku wykazać, że przemarsz będzie trwał dłużej niż lektura *Biegunów* pani Olgi.

Rys. Małgorzata Tabaka



Ośmiomilionowy pasażer

Lubimy takie okrągłe uroczystości. Szczególnie duma nas rozpiesza, gdy okazuje się, że w czymś jesteśmy najlepsi. Dlatego z prawdziwą radością odnotowujemy, że tuż przed Bożym Narodzeniem na lotnisku w Balicach wylądował ośmiomilionowy pasażer, a Kraków Airport został pierwszym portem regionalnym, który obsłużył taką liczbę

podróżnych w ciągu roku. Na bohaterę tego wydarzenia czekała delegacja oficjeli, były przemówienia, tort, stosowne cyfry w formie nadmuchiwanego balonów i prezenty – tablet, voucher do restauracji Wierzynek i na samolot. A tym szczęśliwym pasażerem okazał się... 10-letni Staś, który na co dzień mieszka w Miami, a do Krakowa przyleciał

na święta z mamą i z siostrą. Na zdjęciu uwieczniającym to zdarzenie najmniej zadowolona wydaje się być siostra Stasia. Mamy więc nadzieję, że 8-milionowy Staś będzie pożyczął siostrze tablet, i że w Wierzyнку zamówi też i dla niej coś smacznego. A tak na marginesie, ciekawe, co na taką pompę powiedziałyby inny Staś, Bareja.



Rys. Piotr Błachut

Elektroniczna taca

W kościele św. Maksymiliana Marii Kolbego w Mistrzejowicach pojawiła się pierwsza elektroniczna taca, zwana też ofiaromatem, daromatem, a także e-tacą. Ta elektroniczna skarbona służy do tego, aby ofiary na rzecz świątyni można było transferować w sposób bezgotówkowy. Na ekranie należy wybrać odpowiednio 1, 2, 10, 20, 50 złotych lub wpisać inną kwotę i najnormalniej w świecie użyć karty, zegarka albo telefonu do wysłania swojego wspomnienia. Pomysł, by tak rzecz, ciekawy, ale zapytaliśmy panią Stanisławę, którą często spotykamy na A-B w drodze do kościoła, co o nim sądzi. – Takie czasy, cóż zrobić... – westchnęła. Ale po chwili dodała: – Choć ja tam wolę zwykłą tacę, taką plecionkę. Lubię widzieć tę kupkę banknotów, która na niej pęcznieje. No i jak słyszę „Bóg zapłać” za ofiarę, to wiem, że to się liczy.

Każdy proboszcz będzie mógł decydować, na co wpłaty mają być przeznaczone – czy, na przykład, na rozbudowę świątyni czy na pomoc bliźnim. Parafiom, w których kościołach pojawi się ofiaromat, życzymy, aby szczególnie w tym drugim przypadku urządzenie działało nieprzerwanie.

Koszykoza

Pamiętacie ten wszechpanujący do niedawna trend, zwany złośliwie słupkozą? Przypomnijmy: słupkoza, czyli prosty sposób na regulację ruchu zmotoryzowanego i pieszego za pomocą stawianych w nadmiarze słupków. Chodziło o to, żeby ułatwić pewne rozwiązania komunikacyjne, równocześnie je utrudniając.

I oto, nieśmiało, ale jednak, wykluwa się nowa, krakowska -oza, czyli koszykoza. W parku Reduta w Prądniku Czerwonym, na 8 hektarach powierzchni zielonej projektant umieścił 135... koszy na śmieci. Spacerując tam, odnosi się wrażenie, że to raczej istny las koszy. Ich nadmiar urzędnicy tłumaczą brakiem porozumienia

z projektantem i koniecznością zrealizowania wniosku unijnego. Jednak jakiś głos zdrowego rozsądku podpowiada, że gdy część koszy nigdy się nie zapełni, to powinny zostać przeniesione gdzieś indziej. I dobrze, bo jak do Reduty dotrze inna nasza parkowa przypadłość – pomnikozą, to może zabraknąć miejsca.



FILHARMONIA im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Charles OLIVIERI-MUNROE Dyrektor Artystyczny

ANTONI WIT Dyrygent Honorowy

KONCERT JUBILEUSZOWY

Patronat Honorowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy



ORKIESTRA I CHÓR
FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Michael ZILM dyrygent

Katarzyna HOLYSZ sopran

Ewa MARCINIEC mezzosopran

Karol KOZŁOWSKI tenor

Markus EICHE baryton

Teresa MAJKA-PACANEK chórmiistrz

Ludwig van Beethoven
IX SYMFONIA D-MOLL

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL

7.02.2020

piątek, godz. 19.30

TEATR IM. J. SŁOWACKIEGO
W KRAKOWIE



Klub przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
Magdalena i Piotr Maciukiewicz,
Kraków
Anna Kozłowska i Damian
Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Małgorzata Barońska-Jaguś
i Paweł Jaguś, Kraków
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie,
Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy,
Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Marek Borkowski, Kraków
Janusz Szerła, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Robert Barański, Kraków

Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
Jacek Purchla, Kraków
Gwidon Dziwoki, Kraków
Artur Wolski, Warszawa
Kazimierz Sumera, Zawoja
Lidia Hanusiak, Kraków
Andrzej Gaworski, Warszawa
Tomasz Janowski, Kraków
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Biszytyga, Kraków;
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków;

Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Prac, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „KRAKOWA”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kra-
ków” to ludzie i firmy, którym bliski
jest duch Krakowa i polska kultura.
Wystarczy wpłacić raz na dwaście
miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł
(firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIE-
LE KULTURY), aby przez rok być wy-
mienionym na liście Przyjaciół Pisma
wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy or-
ganizowane przez redakcję, w grudniu
otrzymać w prezencie książkę pióra
któregoś z Autorów pisma wraz z oso-
bistą dedykacją i oczywiście co miesiąc
dostawać kolejny numer „KRAKOWA”!
A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uni-
katowa reprodukcja grafiki Daniela
Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „KRAKÓW”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki
mamy wysłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania
tytułu Złotego Mecenasa Promocji
„KRAKOWA” – zapraszamy do rozmów.

Sześć okien

Tekst: Jerzy Pilch

Nie byliśmy umówieni, a jednak! Dwa dni po tym jak wprowadziłem się do Kielc (wygląda na to, że na stałe), pod stadion Korony zajeżdżał perwersyjnie czarny jak kunsztowny makijaż wojenny Celtów, a i lekki jak kosiarka tnąca równo z trawą – autokar.

Suzuki Arena. Uczę się tutejszego języka starą metodą: metodą mianowicie wkuwania słówek. Arena. Kto? Suzuki. Kto? Ściegiennego. Też Słowackiego, Sienkiewicza, Zapolskiej, Żeromskiego... Żeromskiego raczej nie. Raczej nie dobrze. Dobrze jak Wielki Futbol. Wielcy futbolu losują. Jeszcze lepiej jak wchodzi tu literatura, ale autora *Popiołów* mieć za patrona, to lepiej zagrać samobójczo. Dawne pytanie: „Co w erotycznej scenie w *Popiołach* dowodzi, że jest to scena erotyczna?”, obecnie zastępuje nowocześniejsza fraza: „Znajdź w tekście fragmenty, które toczą się w lesie”. Ciemnym jak autokar pasów. Tyle popiołów zostało.

Ostatni mecz w 2019 roku... Czyli tani symbolizm? Tani, ale mocny. Tym bardziej że Cracovia przegrała z Koroną grającą w dziesiątkę. VAR pracował jak oszalały, wysłannicy łoża VIP ze specjalnymi (szpitalnymi jakby) opaskami na nadgarstkach raz po raz udawali się do sali bufetowej, w której to sali wisiał telewizor transmitujący mecz. Cały stadion zamierał w milczeniu – jeśli chcesz wiedzieć, co się dzieje, a nie masz Canal+, jesteś, i zawsze będziesz, rozklekotany poznawczo. Nie masz szans – krótko mówiąc. Profesor Filipiak forsował barierki, krzycząc: „Idę do Pilcha!”. „Weź trzy!” – odkrzyknął mu dżentelmen z rzędu przede mną. Małe, a cieszy. Moja żona zjadła sporo pierogów, w każdym razie jej pisk przy strzelonej bramce nie był piskiem osoby nieodżywionej.

Oczywiście, widziałem niejedno większe miasto. Oczywiście, widziałem grymas, jaki przybierały twarze na wiadomość o mojej przeprowadzce. Oczywiście, 200 tysięcy mieszkańców to nie 1,8 miliona. Siedzieliśmy w sobotni wieczór przed naszym nowym, ogromnym jak wszystkie areny świata telewizorem. Ja w dżinsowej koszuli, ona w bawełnianym swetrze. Dochodziła osiemnasta i pomyślałem, że po części jestem już kielczaninem, lubię te ulice i tę ciszę, to powietrze, te drzewa. Cukiernia Banatkiewicz, ga-

Oczywiście, widziałem niejedno większe miasto. Oczywiście, widziałem grymas, jaki przybierały twarze na wiadomość o mojej przeprowadzce. Oczywiście, 200 tysięcy mieszkańców to nie 1,8 miliona. Ale po części jestem już kielczaninem. Lubię te ulice i tę ciszę, to powietrze, te drzewa. Cukiernia Banatkiewicz, galeria Korona, restauracja Neko, pączkarnia na Sienkiewicza, piekarnia na Rynku, sekretny mały sklep z gazetami, warzywniak na Seminaryjskiej. Adresy jeszcze nie moje, a już jakoś moje.

leria Korona, restauracja Neko, pączkarnia na Sienkiewicza, piekarnia na Rynku, sekretny mały sklep z gazetami, warzywniak na Seminaryjskiej. Adresy jeszcze nie moje, a już jakoś moje. Z okna widzę ruinę kamienicy na Mickiewicza. O zachodzie gasnący blask przebija dom na wylot, widać wyraźnie sześć okien, każde innej wielkości, innego kształtu, innego koloru. Kto tam mieszka? U kogo długo w noc świeci się goła żarówka pod sufitem? Widzę sześć okien, ale światło idzie na przestrzał więc jest ich dwanaście? Kamienicę postawiono w 1914. Korony jeszcze nie, ale Cracovia już była na świecie.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.



MUZEUM KSIĄŻĄT
CZARTORYSKICH

OTWARCIE 20.12.2019

KOLEKCJA
NASZEJ HISTORII

Leonardo da Vinci
Dama z gronostajem, ok. 1490

Obraz przedstawia alegoryczny portret Cecylii Gallerani, damy dworu i kochanki księcia Mediolanu Ludovica Sforzy, zwanego II Moro. Ukazujące 16-letnią dziewczynę dzieło powstało na jego zlecenie. Trzymane przez Cecylię zwierzątko, zinterpretowane jako gronostaj, stanowi aluzję do Ludovica. W 1488 roku książę został uhonorowany przez króla Neapolu Orderem Gronostaja i odtąd zwano go Ermellino Bianco – Białym Gronostajem.

ul. Piłarska 15

młk
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE



Jan Bosak, *Adam*, druk wypukły, 2018